

Dom cichej śmierci

Tadeusz KostECKI



calibre 0.9.27

TADEUSZ KOSTECKI

(W. T. CHRISTINE)

Dom cichej śmierci

I. Przyjazd

Kontury odjeżdżającej dorożki rozplywały się w gęstej mgle. Rubinowy punkcik tylnej latarki migotał coraz bardziej niewyraźnie, wreszcie zniknął bez śladu. Jeszcze przez chwilę dobiegał głucho odgłos stukotu końskich kopyt o wyboisty bruk, potem nastąpiła cisza. Jacka Granmore'a opanowało dziwne uczucie samotności. Ściągnął szczelniej płaszcz na piersi. Niewiele jednak pomogło. Wilgoć wciskała się pod ubranie łechcąc zziębniętą skórę oślizłymi mackami.

Oddalona od sąsiadów willa tonęła w ciemnościach.

Brnął niemal po omacku po nierównych flizach chodnika.

Połyskujące matowo wilgocią stalowe pręty sztachet zagrodziły dalszą drogę.

Gdzie tu może być dzwonek? - zastanawiał się, bezskutecznie obmacując sztachety. Wreszcie sięgnął po zapalki. Nie poszło jednak tak łatwo. Widocznie, mocno zawilgły.

Dopiero któraś tam z rzędu trzasnęła ogniem. W chybotliwym odbłasku żółtego płomyka dojrzał rękojeść dzwonka. Ale dojrzał również, że furka była uchylona.

Podniósł z ziemi ciężką walizkę i wszedł do ogródka.

Pod podeszwami zachrząścił żwir.

Jeszcze kilka kroków i wyczuł pod nogami betonowe stopnie tarasu.

Tym razem szukanie dzwonka nie sprawiło najmniejszych trudności. Znajdował się tam, gdzie powinien się znajdować w każdym przyzwoitym angielskim domu. Nacisnął go z uczuciem ulgi. Wędrówka na oślep w ciemnościach zaczęła go już nużyć.

I ten piekielny gąszcz otaczającej mgły! Jeszcze kilka dni temu wylegiwał się na rozprężonej w potokach promieni słonecznych plaży Florydy. Wylegiwałby się jeszcze i dziś, zamiast nasiąkać jak gąbka mgłą Starego Kraju, gdyby nie list stryja Williama.

Profesor archeologii i iluś tam jeszcze fakultetów, William B. Hoppe, nie miał zwyczaju rzucania słów na wiatr. I jeżeli pisał w ten sposób...

A napisał tak, że Jack wsiadł na najbliższy parowiec zapominając, że daleko jeszcze do końca urlopu.

Terkotanie dzwonka rozerwało ciszę na strzępy, ginąc bez echa gdzieś w głębi domu.

Jack przeczekał dłuższą chwilę. Nie wypada budzić wszystkich domowników nocnym alarmem.

Jednak czekanie zaczęło się przeciągać w nieskończoność. Chcąc nie chcąc, wyciągnął ponownie rękę w kierunku przycisku.

Palec jednak nie dotarł do celu zamierając w pół drogi. Jack drgnął mimo woli na odgłos szurania trawy. Odniósł wrażenie, jakby źródło szmeru znajdowało się tuż poza jego plecami.

Odwrócił się raptownie na pięcie, usiłując przebić zasłonę mroku spojrzeniem wytężonych oczu. Nie zdołał jednak zobaczyć nic konkretnego. Tylko w jednym miejscu, w odległości jakichś niespełna dwóch jardów, było jakby ciemniej.

- Kto tam? - zapytał półgłosem. Pytanie padło w próżnię. Wzruszył ramionami.

- Głupstwo. - Odwrócił się powoli ku drzwiom. - Jakiś kot na nocnych łowach, to wszystko.

W tej samej chwili jednak znowu coś zaszurało. To nie był kot. Raczej skradające się stopy bosych nóg człowieka.

Jack poczuł się nieswojo. Co u licha za kawały? Znowu sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobyl zapałki. Zanim jednak zdołał zapalić, szuranie nagle umilkło.

Gdy osłaniając dłonią płonące drewnienko, skierował nikłe światelko w stronę tajemniczych odgłosów, ujrzał jedynie trawnik zasłany zwiędłymi liśćmi. Trawniki był niewątpliwie pusty.

- Kot - mruknął bez przekonania, naciskając dzwonek.

W głębi duszy jednak nie wierzył w tego kota.

Teraz zachrząścił przeciągle żwir na ścieżce.

Z tęsknotą pomyślał o pistolecie tkwiącym na samym dnie wyładowanej walizki. Oczywiście nie było mowy, by go stamtąd wydobyć w tej chwili.

A żwir szeleścił bez przerwy. I szelest raczej się zbliżał.

Zacisnął pięść. W ostateczności porządny cios też może odnieść jaki taki skutek. Robiło mu się jednak coraz bardziej nieprzyjemnie. Dlaczego u licha nie otwierają? - Zżuł w zębach przekleństwo. Bo i tym razem dźwięk dzwonka nie wywołał w uszonym domu żadnego oddźwięku.

Czyżby wszyscy wyprowadzili się w czasie jego podróży przez ocean? Albo... - Poczul drobny dreszczyk przebiegający wzdłuż krzyża. Bo jeżeli w tym domu było tak, jak pisał stryj, przez te kilka dni mogły zajść rozmaite wypadki.

Mało istniało na świecie rzeczy, które byłyby zdolne wyprowadzić Jacka Granmore'a z równowagi. Ale gdy podnosił zapaloną zapałkę do tkwiącego w zębach coraz bardziej rozmiękłego cygara, zauważył z dezaprobatą, że ręka lekko drżała.

Histeria - syknął ze złością. - Wszystko przez ten dziwaczny list.

Tym razem długo nie odrywał palca od dzwonka. Musi przecież przekonać się, czy ktoś jeszcze pozostał w domu.

Dzwonił tak zajadle, że poczuł świdrowanie w bębenkach uszu.

- Umarłego by obudziło... - Nagle urwał, odpluwając gorzką od nikotyny ślinę. Zwykle powiedzonko nabierało w świetle listu stryja całkiem specyficznego znaczenia.

Nieoczekiwanie, martwe dotychczas okna rozbłysły jaskrawym odblaskiem silnego światła. I to wszystkie naraz. Jednocześnie mleczna kula nad tarasem spłynęła oślepiającymi potokami jasności.

Zrobiło się niemal widno.

Odetchnął z ulgą. Nareszcie! Makabryczne przypuszczenia zapadły z miejsca w nicość. Spali trochę mocniej, ot i cała przyczyna.

Zerknął przez ramię w tył. W ogródku nie było nikogo. Zza drzwi dobiegał odgłos ciężkich kroków. Szczęknął parokrotnie przekręcany zamek. Zgrzytnęła zasuwka. Zabrzęczał metalicznym odgłosem łańcuch. Drzwi uchyliły się nieznacznie.

- Kto tam? - W kobiecym głosie brzmiała wyraźna trwoga.

Jack roześmiał się.

- Ależ fortecę urządziliście! To ja, Granmore. Prezentacja jednak widocznie nie wystarczała.

- Co za Granmore? - Głos był nieznajomy i dźwięczał nieukrywaną nieufnością.

Jack zaczął się niecierpliwić nie na żarty.

- Jack Granmore - syknął niezbyt uprzejmie. - Co znowu za historia? Jestem siostrzeńcem profesora...

- Chwileczkę. Przepraszam.

Wbrew oczekiwaniom, drzwi zatrzasnęły się z powrotem. Odgłos kroków świadczył, że niegościnna osoba oddalała się w głąb domu. Jack żuł z wściekłością zupełnie już rozmiękkłe cygaro.

- Powariowali! - Nagle pewne ustępy listu stryja stanęły mu przed oczyma. - No tak - westchnął z rezygnacją -. to jednak mogło tłumaczyć bardzo wiele.

Znowu czyjeś kroki. Przyciszony szmer odgłosów. Widocznie za drzwiami naradzano się.

Wreszcie drzwi uchyliły się ponownie, przytrzymywane łańcuchem.

- Jack?

Ucieszył się, poznając głos kuzynki.

- Kay! - zawołał radośnie. - Wpuść mnie wreszcie, na litość boską! Jeszcze chwila wystawiania

pod drzwiami i roztopię się w wilgoci jak baranek z cukru.

Łańcuch opadł z przeciągłym brzękiem. Obszerny hall tonął w powodzi światła.

- Myślałem już, że nigdy nie dostanę się do waszego sezamu - śmiał się ściskając ręce kuzynki.

Śmiech nie wywołał jednak żadnego refleksu na bladej twarzy dziewczyny.

- Bo widzisz... - urwała z wahaniem. Spojrzał na nią zdumiony. Ten drżący głos?

Kay była zawsze uosobieniem energii. Dopiero teraz dojrzał ściągnięte rysy niemal przezroczyściej twarzy. Głębokie cienie pod oczyma dziewczyny też miały swoją wymowę.

- Co się u was stało? - Zaniepokoił się nagle. - Stryj mnie wzywał, a...

Potrząsnęła głową ruchem pełnym dziwnej bezradności.

- Daddy cię wzywał? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Tak. I to do tego takim listem, że czym prędzej przerwałem urlop...

Stłumiła westchnienie.

- To... to dobrze, że przyjechałeś.

- Ale powiedz mi, Kay, co się u was stało? - nalegał.

Wargi jej zadrżały. Widać było, że chciała coś powiedzieć. Nie powiedziała jednak. Z rezygnacją machnęła ręką.

- To... to nie jest takie proste - bąknęła wreszcie.

Aż drgnął, uderzony głuchym brzmieniem jej głosu.

- Ale chyba nic specjalnie złego? - Ujął jej rękę. - Powiedz, Kay!

Popatrzyła niewidzącymi oczyma w przestrzeń.

- Wolalabym, żebyś przede wszystkim porozmawiał z ojcem. Tatuś nie chce, żeby... - znowu urwała w pół zdania.

- Chodźmy.

Jack wskazał znaczącym kiwnięciem głowy tarczę zawieszoną na ścianie zegara.

- To stryj jeszcze nie śpi? O ile pamiętam, dawniej wcześniej kładł się do łóżka.

Splotła palce rąk.

- Dawniej... - Przeciągly dźwięk zawibrował w jej krtani, zamierając, zanim zdołał zrozumieć jego znaczenie. - Tak... Dawniej. - Potrząsnęła z wysiłkiem głową, jakby odpędzając jakąś natrętną myśl. - Co tam... - Słowa brzmiały niemal twardo. - Teraz za to ojciec nie sypia prawie nigdy.

- Ooo! Panicz Jack!

Z głębi hallu przydreptała staruszka w sztywno nakrochmalonym, rurkowanym czepcu. Pomarszczona twarz jaśniała radością. Jack wyciągnął serdecznym ruchem rękę.

- Ładnie, Zuzanno - pokiwał z udanym wyrzutem głową. - Nigdy bym nie przypuszczał, że Zuzanna będzie mnie trzymać przed zamkniętymi drzwiami.

Stara służąca potrząsnęła energicznie głową.

- Ja? Nic podobnego - zaprzeczyła z oburzeniem. - To Kate... - nagle umilkła zamyślając się głęboko. - Ale... - Spochmurniała.

- Panienko - dotknęła łokcia Kay - przecież... - nachyliła się do jej ucha, szepcząc coś niewyraźnie.

- Ach tak, prawda. - Kay podniosła oczy na Jacka. - W jaki sposób dostałeś się do ogródka?

W jej wzroku migotała skupiona czujność. Jack wzruszył lekko ramionami.

- W bardzo zwyczajny. Po prostu furtka była otwarta. Nawet trochę mnie to zdziwiło.

- Furtka była otwarta - powtórzyła jak echo. Po twarzy jej przebiegł skurcz.

Zuzanna załamała ze zgrozą ręce.

- Święty Patryku ratuj! Sama ją...

- Cicho! - Kay położyła rękę na ramieniu staruszki - zawodzenie nic nie pomoże.

- Powiedźcie Johnowi, żeby zamknął. I niech przepatrzy po drodze ogródek.

- Czy... - zaczął Jack - myślisz, że ktoś niepowołany...

- Chciałabym, żebyś teraz porozmawiał z ojcem - powiedziała z naciskiem.

Unikając dalszych pytań, ruszyła w kierunku schodów.

Jack bez słowa podążył za nią. Atmosfera panująca w domu zaczęła mu działać na nerwy. Nigdy nie odczuwał lęku przed zdarzeniami konkretnymi. Ale tu od pierwszej chwili sytuacja robiła jakieś niesamowite wrażenie. Te ustawiczne niedomówienia Kay.

Co się tu dzieje? - zastanawiał się. - I czego; oni się wszyscy tak bardzo obawiają?

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że lęk jest dominującym uczuciem mieszkańców tego domu. Przynajmniej tych, których spotkał dotychczas.

Czyżby i Robert uległ tej psychozie?

Jakoś nie mógł sobie wyobrazić barczystego sportowca w sytuacji, która by go zmusiła do lęku.

II. Jaka będzie przyczyna śmierci następnej ofiary...

Kay zastukała energicznie w lśniącą taflę polerowanych drzwi.

- Kto... kto tam?

Znowu te nutki trwogi w pytaniu.

- To ja, Kay i...

Nie zdążyła jednak skończyć.

- Wejź Kay!

Koścista ręka stryja pospiesznie umknęła od na wpół otwartej szuflady biurka. Spojrzenie wyblakłych oczu badawczo uderzyło w Jacka.

- Ach to ty, Jack? - We wzroku zamigotało nieukrywane zdumienie.

Podniósł się ociężale, zasuwając szybko szufladę. Nie tak jednak szybko, by Jack nie zdążył dojrzeć czarnego kształtu, leżącego na samym wierzchu, pistoletu.

Z trudem powstrzymał chęć gwizdnięcia przez zęby. Profesor Królewskiego Uniwersytetu z pistoletem pod ręką? Coraz lepiej!

Udał jednak, że nie zauważył niczego niezwykłego.

- Zmizerniałeś porządnie, stryjasku. - Ścisnął serdecznie dłoń starego dżentelmena. - I tyj i Kay. Stało się u was coś niedobrego? Bo Kay nie chciała nic mówić... Profesor wzruszył ramionami.

- Tak! - potwierdził bezdźwięcznie. - Zmizernieliśmy oboje. I stało się bardzo wiele... - Przygryzł żółkłymi zębami bezkrwiste wargi. - Siadaj - wskazał głęboki fotel.

Jack wyciągnął się wygodnie na elastycznych sprężynach. Zmęczenie wielodniową podróżą tkwiło solidnie w kościach.

Profesor podsunął misternie inkrustowaną skrzynkę.

- Zapalisz?

- Z rozkoszą. - Jack nie dał się namawiać. - Prawdę powiedziawszy, ostatnie cygaro użyłem

raczej jako prymkę.

Otoczył się kłębamii wonnego dymu. Profesor Hoppe umiał dobierać gatunki cygar.

Zapadła przeciągła cisza. Poczul przemożne rozleniwienie ogarniające całe ciało. Nie chciało mu się uczynić nawet najsłabszego ruchu.

- Tak - odchrząknął profesor. - Dobrze się stało, żeś przyjechał. Widocznie opatrzność sprowadziła cię tutaj... Choć - urwał wbijając wzrok w ozdobiony zawiłym ornamentem sztylet leżący na biurku - kto wie, czy swój przyjazd w rezultacie będziesz mógł zapisać na dobro losu, bo...

Jack zamrugał powiekami. Był zaskoczony nie na żarty.

- Opatrzność? Los? - powtórzył. - Jak to? Przecież stryj mnie wzywał?

Starszy pan drgnął. Wzrok jego stał się niemal ciężki do zniesienia. Podeszedł ku Jackowi, ujmując jego ramiona w twardy chwyt kościstych palców.

- Wzywałem cię? - Zajrzał mu głęboko w oczy. - Ja? W jaki sposób?

Jacka ogarniało coraz większe zdumienie.

- Nic nie rozumiem - mruknął. - Przecież ten list, w którym... - sięgnął do kieszeni chcąc wydobyć portfel - mam go nawet przy sobie. Czyż to nie stryj go pisał?

Wąskie wargi starego dżentelmena utworzyły jedną kreskę.

- Tak - puścił ramiona Jacka - pisałem do ciebie kiedyś list wzywając do przyjazdu. To było dawno. Ale ja tego listu nie wysłałem. Zaszły pewne okoliczności, które... Ja tego listu nie wysłałem - powtórzył z naciskiem, wlepiając badawcze spojrzenie w twarzyczkę córki.

Kay wzruszyła leciutko ramionami.

- Ja także nie - powiedziała cicho. Jack strzelił palcami.

- Dziwne - mruknął - w każdym razie ktoś musiał go wysłać, skoro mi doręczono.

Profesor przesunął wierzchem dłoni po czole.

- Dziwne? Cóż... Dużo bardzo dziwnych rzeczy dzieje się w tym domu. - Powłócząc nogami po puszystym dywanie, ruszył w kierunku biurka... - I... nie tylko dziwnych - dodał osuwając się ciężko na fotel o wysokim, bogato rzeźbionym oparciu.

Jack dopiero teraz rozróżnił w motywie rzeźby stylizowane sploty węzowych ciał. Znowu przypomniał sobie treść listu. Był tak niezwykły, że pamiętał niemal każde słowo.

Wparł plecy w miękkie poduszki.

- Czy to wezwanie straciło na aktualności?

Profesor wydawał się bez reszty zajęty oglądaniem zawilego ornamentu sztyletu, który wziął z biurka.

- Był czas, że tak myślałem - nie odrywał wzroku od matowego ostrza z brązu - ale teraz... A przecież przysłowie mówi, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce - zakończył niezrozumiale.

Zdławiony dźwięk głosu działał na Jacka coraz bardziej przygnębiająco. I te ciągle niedomówienia...

- A jak się powodzi Robertowi? - rzucił pytanie chcąc wprowadzić rozmowę na bardziej uchwytne tory.

Drgnął słysząc odgłos dobiegający od fotela, na którym siedziała Kay. Nie widział jej twarzy, gdyż raptownie odwróciła głowę, odgłos jednak do złudzenia przypominał zduszony szloch.

Twarz profesora zastygła w skurczu, przypominając jedną z azteckich masek rozwieszonych po ścianach gabinetu.

Podniósł rękę do czoła, opadła jednak bezwładnie w połowie drogi.

Jack przesunął pytającym spojrzeniem od kuzynki ku stryjowi.

- O co znów chodzi? Czy Robert wyjechał? - Zdecydował się wreszcie przerwać milczenie, które stawało się nieznośne.

Profesor odłożył raptownie sztylet, aż metal zadrżał wibrującym dźwiękiem.

- Robert... Robert nie żyje. - Urywany głos wydobywał się jak spod ziemi.

Jack zerwał się na równe nogi. - Co? - Wlepił w twarz stryja rozszerzone zgrozą spojrzenie. - Co się stało Robertowi? Chyba się przesłyszał. To przecież niemożliwe, żeby...

- Robert nie żyje - powtórzył drewnianym głosem profesor.

Jack opadł bezwładnie z powrotem na fotel. Zdawało mu się, że mózg drętwieje pod nagle obolałą czaszką. Wciągnął ze świstem powietrze. Te trzy słowa ogłuszyły go jak celny nokaut. Czuł pot występujący na czoło. Nie był jednak zdolny podnieść ręki, by obetrzeć spływające powoli krople.

Twarz profesora wciąż robiła wrażenie kamiennej maski.

Z wysiłkiem walczył z bezwładnością języka.

- Ale... ale przecież wtedy, gdy stryj pisał do mnie list... i... - Umilkł bezradnie, nie będąc w

stanie sformułować pytania.

Stryj jednak zrozumiał. Wzrok jego przywarł do nieprzeniknionej czerni leżącej na okiennych szybach.

- Tak... Wtedy, gdy pisałem list, Robert jeszcze żył. Później także... Umarł niespełna dwa tygodnie temu.

Pod powiekami coś Jacka zapiekło. Kochał Roberta niemal jak brata.

- Nie żyje? - Niezmiernie trudno było uwierzyć w tę wiadomość. Przed oczyma stanęła barczysta postać wspaniale zbudowanego młodzieńca.

Gdy się ostatni raz widzieli, przygotowywał się do mistrzostw bokserskich. Był pełen nadziei, że zdobędzie jedno z pierwszych miejsc. A teraz... Opanowywał się całym wysiłkiem woli.

- Tak mi strasznie... tak niewymownie przykro - szepnął. - Czy - zwilżył językiem wyschłe wargi - czy katastrofa nastąpiła nagle?

Kay odsunęła powoli dłonie, którymi dotychczas zakrywała twarz.

- Tak. - Słowa rwały się od powstrzymywanego siłą łkania. - Zupełnie nagle. Zapaść sercowa.

Profesor sięgnął ku stojącej na biurku szklance napełnionej jakimś brunatnym płynem. Pił drobnymi łyżkami, przy czym grdyka poruszała się, jakby przełknięcie każdej kropli stanowiło bolesny wyczyn.

- Zapaść sercowa - powtórzył w ponurym zamyśleniu. - Ta sama zapaść, na którą umarł w zeszłym miesiącu nasz kamerdyner Johnson.

Kay podbiegła ku niemu.

- Ależ tatuśku - nachyliła się nad nim przytulając twarz do pooranego głębokimi zmarszczkami policzka - przecież u Johnsona doktor Jacoby stwierdził udar mózgowy.

Żarliwy nacisk słów wskazywał, że za wszelką cenę pragnie przekonać ojca o prawdzie tego, co mówi. Niemal błagała, by uwierzył.

Profesor ujął z powrotem odłożony przed chwilą sztylet.

- Słusznie - rzucił w przestrzeń. - Doktor Jacoby stwierdził... Ciekawym - przełknął głośno ślinę - jaką przyczynę zgonu stwierdzi u następnej ofiary, na którą przyjdzie teraz kolej?

III. Zamknięty pokój

Noc ciągnęła się jak guma. Jackowi wydawało się, że nigdy nie będzie miała końca. Tragiczna wiadomość wierciła dokuczliwym cierniem w obolałym mózgu. Co miały znaczyć ostatnie słowa

stryja? Czyżby naprawdę istniały jakieś dane, że Robert zginął gwałtowną śmiercią?

Przewracanie się z boku na bok nie przynosiło najmniejszej ulgi. Sen nie nadchodził.

Gdy rano wychodził ze swego pokoju, czuł się jeszcze bardziej zmęczony niż bezpośrednio po przebyciu wielu tysięcy mil pospiesznej podróży ze słonecznej wyspy.

Przy stole zastał tylko Kay. Fotel stryja świecił pustką. Na ledwo dostrzegalne pytanie w spojrzeniu Jacka, Kay uśmiechnęła się smutno.

- Ojciec kazał cię bardzo przeprosić za swą nieobecność, ale... - zawahała się przez króciutką chwilę - pracuje. Ostatnio bardzo wiele czasu spędza przy pracy - zakończyła cicho.

Jack ze zrozumieniem pokiwał głową. Cóż dziwnego, że starszy pan po takiej tragedii nie ma głowy do zachowania ceremonialnych grzeczności? Zresztą nie uważał się za gościa w tym domu. Traktował go prawie jak rodzinny.

Zwarł szczęki, widząc w pełnym świetle dnia tragicznie zmienioną twarzyczkę kuzynki. Robiła wrażenie nikłego cienia dawnej Kay. Musiała niezmiernie, boleśnie odczuć katastrofę. Zupełnie rozumiała. Bardzo kochała Roberta. Próbował ją trochę ożywić zahaczając o neutralne tematy. Nic jednak nie wychodziło. Zdał sobie wreszcie sprawę, że pomimo pozorów słuchania nie rozumie ani słowa z tego, co mówił.

Raz po raz wzrok jej zastygał, wpatrzony w niewidzialny punkt. Sądząc po wyrazie twarzy, myśli przebiegające pod strzechą płowych włosów nie należały do specjalnie wesołych.

Nie dziwił się ani trochę. Jemu też było niezmiernie przykro.

- Kiedy będę mógł porozmawiać ze stryjem?

- zapytał, gdy znużonym ruchem odstawiła opróżnioną filiżankę.

- Co? - spojrzała nań niemal nieprzytomnie.

- Ach tak... - przesunęła ręką po czole - tatuś... prosił, żebyś zaszedł do niego po południu.

Zerknął w kierunku tarczy zegara. Po południu? Czekanie tyle godzin wydało mu się nagłe ponad siły. Jeżeli rzeczywiście w śmierci Roberta tkwiła jakaś tajemnica?

- Kay - zaczął łagodnie - ja cię okropnie przepraszam, kochanie, ale... - urwał szukając odpowiednich słów. To nie było takie łatwe.

- Za co mnie przepraszasz? - Podniosła powoli głowę.

- Widzisz... zająknął się - chciałbym wiedzieć, co stryj podejrzewa...

Drgnęła. Wąskie palce, leżące bezwładnie na obrusie, zacisnęły się kurczowo.

- Masz na myśli - głos jej się załamał - śmierć Roberta?

- Tak. - Wlepił spojrzenie w talerz. Męka malująca się na pobladłej twarzy godziła niemym wyrzutem prosto w serce.

- Ja... ja nie wiem. - W źrenicach zaszklily się powstrzymywane łzy. - Nigdy nie powiedział tego wyraźnie. Ale...

Widać było, że wypowiedzenie każdego słowa sprawia jej niewymowną trudność. Zapragnął przyjść z pomocą.

- Jak... jak się to stało? - poddał.

- To... było dwudziestego lipca. Rano Robert nie wychodził długo ze swego pokoju. Nie odzywał się pomimo pukania. Tatuś... Tatuś od razu się zaniepokoił, jakby przeczuwając nieszczęście. Ja wybierałam się właśnie na partię tenisa. Wychodziłam, gdy tatuś mnie zatrzymał. Sprowadził ślusarza. Gdyśmy weszli do pokoju Roberta... - głos zadrgał tłumionym szlochem... - Robby... siedział przy swoim biurku... wydawało nam się, że zasnął... Ale... Ale już był sztywny...

- Drzwi były zamknięte?

- Tak. Na klucz. Od środka.

- A... okno?

- Okno? - Znowu potarła czoło. - Okno? - powtórzyła zamyślając się. - W oknach tatuś miesiąc przed tym kazał wprawić stalowe kraty. We wszystkich. Bez wyjątku.

Jack poruszył się gwałtownie na krześle.

- W takim razie... Skoro zamknięte drzwi i kraty? Nie rozumiem...

- Ja też nie rozumiem. Może ojciec myślał, że trucizna... Nie znaleziono ani śladu...

- To...?

- Tak. - Zrozumiała niedopowiedziane pytanie. - Robby'ego pokrajali. Tatuś tego żądał. Boże - wybuchnęła nagle niepowstrzymanym łkaniem. - Boże, jakie to wszystko okropne...

Podbiegł ku niej, obejmując wstrząsane spazmem ciało opiekuńczym ramieniem.

- Uspokój się Kay... Uspokój się biedactwo. Ja rozumiem... ale to już...

Przygarnęła się ku niemu jak bezbronne pisklę szukające opieki.

- Jakiś ty dobry, Jack... Zawsze byłeś dla mnie dobry. Żebyś wiedział, jak... ciężko... Jak strasznie ciężko. - Spazm powoli cichł.

Jack nie wypuszczał jej z objęcia dłuższą chwilę.

- No maleńka - posadził ją ostrożnie na fotelu - już jesteś dzielną dziewczynką, prawda?

- Tak... - wargi drgnęły w bolesnym uśmiechu - już...

- Czy nie wiesz dlaczego stryj... - odezwał się po chwili milczenia - dlaczego... - urwał nie mogąc sformułować dalszego ciągu pytania - mno... skąd te jego podejrzenia?

- Nie wiem. Tatus po... po tym nieszczęściu stał się taki dziwny... Przed tym... Przed tym także. Zresztą my wszyscy staliśmy się dziwni w tym domu... Chwilami brakuje sił, żeby... Wybacz... - Wybiegła spieszenie z pokoju.

Biedactwo - pogonił za nią wzrokiem - pewno chce się wypłakać w ukryciu. Serce ogarniała fala ciepłego współczucia. Biedna mała siostrzyczka.

Przez parę następnych godzin tkwił bez ruchu w przepaścistym klubowcu ćmiąc papierosa za papierosem. Myśl pracowała z wysiłkiem nad rozwiązaniem zagadnienia. Dlaczego stryj podejrzewał jakąś tajemnicę śmierci Roberta, skoro wszystkie okoliczności katastrofy świadczyły, że śmierć nie mogła nastąpić w żaden inny, tylko naturalny sposób? I czego obawiał się w przyszłości?

IV. Bogini Matka

Profesor zastanawiał się nad każdym słowem.

- Widzisz, zaczęło się to mniej więcej przed trzema miesiącami. To jest... - obserwował przez chwilę dym ulatujący z' cygara - może zaczęło się znacznie wcześniej, ale przed dwoma miesiącami zaszedł fakt bardziej konkretny od poprzednich. Mianowicie włamano się do tego domu...

Jack słuchał przetrawiając w mózgu.

- Jednak nie widzę związku... Profesor podniósł rękę.

- Poczekaj. W tej historii wszystko ma ze sobą związek. Otóż włamanie miało dość dziwny charakter. Przedostano się przez drzwi prowadzące na taras. Droga rabusia prowadziła przez stołowy... Sam wiesz, jakiej wartości są srebra znajdujące się w nie zamkniętym kredensie. Nie mówiąc już o porcelanie. Nie ruszono jednak ani jednej sztuki.

- Więc nic nie zrabowano?

Wzrok profesora utkwiał w ohydnej masce wiszącej na ścianie.

- Owszem - oświadczył po chwili z ledwo dostrzegalnym wahaniem w głosie - jednak skradziono coś.

- Coś wartościowego? Znowu wahanie.

- Tak.

Jack podniósł się z fotela.

- No, widzi stryj. Zagadka włamania wytłumaczona. Dlatego nie ruszono innych przedmiotów, że skradziono najcenniejsze...

Stryj zaprzeczył.

- To nie jest takie proste. Bo widzisz, wartość tego, co zabrano, jest względna. Włamywacz musiałby obejść dziesiątki tysięcy ludzi, by znaleźć nabywcę. Każdy paser wyśmiałby propozycję nabycia tego rodzaju łupu. Chyba że... - urwał wpadając w zadumę. Zdawał się zapominać o obecności Jacka.

- Chyba że co? - poddał Jack.

Profesor potarł knykciami palców podbródek.

- Nie, nic. Głupstwo. Tak, głupstwo - powtórzył wzruszając ramionami. - Jednym słowem większość ludzi nie schyliłaby się nawet, by podnieść spod swoich nóg przedmioty w tym rodzaju.

- A jakie mianowicie? - zapytał wprost Jack.

Profesor podniósł się ociężale, podchodząc ku grubej pluszowej zasłonie.

- Pokażę ci te, które pozostały - odsunął portierę.

Jack spojrział z niekłamanym zdumieniem na I pancerną płytę drzwi. Robiła wrażenie wejścia do skarbcza. To było w każdym razie coś nowego.

Nieraz bywał przed laty w gabinecie stryja i nie zauważył niczego w tym rodzaju.

Profesor otwierał skomplikowanie wyciętymi kluczami trzy kolejne zamki. Gdy wreszcie szczęknął ostatni, potężna płyta odsunęła się z lekkim zgrzytem, odsłaniając mroczną czeluść, pozbawioną najsłabszego choćby promyka światła.

Sucho szczęknął przekręcany wyłącznik. Z mleczej kuli zawieszanej u sufitu spłynęła fala światła.

Jack cofnął się odruchowo.

Olbrzymia twarz, która wyłoniła się z mroku, zdawała się iść na spotkanie intruza. Uśmiech przepojony żądzą krwi przypominał echo jakiegoś męczącego koszmaru. Ze ścian patrzyły pustymi oczodołami potworne maski. Wyrzeźbione z kamienia węże robiły wrażenie żywych.

Opanował się.

- Ach tak - wzruszył ramionami usiłując nadać głosowi lekceważące brzmienie - indiańskie bożki z Jukataniu?

Profesor pokiwał z dezaprobatą głową.

- Bogi Majów, Jack - poprawił z lekkim naciskiem. - A to - wskazał niemal uroczystym gestem olbrzymi posąg stojący na środku pokoju - Bogini Matka.

Jack wsunawszy ręce do kieszeni przyjrzał się dokładnie kamiennej figurze.

- Bogini Matka? - Wydał wargi. - Powiedziałbym raczej: Bogini Śmierci. Ma taką minę, jakby chciała połknąć człowieka żywcem.

- Hm... tak - profesor oparł w zamyśleniu dłonie o kamień dziwnego kształtu stojący przed posągiem - z praktyk kapłanów Majów należałoby sądzić, że uważają śmierć za symbol życia. Na tym oto ołtarzu setki lat składano ofiary Bogini Matce.

- Jakiego rodzaju ofiary? - zapytał podejrzliwie Jack.

- Z drgających jeszcze serc, wydartych z piersi żywych ludzi. O patrz - wskazał wyżłobienia w kamiennej płycie - tymi rowkami spływała krew mordowanych.

Jack mimo woli zagwizdał przez zęby.

- Przyjemna religia - mruknął oglądając zawieszony na ścianach makietę - wygląda jakby rzeźbił wariat opany manią morderstwa... A te węże... Te kłębowiska wijących się węży. To ma być sztuka?

- Tak - potwierdził profesor - to jest sztuka. Sztuka, jakiej nie ma równych. Nigdy przedtem ani potem nie zdołano stworzyć niczego w tym rodzaju.

Jack sięgnął do kieszeni po portycygar. Nie wyjął go jednak. Może w tym niesamowitym muzeum nie wypada palić? Stryj miał tak uroczystą minę, jakby się znajdował co najmniej w prawdziwej świątyni.

- Przewiezienie takiego kolosa nie należało pewno do specjalnie łatwych? - powiedział, aby przerwać milczenie, wskazując ruchem głowy na posąg.

- Nie... nie było łatwe. - Profesor zamyślił się. - Choć pocięliśmy na bloki, transport na mułach do granicy kosztował nas wiele wysiłku... I - ledwo dostrzegalna chwilka wahania - i dużo kłopotu - dokończył.

- Na mułach? - zdziwił się. - Czyż w Meksyku nie ma kolei?

Profesor odchrząknął.

- Owszem, są. Musieliśmy jednak transportować na mułach. Były pewne powody.

Jack spojrział z ukosa na starszego pana.

- Władze robiły trudności?

Ledwo dosłyszalny śmiech profesora przypominał chrobotanie zardzewiałego żelaza.

- Możesz mi wierzyć, że robiły wszystko, co było w ich mocy, by nie wypuścić transportu przez granicę.

- Jednak udało się stryjowi...

Zarys szczęk profesora przybrał dziwne kanciaste linie.

- Tak. Udało się - potwierdził sucho.

Jack spojrział na niego z ukosa. W głosie dźwięczały złowrogie nutki.

Zapatrzony w kamienny posąg, profesor zdawał się nie pamiętać o tym, po co tu przyszli.

- Więc zrabowali coś z tych... hm... wykopalisk? - poddał.

Profesor drgnął jakby obudzony z głębokiego snu..

- Tak - pomarszczony palec wskazał porozwieszane na ścianach podłużne przedmioty, pokryte barwną inkrustacją - zabrano między innymi dmuchawkę.

Jack podszedł bliżej.

- Do czego to służy? Manierka na whisky? Brwi profesora leciutko drgnęły.

- Niezupełnie. W swoim czasie, jakieś dwanaście wieków temu, narzędzie to nosiło poetyczną nazwę „pierzastej śmierci”.

Jack otworzył szeroko oczy.

- „Pierzasta śmierć”? Co znowu za diabelszczyzna?

Profesor podszedł do oszklonej gablotki, wyjmując pincetką metalowe ostrze owinięte u nasady czymś w rodzaju bawełny. Powierzchnię pokrywał nalot zielonej rdzy. Ostrze przypominało z kształtu miniaturowy bolec.

- To jest właśnie „pierzasta śmierć” - wyjaśnił. - Oczywiście zatrute. Wystarczy najlżejsze zadrapanie, by ofiara w parę sekund pożegnała się z życiem. A jeszcze dzisiaj znalazłoby się kilku specjalistów, którzy umieją trafić tym drobiazgiem z dmuchawki na zadziwiająco wielką odległość.

Jack zacisnął zęby.

- Ach tak - mruknął. - I to nie zostawia zbyt widocznych śladów?

- Prawie żadnych - Lekkie uklucie to wszystko. Jack zamyślił się. Zaczął sobie zdawać sprawę z przyczyny podejrzeń stryja.

- Ale - zaczął z wahaniem - przecież nawet takim drobiazgiem nie można strzelać poprzez zamknięte okna.

- Poprzez zamknięte okna nie - potwierdził profesor - wystarczy jednak jakiś mały otwór. Na przykład wentylator.

- W pokoju Robby'ego był wentylator?

- Tak.

- Jednak badanie lekarskie - nie chciał użyć wyrazu „sekcja” - nie wykazało śladu trucizny w organizmie Roberta?

Profesor wzruszył lekko ramionami.

- Cóż z tego? Naszej nauce nie udało się dotychczas zanalizować składników trucizny, którą są powleczone ostrza. Nie jestem pewien, czy da się wykryć jej obecność w organizmie.

Jacka zaczęło opanowywać coraz większe zdenerwowanie. Miał wrażenie, że w tej niesamowitej świątyni powietrze było przepojone miazmatami wylanej przed setkami lat krwi. Przed potworną twarzą bogini i wyszczerzonymi ze ścian maskami nie było ucieczki. Kłębowiska węzów zdawały się sprężyć do morderczego skoku.

- Ale kto by... - nagle urwał, uderzony niespodziewaną myślą. - Czy te... hm, bożki mają jeszcze teraz swoich czcicieli? - wskazał na posąg.

Starszy pan ostrożnie układał z powrotem ostrze na czarnym aksamicie.

- Rozumiem sens twego pytania - powiedział powoli nie odwracając głowy. - Oficjalnie jest to religia zupełnie wygasła. Potomkowie Majów od dawna należą do chrześcijańskich wyznań.

- A nieoficjalnie?

- Nieoficjalnie znalazłoby się kilka... czy ja wiem, może nawet kilkanaście tysięcy ludzi, którzy by porwanie tych bogów uznali za świętokradztwo. W ukryciu odludnych lasów Meksyku i rozpadlin Jukatany, odbywają się podobno dziwne misteria, niewiele odbiegające od tych, których przed przeszło tysiącem lat był świadkiem ten oto kamień - wskazał na ofiarny ołtarz.

- Czy ci ludzie posunęliby się nawet do morderstwa?

Bezkrwiste wargi profesora drgnęły w dziwnym uśmiechu.

- Religia Majów uważa mord za czynność nadającą się do uświetnienia każdego obrzędu.

Jack podszedł do profesora.

- Ale stryju - dotknął delikatnie jego łokcia - przecież w Europie...

Profesor odwrócił się ociężałym ruchem ku niemu.

- Nawet w tym domu znalazłby się ktoś” kto pod cienką powłoką chrystianizmu nosi w sercu kult bogini Mai.

Jack osłupiał.

- W tym domu? - powtórzył jak echo.

- Tak. Nasz służący John, który zresztą posiada jeszcze inne, niezmiernie trudne do wymówienia imię, jest w prostej linii potomkiem Majów. Czystej krwi. Przywiozłem go z Meksyku.

Jack przetarł wierzchem dłoni czoło.

- Czy... czy podejrzewasz go, że...

- Czy podejrzewam? Ba, kogo ja nie podejrzewam! Ale Johna raczej najmniej. Miał tysiące okazji zgładzić nas, zanim wywieźliśmy to wszystko - zakreślił ruchem ręki wokoło - z Meksyku. Trudno byłoby wytłumaczyć dlaczego miał czekać przez tyle lat.

- A czy ten John... byłby zdolny do zamordowania człowieka?

Profesor znowu uśmiechnął się dziwnie.

- O tak... co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Jest zdolny do wielu... bardzo wielu rzeczy. Ale istnieją pewne poważne powody, by postawić go na ostatnim miejscu listy podejrzanych. Bardzo poważne powody - powtórzył.

- A kto stoi na pierwszym miejscu? Profesor pokręcił głową.

- Nie... Oczywiście nie ma żadnej listy... Powiedziałem to tylko tak sobie... na wiatr... Przecież doktor Jacoby stwierdził, że przyczyną śmierci Roberta był aneurizm serca. Nie tylko zresztą on jeden.

Jack odetchnął z ulgą, gdy wreszcie opuścił makabryczne muzeum.

Na zalanym potokami słońca tarasie słowa stryja nagle straciły ważkość. Tu wszystko wyglądało inaczej niż w otoczeniu indiańskich masek i kamiennych węzów.

Wyciągnięty wygodnie na elastycznym leżaku jeszcze raz przebiegał myślą rozmowę. Nie, podejrzenia jednak nie robiły wrażenia prawdopodobnych. Nagła śmierć Roberta stanowiła oczywiście okropną katastrofę. Szczególnie dla najbliższej rodziny. Ale dlaczego jej przyczyną miało być morderstwo? Zresztą jeżeli nawet dopuścić możliwość trafienia z dmuchawki przez otwór

wentylatora i niewykrycia śladów trucizny w organizmie, to gdzie by się podziela strzała? Nie była ostatecznie taka maleńka.

V. Złamana strzała

- I co ojciec... Co ty o tym wszystkim sądzisz.

Mizerna twarzyczka Kay spoczywała na splecionych dłoniach. Podłużne migdały lśniących oczu zastygły w nieruchomym spojrzeniu.

Jackowi nasunęło się wspomnienie widzianego kiedyś wizerunku egipskiej księżniczki z czasów Faraonów. Była w tej chwili niezmiernie podobna do tej księżniczki. Brakowało tylko charakterystycznego nakrycia głowy.

Zawahał się przez chwilę, szukając odpowiedzi. To nie było takie proste. Bo cóż właściwie powiedział stryj? Jeśli by wycisnąć słowa, pozostałoby niezmiernie mało. Zresztą sens... Ba. Te same słowa padające w otoczeniu ponurych wykopalisk zdawały się mieć zupełnie inne znaczenie niż teraz przy lśniącym srebrem i kryształami stole. Mogło być morderstwo... Ale sam stryj powiedział, że jako przyczynę śmierci Roberta stwierdzono aneurizm serca.

- Czy ja wiem... - wyglądał palcami zmarszczkę na obrusie - stryj pokazywał te indiańskie dmuchawki. Mówił, że lekkie zadrapanie ostrzem powoduje śmierć.

Spojrzała z natężeniem.

- W pokoju Robby'ego okno było zamknięte...

- Tak. Wiem. Stryj jednak miał na myśli otwór wentylatora.

- O... to prawda. Wentylator! Ale strzała? Nie znaleziono jej przecież...

Jack pochylił się ku niej dotykając leciutko końcami palców obnażonego ramienia.

- Słuchaj malutka... Strasznie mi przykro, że rozjątrzam pytaniami bolesną ranę... Ale widzisz... Jestem przekonany, że te... podejrzenia... że stryjowi byłoby lżej znieść katastrofę, gdyby nabrał przekonania co do jej naturalnego charakteru.

- Pytaj, Jack - słowa brzmiały ledwo dosłyszalnym tchnieniem.

- Czy istniała jakakolwiek możliwość, by tego rodzaju strzała uszła uwadze tych, którzy weszli do pokoju Robby'ego w dniu tragedii?

Przykryła powiekami oczy. Zamyśliła się.

- Czy mogliśmy nie zauważyć strzały? - powtórzyła półgłosem pytanie, rozdzielając sylaby. - Cóż - znowu zalśniły błyskiem czarnych diamentów podłużne źrenice - byliśmy tak wstrząśnięci, że... A strzała jest taka niewielka... Gdyby potoczyła się pod jakiś mebel...

Jack aż drgnął ze zdziwienia. Był pewien, że Kay, kategorycznie zaprzeczy. Wciągnął głęboko powietrze do płuc.

- Więc sądzisz, że istnieje taka możliwość przeoczenia?

- Niestety, nie mogłabym przysiąc, że nie - powiedziała żałośnie.

Poruszył się niespokojnie na krześle. Diabelna komplikacja. Był pewien, że sprawa wyjaśnia się ostatecznie, a tu...

- Czy Robert po... po katastrofie miał na skórze jakieś zadrapanie? To znaczy, czy zauważyłaś coś w tym rodzaju?

Oczy jej pociemniały.

- Ależ Jack... Przecież Robby trenował boks.;. Zaciął zębami wargi.

- Rozumiem. Więc miał zadrapania. W takim razie jednak podejrzenia stryja mogą mieć w zasadzie pewne podstawy?

Usta Kay zadrżały.

- Myślisz o morderstwie? Kto mógłby... Robby nie miał wrogów... Był... był taki kochany. Wszyscy go lubili... I dmuchawka... Nie wiem czy w całej Europie znajdzie się choć jeden człowiek, który by umiał jej użyć. A cóż dopiero trafić na odległość...

- A... a John? Wasz służący jest podobno Mają?

Podniosła sztywno głowę.

- John? Od tylu lat jest w naszym domu.;. Niemal wychował Robby'ego... On miałby... Nie! - Zacisnęła splecione palce z taką siłą, aż skóra przybrała białą barwę. - To niemożliwe. Czyżby *daddy* go podejrzewał?

W oczach jej zamigotał wyraz naprężonej czujności.

Jack pogładził uspokajająco ramię dziewczyny.

- Nie... uspokój się siostrzyczko. Stryj wcale nie podejrzewa Johna. Choć właściwie, jeżeliby przyjąć choć cień możliwości, że zostało popełnione morderstwo... i to w ten sposób, jak stryj sądzi, powinien biorąc na zdrowy rozum, mieć na myśli przede wszystkim tego Maję. Twierdzi jednak, że istnieją jakieś bardzo ważne powody wskazujące, że stoi poza wszelkimi podejrzeniami. Nie bardzo rozumiem, jak to można pogodzić. Ale tak jest naprawdę.

Przez mgnienie oka doznał wrażenia, jakby po twarzyczce Kay przesunął się cień. Gdy jednak spojrział uważniej, doszedł do wniosku, że musiało mu się przywidzieć. Rysy kuzynki wyrażały ulgę.

- Więc na szczęście nie podejrzewa Johna - szepnęła. - A...

Cichy trzask otwieranych na piętrze drzwi przerwał dalsze słowa. Na podeście schodów wyrosła sylwetka profesora.

- Jack - zawołał półgłosem - czy mógłbym cię prosić na chwilkę?

Jack zerwał się pospiesznie.

- Wybacz, siostrzyczko... Zaraz wracam.

Kay odwróciła się powoli w kierunku schodów.

- Czy ja także jestem potrzebna, *daddy*? Profesor pokiwał przecząco głową.

- Nie. Chciałem pokazać Jackowi pewną rzecz ze zbiorów. Widziałaś ją wiele razy.

- W takim razie poczekam tutaj - wzrok jej gonił za wstępującym na stopnie kuzynem. Twarz przybrała wyraz głębokiej zadumy.

Profesor zamknął starannie drzwi.

- Nie byłem zupełnie ścisły przed chwilą - powiedział bezbarwnie. - Bo Kay tej rzeczy nie widziała ani razu. A poza tym nie pochodzi ona z moich zbiorów. - Podprowadził Jacka do biurka. - Patrz, jaki prezent znalazłem dziś rano.

Od lśniącego mahoni polerowanej płyty odbijał matowym dysonansem kształt ułamanej u nasady strzały. Metal chropowatego ostrza pokrywał nalot nieokreślonego koloru.

Jack wyciągnął rękę.

- To...

Profesor powstrzymał go szybkim chwytem.

- Lepiej nie dotykać bez zachowania odpowiednich środków ostrożności.

Ręka Jacka opadła w pół drogi.

- Zatruta?

Profesor wzruszył lekko ramionami.

- Nie wiem. Ale możliwe. Jak ci się podoba prezent?

Jack przyjrzał się uważniej. Strzała wydała mu się o wiele większa od tej, którą mu pokazywał wczoraj profesor.

- To chyba nie pasuje do dmuchawki? - zapytał niepewnie. Nie bardzo rozumiał cel, rozmowy.

Nieruchoma twarz stryja nie wyrażała żadnych uczuć.

- Słusznie - potwierdził profesor - jest to zwykła strzała używana do łuku. Tyle tylko, że złamana - nacisk położony na ostatnie słowo zwrócił uwagę Jacka.

- Czy to ma jakieś specjalne znaczenie? Profesor przysiadł na poręczu fotela. Palce zabębniły leciutko po skórzanym obiciu.

- Złamana strzała według zwyczajów azteckich stanowi zapowiedź „pierzastej śmierci”. Zwyczaj ten zresztą zachował się jeszcze dotychczas wśród Majów.

Jack zamrugał bezradnie powiekami.

- Bardzo mi przykro, stryju, ale szczerze mówiąc, nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Widocznie okropny ze mnie tuman.

- To - wyjaśnił profesor wskazując kiwnięciem głowy strzałę - stanowi coś w rodzaju wyroku śmierci. W pewien czas później przychodzi druga strzała, która kładzie kres życiu skazanego, proste. Teraz chyba zrozumiałeś?

Obojętny głos nadawał wypowiedzanym słowom jeszcze bardziej niesamowitego posmaku.

Jack zdrętwiał.

- O... - syknął przez zęby - rozumiałem aż nadto dobrze. I jeżeli stryj mówi to poważnie...

- Czyż sądzisz, że jestem w nastroju do niemądrych żartów?

Jack zwiesił głowę.

- *Sorry*. Uderzenie jednak wypadło cokolwiek zbyt mocno. Trochę mnie oszołomiło. Więc to pogróżka?

- Nie. Wyrok. Jeszcze się nie zdarzyło, by posłannictwo złamanej strzały nie dotrzymało zapowiedzi. Jak widzisz, teraz na mnie przyszła kolej... aneuryzmu serca. Zresztą może doktor Jacoby tym razem stwierdzi jakąś inną przyczynę zgonu - dodał beznamiętnie.

Jack oparł się ciężko o fotel. Z trudem zbierał myśli.

- Kto to przyniósł? - zapytał po chwili.

- Nikt.

- Jak to nikt? Przecież...

- Widzisz - przerwał profesor - mówiłem ci już na wstępie, że w tym domu dzieją się rozmaite dziwne rzeczy. Klucz od pokoju istnieje tylko jeden. Noszę go zawsze przy sobie, gdy wychodzę i nigdy nie zapominam zamknąć dokładnie drzwi. Zamek jest tego rodzaju, że nie można go otworzyć bez właściwego klucza. A w każdym razie nie można otworzyć nie uszkadzając. Okno zamknięte. Wentylator także. W ścianach nie ma żadnego nie zabezpieczonego otworu. Biorąc na zdrowy rozum, nie istnieje możliwość wejścia do tego pokoju lub podrzucenia czegokolwiek. A jednak ktoś wszedł i położył tę strzałę. Powtarzam położył, bo gdyby ją wrzucono z odległości, na politurze musiałyby powstać rysy.

W mózgu Jacka panował coraz większy chaos.

- Jednak w tych warunkach to przecież niemożliwe? - bąknął.

- Niemożliwe - zgodził się uprzejmie profesor. - A jednak, jak widzisz, miało miejsce.

- I stryj przypuszcza, że te pogróżki...

- Ten wyrok - poprawił profesor.

- Ten wyrok... będą próbowali wykonać?

- Jestem zupełnie pewien, że go wykonają.

- Ręka, którą profesor sięgnął po cygaro, nie zdradzała ani śladu drżenia.

Jack w żaden sposób nie mógłby tego samego powiedzieć o swojej własnej. Był zdenerwowany do ostateczności i nic nie potrafił na to poradzić. Zresztą w takiej sytuacji trzeba chyba w ogóle nie mieć nerwów, by zachować równowagę. Dyskusja o zamierzonym na osobie rozmówcy morderstwie, jako o czymś, co miało nastąpić z niechybną pewnością, nabierała cech ponurej groteski z Grand Guignole'u.

Chwilami odnosił wrażenie, że zapadł w męczący koszmar, z którego lada moment się zbudzi.

Pokonując bezwład, zerwał się z fotela.

- I stryj ma zamiar czekać tak z założonymi rękami na wizytę mordercy?

- A co mam robić?

- Trzeba by... - urwał. Pod obolałą nagle czaszką mózg wysechł jak wyciśnięta gąbka.

- Co by trzeba? - zapytał bez większego zainteresowania profesor. - Słucham?

Jack przetarł knykciami powieki. Koszmar? Nie, do wszystkich diabłów! Niestety rzeczywistość.

- Przede wszystkim należałoby zawiadomić policję...

Profesor wypuścił ustami kłęb wonnego dymu.

- Sądysz, że policja zdoła obronić przed kimś, kto potrafi przenikać ściany?

- Nie ma takich ludzi na całej kuli ziemskiej, którzy by umieli spacerować poprzez ściany i zamknięte drzwi - zawołał Jack z rozpaczliwą stanowczością.

- Hm - kłęb dymu. - A jednak na świecie dzieje się dużo rzeczy, o których nie śniło się filozofom.

- I to mówi stryj - zaperzył się Jack. - Profesor Królewskiego Uniwersytetu?

- Nie. To powiedział ktoś znacznie większy od profesorów wszystkich uniwersytetów świata. A ja tylko za nim powtarzam. Powtarzam, bo w ciągu długich lat swojej pracy przekonałem się o prawdziwości tego twierdzenia. Pamiętasz historię lorda Donovana?

Jack gryzł nerwowo koniec cygara.

- To było co innego...

- Owszem. Pewne różnice geograficzne. Egipt i Meksyk. Ale w rezultacie... Czy Donovanowi dużo pomogła opieka policji? Zresztą, czy nie sądzisz, że w policji mogliby mnie wyśmiać, gdybym opowiedział to, co tobie?

Jack przełknął gorzką od soku nikotyny ślinę. Aż się zakrztusił. Stryj miał słuszość. Wyśmialiby na pewno. Oczywiście nie w oczy. Ale śmieszki poza plecami bywają niekiedy jeszcze bardziej dotkliwe. A obawa przed śmiesznością była tak mocno zakorzeniona w duszach mieszkańców Wyspy, że... Trudno. Czuł, że na miejscu stryja sam nie zwróciłby się do policji w tej sprawie. Należało szukać innego wyjścia.

- Musi stryj zmienić zamki w drzwiach...

- Po co?

- Jednak... Czy stryj absolutnie wyklucza możliwość dorobienia drugiego klucza albo sforsowania zamku?

- Absolutnie. Specjalista, który go zakładał, gwarantował, że jest to niemożliwe. A wierz mi, że był to najlepszy specjalista w Londynie.

- W takim razie trzeba zamknąć tego waszego Johna...

- Ach tak... Dlatego, że jest potomkiem Majów?

- Właśnie dlatego. Sam stryj mówił, że ta przeklęta złamana strzała jest ich wyrokiem śmierci. A skoro w najbliższej okolicy nie ma innego Indianina z tego plemienia...

Profesor podniósł rękę.

- O... bardzo przepraszam. Wcale nie mówiłem, że w Londynie nie ma więcej Majów.

- Zna stryj jeszcze jakiego?

- Nie znam. To jednak nie przeszkadza, że w stolicy jest cała chmara dżentelmenów o najrozmaitszym zabarwieniu skóry. Dziesiątki z nich mogą równie dobrze należeć do plemienia Majów.

- Mogą. Ale ten należy na pewno.

- Uhum... Powiedzmy. A pod jakim radzisz zamknąć go pretekstem i na jak długo? I czy przy tym wzięłeś pod uwagę nasze ustawodawstwo? Bo chyba nie radzisz, bym go zamknął w swej prywatnej kaźni. Zresztą tak się złożyło, że akurat nie mam odpowiedniej pod ręką.

Dyskretny sarkazm zdusił zapach Jacka. Tak. Znowu stryj miał rację. Projekt należał do niewykonalnych.

- W takim razie... trzeba by... go oddalić - mruknął niezbyt pewnym głosem.

- Czy w wypadku, jeżeli miałby być przyszłym mordercą bardzo by mu to przeszkodziło w urzeczywistnieniu zamiaru?

- No to odesłać do Meksyku... Nie tak łatwo wrócić...

- Odesłać... pod eskortą?

Jack przełknął cisnące się do ust przekleństwo. Na nic. Wszystko na nic.

- Więc co? - zapytał z kolei. - Mamy czekać beczynnienie?

Profesor strzepnął uważnie narosły na końcu cygara popiół.

- Och nie. Oczywiście nie beczynnienie. „Pierzasta śmierć” w stosunku do mnie była tak uprzejma, że uprzedziła o przyjściu. Muszę wykorzystać ten czas, jaki mi jeszcze pozostaje, na uporządkowanie pewnych spraw. Niektóre z nich są diabelnie pogmatwane...

I nagle Jack, patrząc w spokojną twarz stryja, zdał sobie z całą wyrazistością sprawę, że ten człowiek jest niezachwianie przekonany co do nieuchronności nadciągającej katastrofy.

Profesor musiał dostrzec bladość spływającą na twarz bratanka, gdyż podszedł ku niemu, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Głowa do góry, Jack. Jakoś to będzie. Możesz być zresztą pewny, że nie zaniedbam żadnej ostrożności... Możliwej ostrożności. I jeżeli zdarzy się okazja pociągnięcia za cyngiel w obronie życia, nie omieszkam tego uczynić. Spraw mi to prawdziwą rozkosz, zechciej mi wierzyć. Ale... No,

cóż - wzrok jego powędrował gdzieś poza okno - zresztą zobaczymy.

- I niech stryj liczy na mnie - powiedział żarliwie Jack.

- Och... oczywiście, będę na ciebie Uczył. Gdy Jack odchodził, powstrzymał go, dotykając delikatnie rękawa.

- Mam do ciebie pewną prośbę, Jack...

- Słucham?

- Hm... - nie patrzył na niego - nie chciałbym, by ktokolwiek dowiedział się o tej drobnostce - wskazał leniwym ruchem głowy w kierunku biurka. - Ani o jej znaczeniu.

Jack stropił się.

- To znaczy, mam nikomu nie powtarzać naszej rozmowy? - zapytał niepewnie.

- Tak. Bardzo bym cię o to prosił. Jack zawahał się.

- Nikomu? Ale przecież jeżeli chodzi o Kay, to chyba...

- Jej przede wszystkim - przerwał stanowczo. - Przejęłaby się tylko niepotrzebnie. Sam wiesz, jakie miała biedactwo w ostatnich czasach przejścia. Obiecujesz?

Zwlekał z odpowiedzią. To nie było takie łatwe.

Brać wyłącznie na siebie ciężar tego, że się wiedziało?

- Obiecaj... Musisz obiecać! - nastawał. Jack zwiesił głowę.

- Jeżeli stryj to uważa za konieczne...

- Uważam - potwierdził lakonicznie. - Ze względu na nią... I na różne jeszcze inne konsekwencje, które by mogły wyniknąć w przeciwnym wypadku - dodał po chwili.

Jack usiłował zajrzeć w oczy profesora. Nie udało mu się to jednak.

- Co stryj ma na myśli?

Ręka profesora wykonała nieokreślony ruch w powietrzu.

- Nerwy... Nie ma już takiej odporności, jak przed tym wszystkim. Mogłaby dać po sobie poznać, że wie. A... „pierzasta śmierć” nie lubi, gdy ktoś zbyt interesuje się jej sprawami. Rozumiesz?

- Tak - przyznał z rezygnacją - ma stryj rację. W takim razie będę milczał jak grób.

Ugryzł się w język przy ostatnim słowie. Też dopasowane do sytuacji określenie!

Zamykając za sobą drzwi gabinetu, czuł na duszy osad goryczy.

Bezradna świadomość tego, co groziło stryjowi, gniotła ołowianym ciężarem. O ileż lżej byłoby gdyby mógł podzielić się nią z kimkolwiek. Choćby z Kay... Ale stryj miał rację. Po co narażać ją na niebezpieczeństwo? Zresztą rozmyślania należały do całkiem bezpłodnych. Dane przed chwilą słowo stanowiło przeszkodę nie do przewyciężenia.

VI. „Pierzasta śmierć” osiąga ofiary

Tej nocy w ogóle nie kładł się do łóżka.

Sprawdził pistolet. Mechanizm działa bez zarzutu. Nie zatnie się w decydującym momencie. Sprawdził spłonkę każdego naboju oddzielnie. W takiej przeklętej sytuacji nie można przeoczyć najmniejszego drobiazgu. Usiadł wygodnie w fotelu zabierając się do czytania jakiegoś romansu w jaskrawej okładce. Powieść okazała się kryminałem.

- Bardzo a propos - uśmiechnął się bez humoru. Czytał nieuważnie, gubiąc raz po raz wątek skomplikowanej akcji. Wreszcie odłożył książkę ze zniecierpliwieniem, zapalając cygaro. Za dużo osób. Nie mógł się połapać, która do czego pasuje. Zresztą musiał uważać. - O - drgnął. Na dole coś zatrzeszczało.

Zerwał się wybiegając na korytarz. Nadśluchiwał dłuższą chwilę. Nic. Cisza. Wrócił na fotel; nie zamykając drzwi od pokoju.

Pomacał po kieszeniach kurtki. W porządku. W jednej gotowy do strzału pistolet, w drugiej latarka elektryczna z potężnym reflektorem. Jednym słowem pełny rynsztunek bojowy. W razie czego pokaże temu ktosiowi, że sport przechodzenia przez dziurkę od klucza nie należy do najbezpieczniejszych. Pocisk siedmiomilimetrowy zdoła przekonać największego fakira. - Nie śniło się filozofom? - mrucał z przekąsem - to im się właśnie przyśni. Za czasów Szekspira nie istniały automatyczne pistolety ani elektryczne latarki. Duchy wszelkiego rodzaju nie znoszą silnego światła. A tym bardziej obstrzału stalowymi pociskami.

Pomimo walki z coraz silniejszą sennością, nabierał z każdą chwilą otuchy.

- Co tam! Nie da stryja i już. Rachunek za Roberta też wymagał wyrównania. Złamana strzała świadczyła raczej, że rachunek ten należał do zupełnie realnych.

Jeszcze kilkakrotnie wybiegał na korytarz ściskając rękojeść pistoletu. Alarmy okazywały się jednak fałszywe. Dom tonął w sennej ciszy.

Dopiero nad ranem uległ znużeniu zapadając w głęboki sen. Zresztą już świtało. Noc dobiegała końca i nic się nie stało...

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo spał. Sny miał męczące, pełne indiańskich bogiń śmierci, zatrutych strzał i kłębowisk węży.

W mgliste wizje wtargnął obcym dysonansem gwar nieskoordynowanych głosów.

Ociężale uniósł powieki. Serce protestowało niespokojnym rytmem przeciwko nagłemu zbudzeniu. Minęła dłuższa chwila, zanim zdołał się zorientować w sytuacji. Zerwał się raptownie. Z dołu płynął dźwięk wyraźnie podnieconych słów. Poczuł, jak na czoło występują drobne kropelki potu. Zacisnął palce na chłodnym metalu pistoletu.

- Czyżby jednak?

Kilkoma susami podbiegł ku drzwiom gabinetu stryja. Załomotał gwałtownie.

Żadnej odpowiedzi. Więc jednak?

W chwili gdy już stracił nadzieję, za drzwiami zaszurały kroki.

- Kto tam?

Odetchnął z niewymowną ulgą, poznając głos stryja.

Szczęknął zamek. Jack przesunął niespokojnym spojrzeniem po postaci profesora. Wyglądał jak zawsze.

- U stryja wszystko w porządku?

- Tymczasem tak. A co się stało? - Nie wiem. Coś tam na dole...

Zbiegł przeskakując po kilka stopni naraz. Sądząc z brzmienia głosów, historia musiała należeć do poważniejszych.

W hallu przystanął na widok barczystej postaci opiętej w granatowy mundur. Pasiasty mankiet i podpinka pod brodą świadczyły, że nie przyszedł z sąsiedzką wizytą.

Staruszka w rurkowym czepcu zawodziła piskliwie, załamując ruchem pełnym rozpaczy ręce.

- Co się stało? - zapytał Jack.

- Czy pan jest właścicielem tej nieruchomości, sir? - odpowiedział pytaniem na pytanie policjant.

- Ja nim jestem - zabrzmiał poza plecami Jacka spokojny głos. - O co chodzi?

Jack spojrzał przez ramię. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób stryj zdołał tak szybko zejść ze schodów.

- W pańskim ogródku znaleziono przed chwilą zwłoki jakiegoś mężczyzny - oświadczył policjant

- Co? - pomimo opanowania profesor nie potrafił powstrzymać odruchu zdumienia - w moim ogródku trup?

- Tak. Przyczyna zgonu nie została jeszcze stwierdzona. Zaraz przybędzie komisja. Telefonowałem przed paroma minutami. Ta osoba - wskazał końcem ołówka staruszkę - nie chciała pana obudzić. Straciłem przez nią całą masę czasu. Może pan być potrzebny dla ewentualnego zidentyfikowania zwłok.

Staruszka nagle przestała lamentować.

- Osoba? - syknęła widocznie urażona do głębi. - Co za sposób wyrażania się?

Policjant jednak pozostał niewzruszony. Zdawał się nie słyszeć uwagi.

Za uchylonymi drzwiami zazgrzytał hamulec zatrzymanego samochodu.

- O, już są - oświadczył policjant. - Będą panowie mogli iść ze mną?

Pytanie oczywiście należało do gatunku czysto retorycznych.

Wyszli. Jednocześnie przez furtkę weszło kilku mężczyzn. Mundury odcinały się wyraźnie od cywilnych płaszczy.

- Z tamtej strony domu - wskazał policjant. Na zasypanym zeszlými liśćmi trawniku czerniał nieruchomy kształt.

Drugi policjant stał wyprostowany służbiście.

Krępy jegomość w sportowym garniturze kręcił się z nerwowym pośpiechem. Na widok nadchodzącej od furtki grupy, podskoczył ku niej, recytując coś szybkim, urywanym głosem. Brwi mężczyzny w ugalonowanej czapce powędrowały ku górze.

- Ach, więc tak? Jack dotknął ramienia stryja.

- Co to wszystko ma znaczyć - zapytał szeptem.

Profesor pokiwał niezdecydowanie głową.

- Ba... gdybym sam to wiedział. Zresztą - dodał zerkając w kierunku uplasowanej na trawniku grupy - gdy... - Nie skończył jednak.

Jegomość w ugalonowanej czapce zsalutował poznając profesora.

- Przykro mi, sir, że akurat w pańskim domu...

Twarze pozostałych straciły nieco z urzędowej sztywności. Profesor był osobistością dość znaną na terenie stolicy.

Jegomość w sportowym garniturze kręcił się na wszystkie strony. Miał minę, jakby wachał powietrze. Przypominał gończego wyzła wystawiającego zwierzynę.

- Czy pan poznaje tego nieszczęśnika, profesorze? - dostojnik policyjny wskazał białą rękawiczką nieruchome ciało rozciągnięte na podściółce zeschniętych liści.

Profesor nachylił się. Ściągnięte brwi wskazywały, że coś sobie usiłuje przypomnieć.

Jack zerknął w kierunku woskowożółtej twa-3 rzy nieboszczyka. Rysy były jednak nieznanymi. Pomięte ubranie nosiło ślady niezbyt starannie wyczyszczonych plam.

- No? - ugalowany dżentelmen dotknął delikatnie rękawa profesora - jak tam, sir?

Profesor wyprostował się powoli.

- Nie - oświadczył stanowczo - tego człowieka widzę po raz pierwszy, inspektorze.

Przybysze z trudem maskowali rozczarowanie.

Pan w jasnym burberry przyklęknął przy nieruchomej postaci. Brzęknął zamek czarnej walizeczki ze sztywnej skóry. Błysnęły stalowe narzędzia.

- Gwałtowna śmierć - rzucił po chwili - a jej przyczyna...

- Pewno aneurizm serca, he? - wtrącił sarkastycznie profesor.

Doktor policyjny odwrócił głowę. Był wyraźnie zdumiony.

- Aneurizm serca? - przeciągnął. - Hm... niezupełnie. Oto - podniósł w dwóch palcach ostrze strzały zakończone czymś wyglądającym na pęk jaskrawych piór - co znalazłem w mięśniach naszego pacjenta. Ugrzęzło nawet niezbyt głęboko. Diabło jednak na to wygląda, że zatrute.

Oczy profesora zaokrągliły się.

- „Pierzasta śmierć”. - Wciągnął głęboko powietrze do płuc.

Inspektor zamrugał powiekami.

- „Pierzasta śmierć?” - powtórzył. - Przypomina raczej boleć z wiatrówki. Jeżeli naprawdę zatruty...

- Jest zatruty - potwierdził sucho profesor - i nie pasuje do żadnej wiatrówki na świecie. Pocisk został wystrzelony z dmuchawki.

Inspektor spojrział z ukosa.

- Z dmuchawki? Takiej, jakiej używają Indianie w Peru?

- Coś w tym rodzaju. Inspektor zamyślił się.

- Hm, dziwne. A czy w pańskim domu znajduje się przypadkiem jakiś czerwonoskóry, profesorze?

Profesor zawahał się.

- Mój służący John jest wprawdzie Indianinem - bąknął po chwili - ale...

Inspektor nagle zeszywniał.

- Czy moglibyśmy z nim porozmawiać, sir?

VII. Sprawa zawisa w próżni

Przez kilka dni panował rwetes. Policjanci kręcili się po całym domu, wsadzając nos do każdego kąta.

Właściwie nie bardzo było wiadomo, czego szukają. Sami chyba nie potrafiliby odpowiedzieć dokładnie na to pytanie.

Trzeba było jednak coś robić. Choćby tylko dla samej roboty. Podinspektor Whole nie znosił beczynności.

- Jak to - powarkiwał - znaleźliśmy trupa zamordowanego w dziwaczny sposób i nic? Skandal.

Najwięcej ruchliwości okazywali ubrani po cywilnemu pracownicy z Wydziału Śledczego. Tych zresztą najmocniej naciskał podinspektor.

- Róbcieź coś, do wszystkich diabłów! Myszkowali więc z tajemniczymi minami, robili nikomu niepotrzebne notatki, napastowali najbardziej nedorzecznymi pytaniami służbę.

Sierżant Brick proponował zamknąć czerwonoskórego służącego.

- Czegóż więcej szukać? Indianin pasuje do tej przeklętej dmuchawki jak whisky do kieliszka. Któż z ludzi białej rasy potrafiłby zagrać na takich organkach? Gościa pod klucz i niech się martwi, jak rozgryźć orzech!

Podinspektor nie chciał jednak ani słyszeć o takim rozwiązaniu.

- Przy tego rodzaju alibi? Gdzie znajdziecie sędziego, który by podpisał nakaz aresztowania? Obalcie alibi, ustalcie dowody, a wtedy...

Sierżant wzruszył ramionami w sposób zupełnie nie przewidziany regulaminem służbowym.

- Łatwo mówić, sir. Tu nawet choćby najmarniejszego koniuszka jakiegokolwiek nici nie można znaleźć, a cóż dopiero marzyć o kłębku.

Podinspektor umiał tylko jedno.

- Szukajcie.

Przetrasnęli każdy cal ogródka. Zajrzeli pod każdy liść. Doczekali się awantury ze strony staruszki w rurkowanym czepku, która nie mogła strawić nazwania jej „osobą”. Nic jednak z tego wszystkiego nie wyszło. Sprawa stała nadal w martwym punkcie.

Zamrożone zwłoki nieznanym ofiary czekały bezskutecznie na kogoś, kto by zechciał je rozpoznać. Na wielokrotne ogłoszenia w pismach zjawiało się w komisariacie kilka osób, które jednak, jak się okazało po przesłuchaniu, nic nie miały do powiedzenia. Diabli wiedzą, po co w ogóle przychodziły.

Podinspektor wpadał w coraz bardziej ponury nastrój.

- Zamiast dać na mszę dziękczynną, że jednego łobuza mniej, musi człowiek łamać głowę - mrucał gniewnie. - I żeby choć z jakimkolwiek rezultatem. Jeszcze tylko nieprzyjemności.

Wreszcie wezwano podinspektora do Yardu.

Szedł w niezbyt radosnym nastroju. Wracał za to z rozjaśnioną twarzą.

- Nosi do góry, chłopcy - oznajmił w swoim okręgu. - Yard bierze na siebie bez reszty cały ten przeklęty pasztet.

Od tej chwili willę profesora przestali odwiedzać nieproszeni goście. Zuzanna promieniała.

- Dzięki Bogu nie będę już narażona na zetknięcie się z osobnikami, którzy uważają się za dżentelmenów, a nie mają najmniejszego pojęcia o wychowaniu.

Jack natomiast osowiał. Czuł się znacznie pewniejszy, gdy na każdym kroku napotykał policjanta. Pustka, jaka zapanowała po odejściu myszkujących po kątach ludzi, znowu wyzwoliła zaczajoną grozę.

Kay obchodziła szerokim łukiem wygniecione na trawniku miejsce. Zaczęła znikać z domu na długie godziny.

- Nie mogę wytrzymać w tej atmosferze - usprawiedliwiała się przed Jackiem.

Rozumiał ją dobrze, sam jednak tkwił kamieniem. Stryj nie wychodził niemal ze swego gabinetu. Złamana strzała w połączeniu z zamordowaniem nieznanego nabierała specjalnej wymowy. Trudno zaś byłoby obronić stryja bujając po mieście. Rewolwer opatrywał z największą starannością każdego wieczoru.

VIII. Detektyw z uniwersyteckim wykształceniem

Początkowo nawet sam sir Henry Drake pomrukiwał sceptycznie pod nosem, gdy porucznik

Henry Hopkins przechodził z wywiadu wojskowego do Scotland Yardu. Człowiek z takiej rodziny i w dodatku posiadający dyplom Oxfordu - w roli detektywa?

Ostatecznie gdyby chodziło o jakieś stanowisko kierownicze, uważałby może i rodzinę, i Oxford za atuty. Ale wychowanek arystokratycznego uniwersytetu w stopniu starszego sierżanta? Bo akurat nie było do rozporządzenia innego wakansu, a porucznik Hopkins się uparł. Wyglądało to zupełnie niepoważnie. I nawet trochę śmiesznie.

Od tego czasu upłynęło akurat sześć miesięcy.

Teraz nikt z tych, co się stykali z Hopkinsem, nie myślał nawet o sarkazmie. Porucznik okazał się prawdziwą perłą. Szczególnie w wypadkach, gdzie nie można było użyć funkcjonariusza, który we fraku robił wrażenie krowy w chomacie. Porucznik za to wyglądał, jakby się urodził w wieczorowym ubraniu.

Toteż gdy Sir Drake tylko przejrzał raport podinspektora, bez wahania nacisnął przycisk dzwonka.

- Poprosić porucznika Hopkinsa.

Tytuł wojskowy nie bardzo odpowiadał hierarchii policyjnej, jednak naczelnik Scotland Yardu uważał, że jakoś bardziej pasuje. Postawa Hopkinsa, gdy się meldował, była bez zarzutu.

Sir Drake rozłożył cieniutkie akta.

- Hm - odchrząknął częstując podwładnego reprezentacyjnym cygarem - to jest, prawdę powiedziawszy, bardzo delikatna sprawa. Zna pan może przypadkiem profesora Hoppe? Williama B. Hoppe?

Porucznik zastanowił się króciutką chwilę.

- Owszem. Zetknąłem się z nim parę razy na gruncie towarzyskim - potwierdził wreszcie.

Sir Drake pokiwał głową.

- Czy spośród osób umieszczonych w almanachu *Who's Who* jest ktoś, kogo by pan nie znał, poruczniku? - zapytał z lekkim podziwem.

Hopkins uśmiechnął się skromnie.

- O... chyba by się jednak paru znalazło.

Sir Drake w zwięzłych słowach zreferował sprawę.

- Widzi pan, poruczniku - dodał - dmuchawka, ot w czym sęk. Takiego instrumentu nie da się przylepić byle komu spośród naszych cockneyów. Wątpię, czy w ogóle widzieli go kiedy na oczy. A już o sposobie użycia... Ja sam nie wiedziałbym, z której strony zabrać się do takiego gipsu. Pan

pewno też nie bardzo...

Porucznik ssał w zadumie koniec cygara.

- A kto by potrafił?

Sir Drake znowu odchrząknął.

- Właśnie. Na przykład taki czerwonoskóry służący profesora jak ulał pasowałby do tej śmiercionośnej trąbki. Ale cóż... Przedstawił alibi...

- Murowane?

Naczelnik rozłożył ręce.

- Czy pan widział kiedy murowane alibi? Owszem, sprawdzaliśmy. Dwóch obywateli zaświadczyło, że John Quetlac, bo takie właśnie dźwięczne nazwisko nosi ów służący, w przypuszczalnej chwili morderstwa znajdował się o dwadzieścia mil od Londynu. Tymczasem nie możemy ruszyć od tamtej strony. Nawet Whole się nie zająknął, a to byłoby przecież najłatwiejszym wyjściem.

Porucznik strzepnął starannie narosły na końcu cygara popiół.

- Hm... tak... A co wykryła policja?

Sir Drake machnął z lekceważeniem ręką.

- Policja? Sam pan wie, jakie gwiazdy siedzą w okręgu. Zmarnowali masę czasu i nie znaleźli najdrobniejszego choćby śladu. Nawet osoby zamordowanego nie zdołali zidentyfikować.

- A profesor?

Sir Drake nastroszył się.

- Co, profesor? - spojrzał spod oka. Hopkins nie stropił się jednak.

- Czy profesor był w domu w chwili morderstwa?

- Oczywiście, że był. Panowie w jego wieku i z jego pozycją społeczną przeważnie spędzają godziny przedświtu we własnym łóżku.

- Więc był w domu - stwierdził z niewzruszoną miną - *all right*. A czy... - zawahał się - no, czy powiedzmy, umiałby użyć dmuchawki? O ile mi wiadomo, spędził ładne kilkanaście lat na badaniu wykopalisk Majów i... Oczywiście podkreślam, że pytanie ma czysto teoretyczny charakter - dodał uspokajająco na widok pionowej zmarszczki przecinającej czoło naczelnika. Sir Drake spojrzał w okno.

- Teoretycznie... otóż to - zabębnił końcami palców po blacie biurka. - Cóż... teoretycznie powinien niby wiedzieć... Ale... hm... Diabło delikatna sprawa. Sam pan wie, kim jest profesor. Członek Królewskiego Towarzystwa Nauk i licho wie czego jeszcze. Jakiś tuzin tytułów. A może nawet półtora. Rękawiczki, w których się do tego wszystkiego dotkniemy, muszą być z diabło miękkiego jedwabiu. Lada fałszywe posunięcie i... No, dziękuję. Wcale nie pragnąłbym rozgryzać tej kaszy, jaką by nam wtedy nawarzyli. Cała nadzieja w panu.

Porucznik zamyślił się. Naczelnik miał rację. W tej sprawie należało zachować jak najdalej idącą ostrożność. To bynajmniej nie upraszczało sytuacji.

- Więc najmniejszego śladu co do tożsamości zamordowanego? - zapytał wreszcie.

- Najmniejszego. Ani kto, ani skąd, ani po co wlaźł do ogródka. Musiał być lepszy typ. Firma wypruta z ubrania. Chustka do nosa bez monogramu. Ani kawałek papieru, z którego można by coś wykombinować.

- Profesor nie widział go nigdy przedtem?

- Twierdzi kategorycznie, że nie. Choć... hm - sir Drake zaważał się.

- Choć co? Ma pan jakieś wątpliwości, sir? Sir Drake poruszył się na fotelu.

- Wątpliwości? Nie, skądżeż... Broń Boże... Nie mam żadnych wątpliwości co do oświadczenia profesora... Tylko podinspektor Whole napomknął... No, Whole, pan go zna, poruczniku. Miewa czasami swoje fantazje...

- A w tym wypadku jak wygląda ta fantazja? - nie ustępował.

- Nno cóż... każdemu ostatecznie wolno mieć swoje zdanie. Otóż Whole odniósł wrażenie, że profesor nie powiedział całej prawdy.

- Więc jednak...

- Ale to jest osobiste, zupełnie prywatne zdanie podinspektora - zastrzegł się szybko naczelnik, przerywając porucznikowi. - Rozumie pan, prywatne, nie oparte na żadnych dowodach - podkreślił.

Porucznik westchnął z rezygnacją. Diabli na-; dali. Czuł, że to wszystko nie będzie takie łatwe. Przeświadczenie przybrało jeszcze na sile, gdy rozmowa zeszała na temat pełnomocnictw.

Sir Drake rozłożył bezradnie ramiona.

- Doskonale pan wie, poruczniku, że mam do pana bezwzględne zaufanie, w tym jednak wypadku nie daliby mi żyć. Oczywiście przetrząśnięcie mieszkania, czy przesłuchanie kogokolwiek... Ale jeżeli chodziłoby o zatrzymanie... Musimy zachować wszystkie subtelności procedury.

- Nawet w sytuacji, w której od natychmiastowego działania zależałoby powodzenie całej sprawy?

Sir Drake znowu popatrzył gdzieś w bok.

- No w tym wypadku... Ostatecznie może pan przecież uczynić jakieś posunięcia na własną rękę i na własną... odpowiedzialność. W razie czego, będę stał za panem jak mur... - zapewnił.

Omówiono jeszcze parę szczegółów. Ale to nie były te najważniejsze. Wreszcie porucznik podniósł się obciążając nienagannie skrojoną marynarkę.

- *All right* - wycedził przez zęby - zrobię co tylko będę mógł... w tych warunkach.

Nie zdradzał jednak specjalnego entuzjazmu. I prawdę mówiąc, nie odczuwał go też w najmniejszym nawet stopniu.

- Tylko na miłość boską ostrożnie - napomniął jeszcze raz sir Drake ściskając jego rękę na pożegnanie - jak można najostrożniej...

IX. Nie cofnąłbym się przed niczym..

Porucznik Hopkins zachowywał się jak na towarzyskiej wizycie. Niewiele jednak pomagało. Profesor, zamknięty jak ślimak w skorupie, częstował gościa uprzejmymi słowami, z których nic konkretnego nie dało się wyłowić. Nie, nie wie absolutnie, kim mógł być zamordowany i z jakiego powodu wdarł się do ogródka. Może jakiś złodziejaszek albo ktoś w tym rodzaju. Mało to się włóczy takich typów, szczególnie w odleglejszych dzielnicach. Co do przyczyn zabójstwa nie ma żadnych podejrzeń, a co do osoby sprawcy - linia brwi profesora wystarczyła za słowa.

- Dosyć dziwny sposób morderstwa - wtrącił niby mimochodem porucznik.

- Rzeczywiście, dziwny - zgodził się z uprzejmą obojętnością profesor - ale w ostatnich czasach świat podziemny Londynu nabrał nadzwyczajnej pomysłowości w swych metodach. Czyta się w dziennikach o takich pomysłach... że...

- Jeżeli jednak chodzi o dmuchawkę, chyba niewielu znalazłoby się specjalistów?

Profesor wykazał absolutną niewiedzę co do ilości specjalistów od dmuchawek.

- Widzi pan, poruczniku, gdyby chodziło o plemiona indiańskie, mógłbym służyć pewnymi cyframi, ale tutaj...

- Czy... czy wszystkie dmuchawki posiadają te same wymiary? - zapytał zniechęcony porucznik.

Ledwie dostrzegalna chwila wahania poprzedziła odpowiedź.

- Och... oczywiście że nie. To nie są przecież wyroby fabryczne.

Porucznik wdał się w dyskusję na temat wykopalisk z czasów rozkwitu państwa Majów. Przystudiował coś niecoś to zagadnienie przed wizytą.

- Oglądałem niedawno zbiory profesora Williamsa... zdaje się najwspanialsze w Anglii... Kto wie zresztą, czy nie na całym świecie...

Wargi profesora leciutko drgnęły. Porucznik obserwował go dyskretnie. Połknął haczyk.

- Słyszałem, że również pan profesor doszedł do pewnych osiągnięć na tym polu - ciągnął niewinnym tonem.

To już była prowokacja. Nawet ordynarna prowokacja.

Profesor podniósł się ociężale z fotela.

- Jeżeli pana to interesuje i chciałby zobaczyć te moje „pewne” - lekkie wyduęcie warg - osiągnięcia...

Porucznik triumfował. O to przecież chodziło od początku.

- Z największą przyjemnością.

Bacznemu wzrokowi porucznika nie uszły skomplikowane zamki w pancernych drzwiach ani stalowe kraty w oknach. Z należnym skupieniem obserwował muzeum. Przed olbrzymim posągiem zastygł w podziw. - *Splendid...* Nawet nie przypuszczałem, że coś podobnego istnieje w naszym kraju. Miał pan niewątpliwie wielkie trudności ze sprowadzeniem tego kolosa?

Profesor strzepnął palcami.

- Cóż... grunt, że w końcu się udało.

Porucznik przypominał sobie plotki pochodzące z czasów pobytu, ekspedycji kierowanej przez profesora w Meksyku. Naszeptowano sobie wtedy na ucho pewne niezbyt piękne historie. Ale tylko na ucho. Profesor zajmował zbyt poważne stanowisko w świecie nauki, by plotki mogły się przedostać na szersze forum.

Ku zawieszonej na ścianie skórze, zdobnej w zawile ornamenty, zerkał od chwili wejścia. Wyczekał jednak odpowiedniej chwili, by przejść do odcinających się na tle tej skóry obrazów. Nawet najbaczniejszy obserwator nie zdołałby odcyfrować z jego twarzy, że interesowały go najwięcej spośród wszystkich rzeczy nagromadzonych w pokoju.

- Siódmy lub ósmy wiek naszej ery - wskazał misternie rzeźbiony sztylet.

Profesor uśmiechnął się.

- Dlaczego pan tak sądzi, poruczniku?

- Nno... okres największego rozkwitu cywilizacji Majów...

- Ach... uważa pan za szczytowy punkt właśnie te wieki?

- Przecież nawet H. G. Wells w swojej „Historii Świata”...

Profesor nie przestawał się uśmiechać.

- Nawet H. G. Wells - powtórzył z ledwo wyczuwalną ironią - ja jednak pozwolę sobie mieć na ten temat nieco odmienne zdanie. Oczywiście drobnostka. Dwa, najwyżej trzy wieki różnicy. Zresztą proszę mi wybaczyć... „Historia Świata” jest raczej literaturą niż dziełem naukowym...

Porucznik nie odrywał wzroku od sztyletu.

- Tu chyba przedtem wisiało coś innego? - wskazał jaśniejszą plamę na skórze nie pasującą zarysami do kształtu sztyletu.

Cień przesunął się po kanciastej twarzy profesora. Trwało to chwilę krótszą niż mgnienie oka, porucznik jednak zdążył zanotować zjawisko dokładnie w pamięci.

- Tak - potwierdził krótko profesor. Porucznik nie miał zamiaru poprzestawać na nic nie mówiącej odpowiedzi.

Kształt plamy przypominał mu pewną rzecz. Jedyłą, której tu szukał.

- To musi być chyba szkodliwe dla całości wykopalisk, jeżeli się je przenosi zbyt często z miejsca na miejsce? Są przecież tak stare. Niewątpliwie nie odznaczają się już zbytnią trwałością?

- Niekiedy są znacznie trwalsze, niż można by przypuszczać. Nie narażam ich jednak na uszkodzenia więcej niż zachodzi konieczność. Ta rzecz... która tu wisiała przedtem, została skradziona. Zresztą również parę innych.

Porucznik odwrócił się gwałtownie.

- Kradzież? Pomimo tych pancernych drzwi i zakratowanych okien?

Profesor pokiwał przecząco głową.

- Niestety, wówczas nie było jeszcze zabezpieczeń. Właśnie dopiero ten wypadek zwrócił moją uwagę na niebezpieczeństwo grożące zbiorom ze strony złodziei.

- To już dawna historia?

- Dostyc dawna. Około dwóch miesięcy. Porucznik znowu spojrział na plamę. Barwa jej raczej przeczyła słowom profesora. Wyglądało, jakby przedmiot zdjęto najwyżej parę dni temu.

W oszklonych gablotkach również brakowało pewnego przedmiotu, który porucznik spodziewał się tam zobaczyć.

- Hm... nie ma pan, sir, ani jednej dmuchawki w swych zbiorach?

Pytanie padło zniemacka. Zdawkowy ton przystosowywał go do reszty rozmowy. Profesor był jednak przygotowany.

- Bardzo mi przykro... Właśnie wisiała na miejscu sztyletu... Cóż, zabrano ją w czasie tej kradzieży... To naprawdę ciężka strata dla całości zbiorów...

Porucznik przymrużył powieki. Więc było tak, jak przypuszczał od początku. Sprawa się komplikowała.

- Szkoda - bąknął zawiedzionym tonem. - Chciałbym zobaczyć, jak taki instrument wygląda...

- Nie widział pan nigdy?

- Nie.

Profesor spojrział na niego spod oka.

- Dziwne. Przecież w zbiorach profesora Williamsa, które pan niedawno oglądał...

Porucznik zagryzł wargi. Strzał był celny.

- Tak... - bąknął - prawda. Ale tamte pochodziły ze (znacznie późniejszego okresu.

Profesor starannie zamykał pancerne drzwi muzeum.

- Na ogół nie różnią się zbyt od swych pierwowzorów - wyjaśnił nie odwracając głowy. - Zresztą na szczęście posiadam rysunki zaginionych dmuchawek i jeżeli chce pan je obejrzeć...

Zagłębiając się w elastyczne objęcia klubowca, porucznik kontemplował barwne malowidła. Nie przyznał się ani słowem, że już przed przyjściem studiował całkiem podobne. Dlatego właśnie od razu zrozumiał znaczenie jaśniejszej plamy na bawolej skórze. Poświęcił rysunkom sporo cennego czasu, choć z góry wiedział, że traci go najzupełniej bezpłodnie. Bo przecież do rysunku nie dało się przymierzyć pocisku, który spowodował śmierć nieznanego.

- Rzeczywiście, niewiele różnią się od dmuchawek, jakie widziałem u profesora Williamsa - odłożył sztywne kartony. - Pomimo wszystko żałuję bardzo, że nie mogę ich obejrzeć w oryginale.

Profesor rozłożył ręce gestem wyrażającym bezradność.

- I ja też żałuję - podsunął gościowi skrzynkę z cygarami.

Hopkins wybierał z namysłem.

- Pozwoliłem sobie zwiedzić pański ogródek - rzucił bez nacisku.

Profesor podniósł powoli głowę.

- Tak? - Wzrok jego nie wyrażał żadnych uczuć.

- Zauważyłem izolatory na sztachetach. Profesor długo zapalał cygaro.

- Cóż... założyłem pewną instalację zabezpieczającą - powiedział wreszcie - sam pan rozumie, poruczniku. Po tej kradzieży... Zbiory posiadają olbrzymią wartość. Nie tylko zresztą materialną...

- To jednak nie jest instalacja alarmowa - zauważył łagodnie porucznik.

- Nie.

Porucznik obserwował dym z cygara.

- O ile zdołałem stwierdzić, przeznaczona jest dla prądu wysokiego napięcia.

- Słaby, nie wywołałby odpowiedniego skutku - potwierdził obojętnie profesor.

- Ale... - głos porucznika nie zmienił ani o włos brzmienia - ten rodzaj zabezpieczenia się przed niepożądanymi gośćmi jest sprzeczny z przepisami prawnymi. Brak na ogrodzeniu tablic ostrzegawczych. Prawo...

Profesor nagle wybuchnął.

- Prawo! - sarknął z goryczą. - Czy prawo potrafiło mnie ochronić przez zrabowaniem moich zbiorów? Dziesiątki lat poświęciłem, aby je zdobyć...

- Hm... rozumiem. Jednak instalacja mogłaby spowodować czyjąś śmierć...

- Złodzieja?

- Choćby złodzieja. Życie obywateli... Profesor odłożył gwałtownym ruchem cygaro.

- Życie? Czy myśli pan, że raz musiałem narazić swoje, zanim zdołałem zgromadzić to, cc pan widział w tamtym pokoju? I to... - zakreślił ręką wokoło. - To ma wartość stokroć większą niż życie złodzieja... Nie cofnąłbym się przed niczym, by uchronić te skarby. Nie są wyłącznie moją własnością. Należą do nauki...

Porucznik wyprostował się nieznacznie.

- Nie cofnąłby się pan przed niczym? - zapytał z naciskiem.

- Przed niczym - nagle profesor ochłonał. - Nno - wziął z powrotem odłożone cygaro, ujmując je ostrożnie końcami palców - oczywiście w pewnych granicach.

- W jakich?

Profesor jednak nie odpowiedział. Wydawał się nie słyszeć ostatniego pytania.

Porucznik nie nalegał. Jak na pierwszą rundę - wystarczy. I tak plon wizyty dawał temat do najrozmaitszych wniosków. Trudność polegała jedynie na tym, by wysnuć właściwe. Zwekslował rozmowę na tematy archeologii. Znowu nabrała posmaku akademickiej dysputy. Wreszcie podniósł się z fotela.

- Bardzo przepraszam sir, że nadużyłem pańskiej gościnności. I proszę mi wybaczyć, gdybym w przyszłości okazał się natrętny. Ale zechce pan zrozumieć, że...

- Rozumiem - przerwał profesor. - Niech się pan absolutnie nie krępuje, poruczniku. Cały mój dom jest do pańskiej dyspozycji o każdej porze dnia i nocy.

- Bez żadnych wyjątków? - zapytał z uprzejmym uśmiechem Hopkins.

- Bez żadnych. Muzeum będzie otwarte zawsze, gdy uzna pan to za potrzebne.

X. Tajemnica zaginionej dmuchawki

Tej nocy znowu zrywał się kilka razy, wyrwany z gorączkowego półsnu trzaskaniem podłogi.

Zaczynał mieć tego wszystkiego dosyć. Żeby już raz wreszcie można było wystąpić przeciwko czemuś konkretnemu - zaciskał z desperacją zęby. Nerwy zaczynały nie wytrzymywać.

Właściwie od zabójstwa nieznanego osobnika nic się nie działo. Atmosfera jednak była nasiąknięta oczekiwaniem na coś, co musiało przyjść. Przynajmniej Jack odnosił takie wrażenie.

Powitał Hopkinsa z niekłamanym entuzjazmem. Nareszcie ktoś, kto się zabierze do całej tej przeklętej historii na serio. Już sama nazwa Scotland Yardu miała w sobie coś kojącego. Niezależnie od tego, porucznik wzbudzał zaufanie swym sposobem bycia.

Jack lubił ludzi, którzy patrzą prosto w oczy.

Porucznik zaczął wywiad z zachowaniem jak najdalej idących ostrożności. Już jednak po paru minutach rozmowy zorientował się, że nie były one potrzebne.

Jack rozgadał się na dobre. Miał wreszcie przed kim wyłożyć, co gniołło go od chwili przyjazdu. Nie czekając na pytanie, wygarnął wszystko, co wiedział. Od samego początku.

A więc o liście, którego nikt nie wysyłał, a który jednak zawędrował aż do Miami. O śmierci odźwiernego. O katastrofie Roberta. O podejrzeniach stryja.

Nad przypuszczeniami Kay zatrzymał się dłuższą chwilę. Analizował je zaopatrując własnym komentarzem.

- Rzeczywiście - zapalał z namysłem papierosa - zaginięcia strzały nie należałoby uważać za coś niemożliwego. Mogła w pierwszej chwili ująć uwagę tych, którzy znaleźli Roberta. Niech pan pamięta, poruczniku, o tym jak bardzo musieli być przygnębieni katastrofą. W takich chwilach przeciętny człowiek nie ma głowy do drobiazgowych obserwacji. Później mogła zatoczyć się pod

jakiś mebel. Wymiecenie jej wraz z innymi śmieciami wśród ogólnego rozgardiaszu należy uznać za bardzo prawdopodobne. Nikt przecież nie szukał czegoś w tym rodzaju.

- Przyjmując, że w ogóle istniała.

- Oczywiście. Nie twierdzą bynajmniej, że tak było naprawdę. Ale mogło być. Strzała jest tak niewielka, że gdy ją zobaczył, sam doszedłem do wniosku...

- Hm. - Porucznik był człowiekiem niezwykle opanowanym. Temu tylko zawdzięczał, że gdy się odezwał, głos miał zupełnie normalne brzmienie. - To pan widział strzałę?

Jack spojrzał zaskoczony. Jednak twarz porucznika robiła w tej chwili wrażenie niemal sennej.

- Widział pan strzałę? - powtórzył pytanie bez najmniejszego nacisku.

- Ależ oczywiście. Naturalnie nie tę hipotetyczną, która według wyłuszczonej przed chwilą teorii miała spowodować śmierć mego stryjecznego brata. Widziałem podobną.

- Ach tak - twarz porucznika przypominała drewnianą maskę - zupełnie zrozumiałe. Ale gdzie pan miał okazję oglądać tę podobną?

Jack zdziwił się jeszcze bardziej.

- Jak to gdzie? U stryja w skarbcu. Jeżeli stryj pozwoli, może pan ją obejrzeć w każdej chwili.

Porucznik strzepnął palcami.

- W skarbcu... że też od razu się nie domyśliłem. A... a dmuchawkę także pan oglądał? zapytał niedbale.

- Naturalnie. Bardzo ciekawy eksponat. Została tylko jedna, po zrabowaniu zbiorów przez dwoma miesiącami. Zaraz poproszę stryja, żeby panu pokazał - poruszył się chcąc powstać z fotela.

Porucznik powstrzymał go uprzejmym ruchem ręki.

- Dziękuję. Niech się pan nie trzusi. Właśnie przed chwilą zwiedzałem muzeum. Jest naprawdę godne podziwu...

- Widział pan dmuchawkę i strzały?

- Och... oglądałem z całym zainteresowaniem wszystkie eksponaty. Niczego nie przepuściłem, proszę mi wierzyć - odpowiedział wymijająco. Starannie strzepywał jakiś niewidzialny pyłek z rękawa marynarki. Pomimo całego opanowania potrzebował odrobiny czasu, aby ochłonać. - Ta... dmuchawka wisi na bawolej skórze? - rzucił ostrożnie pytanie.

- Tak. Na pierwszy rzut oka przypomina coś w rodzaju wydłużonej manierki.

- Uhum... właśnie... Dlatego pewno nie od razu zauważyłem, do czego to służy... A strzały? Zaraz... jakoś sobie nie mogę przypomnieć, gdzie je widziałem?

- Leżą w gablotce. Takie, wie pan, miniaturowe ostrza... wyglądają jak bolce do wiatrówki.

- Aha... teraz już wiem... Widział pan pewno także strzałę wydobytą z ciała tego nieznanego nieszczęśnika?

- Owszem.

- Prawda jaka podobna do tych, które znajdują się w muzeum?

- Bardzo - potwierdził bez zastanowienia. - Zupełnie jak amunicja do tego samego karabinu... Och... - urwał nagle z zakłopotaniem - sędzę, że wszystkie te strzały są do siebie podobne - spojrzał zaniepokojony na porucznika.

Wypowiedziane przed chwilą słowa nasunęły niedorzeczną myśl.

- Jestem tego pewny - odpowiedział uspokajająco porucznik - musiano je przecież wyrabiać według pewnego wzoru.

W rzeczywistości jednak miał poważne wątpliwości na ten temat. Wątpliwości oparte na dość konkretnych podstawach.

Spojrzał z ukosa na zasępioną minę rozmówcy. Nie chciał mu zostawiać czasu na rozmyślanie.

- Mówił pan, że w tym domu panuje niesamowita atmosfera? - poddał.

- Diabło niesamowita - ożywił się Jack. - Coś jakby... - machnął ręką - wie pan, to trudno określić słowami. Może wyśmieję mnie pan, jednak...

Porucznik pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Niekiedy czuje się coś takiego w powietrzu.

- Tu, panie poruczniku... w tym domu czai się po kątach śmierć - wypalił nagle.

- Śmierć?

- Tak. Właśnie śmierć. Po prostu człowiek czeka, kiedy nastąpi katastrofa.

- I jakie pan odnosi wrażenie, komu w pierwszym rzędzie zagraża ta katastrofa?

- Stryjowi.

Brwi porucznika powędrowały ku górze. To było coś zupełnie nowego.

- Profesorowi? - zdziwił się.

- Tak.

Przekonanie dźwięczące w głosie Jacka uderzyło porucznika. To przestawało wyglądać na słowa puszczane z wiatrem.

- Czy zaobserwował pan jakieś realne zapowiedzi katastrofy? - spojrzał uważnie.

Jack zawahał się. Historia złamanej strzały świerzbiła język. Była przecież jak najbardziej namacalnym dowodem. Ale słowo dane stryjowi... Przeszkoda należała do gatunku niepokonalnych. Musi milczeć.

- Nnie - bąknął niepewnie, unikając badawczego spojrzenia porucznika. - Niczego specjalnie konkretnego... Ogólna atmosfera... Czy ja wiem...

Wahanie nie uszło uwagi porucznika. Więc i ten ma coś do ukrywania - skonstatował w duchu - coraz lepiej!

- Przeczucia - brnął dalej Jack - wierzy pan w przeczucia, poruczniku?

Hopkins obserwował przez chwilę dym ulatujący z papierosa.

- Ba - wzruszył ramionami - po prostu trudno pojąć, w ile rzeczy nauczyłem się wierzyć.

Zmienił temat. Nie należy zwierzyzny płoszyć przed czasem. Dopiero po dłuższej chwili rozmowy zaczął delikatnie zapuszczać sondę. Był niemal przekonany, że w duszy rozmówcy tkwiło coś, co dla dobra sprawy powinno się wyciągnąć na światło dzienne.

Nic z tego jednak nie wyszło. Jack miał się teraz na bacności. Już i tak powiedział dużo, jeżeli chodzi o stryja. Odczuwał potężne wątpliwości, czy jest w zgodzie z danym stryjowi słowem.

W końcu porucznik musiał się uznać za pokonanego. Przynajmniej tymczasem.

- Zobaczymy się jeszcze - rzucił na odchodnym.

- Z największą przyjemnością - zareplikował Jack. I na pewno było to zupełnie szczere.

Jeszcze tego samego dnia porucznik przypomniał sobie o byłym towarzyszu broni, którego los zagnał aż do Meksyku dając mu na pociechę wcale niezłą posadkę w Komendzie Głównej tamtejszej policji.

Depesza, którą nadał w godzinach popołudniowych, zawierała nieprzyzwoicie wielką ilość słów. Na szczęście koszt jej wysłania nie obciążał w najmniejszym nawet stopniu kieszeni porucznika.

W oczekiwaniu na odpowiedź miał sporo tematów do przetrawienia. Najbardziej zawiłym z nich było zagadnienie: w jaki sposób Granmore mógł przed paroma dniami oglądać w muzeum profesora dmuchawkę, która została skradziona przed dwoma miesiącami? I czy przypadkiem strzała,

która położyła kres życiu nieznanego osobnika, nie pochodziła z tej znikającej tajemniczo dmuchawki? Niedomówienia Granmore'a na temat niebezpieczeństwa grożącego profesorowi leżały tymczasem na dalszym planie rebusu. Ale i one miały niewątpliwie swoje znaczenie.

XI. Pomysł Jacka Granmore'a

Z nerwami Kay było coraz gorzej.

Serce Jacka ścisnął bolesny skurcz współczucia, gdy słyszał zmatowiały, drżący głos kuzynki. Patrząc na wymizerowaną twarz, miał ochotę utulić biedactwo w objęciach, by je obronić przed całym, nasiąkłym zgrozą niewiadomych niebezpieczeństw światem. To był tylko cień dawnej, pełnej radości życia dziewczyny.

- Boję się, Jack - szeptała przytulając się do jego ramienia, gdy odprowadzał ją po tonących w półmroku krętych korytarzach.

- Nie bój się, maleńka, wszystko będzie dobrze, zobaczysz - uspokajał, usiłując tchnąć w swe słowa jak najwięcej przekonania.

Dopiero gdy znikła w swoim pokoju, przestawał kontrolować mięśnie twarzy. Beztroski uśmiech spełzał jak źle nałożona maska. Nie wierzył, by wszystko miało być dobrze. Pomimo całego wysiłku woli nie mógł w to uwierzyć. Zaciskał bezradnie pięści - żeby to wszyscy diabli...

Najbardziej męczyło go poczucie własnej bezsilności wobec tego, co czaiło się po kątach.

Cóż z tego, że pogrążony w męczącym półśnie nie wypuszczał z ręki nabitego rewolweru - gotów zerwać się przy każdym podejrzanym szmerze - jeżeli istniał ktoś, kto potrafi przenikać przez zamknięte drzwi?

Wreszcie zdecydował się na rozmowę ze stryjem.

Profesor robił wrażenie osoby najmniej zdenerwowanej w całym domu. Zupełnie jakby to wszystko nie dotyczyło go w najmniejszym nawet stopniu. W chwili, gdy Jack wszedł do gabinetu, oglądał przez lupę jakiś pokryty śniedzią przedmiot.

- Bardzo ciekawy okaz - wskazał ruchem lupy - pochodzi na pewno z okresu nie późniejszego niż czwarty wiek naszej ery.

Jacka jednak nie interesowały w tej chwili żadne okazy. Przystąpił bez wstępów do rzeczy. Wyłożył na stół wszystkie mozolnie zgromadzone argumenty. Że tak dalej być nie może. Że wszyscy gonią resztkami nerwów. Że Kay...

Profesor przyjrzał mu się uważnie. Jack odniósł wrażenie, że bardzo niewiele brakowało, by przyłożył do oczu lupę oglądając go w taki sam sposób, jak przed chwilą okaz pochodzący z czwartego wieku.

Jack umilkł zdetonowany. Rozmowa z profesorem nie należała do najłatwiejszych.

- Hm... więc aż tak bardzo jesteś zdenerwowany?

Jack przełknął ślinę.

- To nie o mnie chodzi...

- Nie? Bo w pierwszej chwili odniosłem właśnie wrażenie...

Jack poczerwieniał lekko.

- Kay też ledwo się trzyma na nogach.

Profesor odłożył lupę.

- Cóż... może masz i rację. W takim razie namów ją, by wyjechała dokądkolwiek. Niech sobie urządzi małe wakacje. Powietrze Londynu jest w tym okresie takie niezdrowe. To zresztą nie powinno potrwać zbyt długo. Jestem przekonany, że w ciągu kilku, czy najdalej kilkunastu dni sprawa dojrzeje całkowicie do rozstrzygnięcia. Ty także powinieneś wyjechać...

Jack nabrał powietrza do płuc.

- O tym przecież nie ma mowy. Nie opuścimy stryja w takiej chwili - powiedział twardo.

Profesor znowu wziął do ręki lupę.

- Nie? Jeżeli mam być zupełnie szczery, nie uważam takiej decyzji za najrozsądniejszą. Zresztą, jak chcecie. Nie sądzę, by tobie albo Kay groziło jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo. Nie zdarza się, by „pierzasta śmierć” trafiła pod niewłaściwy adres.

- A... a ten nieszczęśnik w ogródku? Profesor zakołysał głową w nieokreślonym ruchu.

- To raczej stanowi całkiem odrębną historię. Nie sądzę, by stała ona w sprzeczności z teorią, jaką sobie urobiłem o kanonach „pierzastej śmierci”... Nie - powtórzył - nie sądzę.

- Nic mnie nie obchodzi ten nieszczęśnik - zawołał porywczo Jack. - Nam chodzi przede wszystkim o stryja.

- Hm... tak. - Profesor patrzył gdzieś w okno. - Jak widzę, omówiliście, dokładnie to zagadnienie z Kay?

Jack znowu poczerwieniał.

- Nno... nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Rozmawialiśmy jednak o tym wszystkim tak często... Jestem pewien, że będę wyrazicielem również i jej zdania.

- To... było ładne, ale bardzo skomplikowane zdanie - skonstruował profesor. - Więc czego chcesz... to jest, czego chcecie - poprawił się - ode mnie? Co mam robić, żeby przestać szarpać

wasze nadwężone nerwy?

- Stryju! - wybuchnął Jack. - To naprawdę nie czas na żarty.

- *Sorry* Wierz mi, że nie chciałem cię dotknąć. Jestem już zupełnie poważny. Słucham z całą uwagą.

- Scotland Yard...

- Ooo - uprzejme zdziwienie profesora było jednak cokolwiek kolące - mam wrażenie, że omówiliśmy już dokładnie temat policji?

- Scotland Yard - powtórzył Jack.

- Scotland Yard jest właśnie policją - zauważył profesor.

Jack zaciął wargi.

- Więc niech sobie będzie. Ale oni potrafią zrozumieć rozmaite okoliczności, które policjantom z komisariatu wydawałyby się może... hm... dziwne.

- Chciałeś powiedzieć śmieszne?

- Nie spierajmy się o określenia. Taki choćby porucznik Hopkins... - urwał nabierając tchu. Argumenty, które jeszcze przed chwilą wydawały się nie do odparcia, straciły nagle przekonującą barwę.

- Tak... I cóż ten porucznik?

- To bardzo inteligentny człowiek. Na pewno potrafiłby zrozumieć wszystko.

Wargi profesora drgnęły w przelotnym grymasie. Jack nie był pewny, czy grymas ten należało zaliczyć do uśmiechów.

- Hm... nie jestem zupełnie przekonany” czy w istocie aż wszystko. Ale w każdym razie niewątpliwie bardzo dużo. I jest naprawdę nieprzeciętnie inteligentnym człowiekiem.

Jack ożywił się.

- No, widzi stryj. I gdyby zechciał ująć w swoje ręce sprawę...

Wargi profesora znowu drgnęły.

- O... co do tego, bądź spokojny. Już ją ujął. I to nie czekając bynajmniej na nasze pozwolenie.

Jack zaczął dowodzić, że gdyby porucznikowi powiedzieć o złamanej strzale, sprawa przybrałaby na pewno inny obrót.

Profesor jednak zakrzepł w uporze. Argumenty odbijały się o jego niewzruszoność jak o skałę. W końcu, bez najmniejszego zresztą podkreślenia, przypomniał Jackowi o przyrzeczeniu zachowania historii w absolutnym sekrecie.

Jack zacisnął szczęki.

- Cóż... skoro stryj z tej beczki...

Na to nie było żadnego sposobu. Pamiętał aż nadto dobrze o nieszczęsnych więzach swego słowa.

Wychodząc z gabinetu, żuł w zębach niezbyt wersalskie słówka. Zdołał się jednak powstrzymać, by ich nie wypowiedzieć głośno.

Skoro ktoś chce dobrowolnie kłaść głowę w pętlę... Na upór niestety nie ma lekarstwa.

Dygotał cały ze wzburzenia. Żeby nie to przekłete przyrzeczenie... Może nawet cokolwiek głośniejsz, niż tego zachodziła istotna potrzeba, zamknął za sobą drzwi gabinetu.

Na podeście mruknął półgłosem soczyste przekleństwo. Nawet nie bardzo ulżyło. Zbiegł na dół jak furia. Żeby to wszyscy diabli!

- Jack!

Przystanął. Czerwony odblask z kominka padał na rozciągniętą w fotelu wiotką postać.

- Spotkała cię jakaś przykrość?

- Czyż w tym domu może być inaczej? - odburknął opryskliwie.

- Tak... masz rację - cichy, bardzo smutny szept.

Opamiętał się.

Pełzające zarzewie oświetlało zastraszająco wymizerowaną twarz. Kay wtulała się całym ciałem w fotel jak przestraszone dziecko.

- Wybacz - podszedł bliżej. - Widzisz, nerwy.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Nie myśl, że czuję się urażona. My tu wszyscy gonimy ostatkiem sił.

- No - pokręcił głową z powątpiewaniem. - Nie powiedziałbym jednak tego o wszystkich.

- Masz na myśli tatusia? Tak... on nie okazuje nerwów.

- Mam wrażenie, że ich wcale nie posiada - mruknął. - Chyba raczej stalowe liny...

- Nie wiem... To mocny człowiek. Bardzo trudno poznać, co się dzieje w jego duszy. Potrafi nakładać maskę nawet wobec najbliższych. Czy możesz posiedzieć trochę ze mną? Tak tu pusto... I tak... jakoś - wargi zadrgały żałośnie, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

Do serca Jacka napłynęła fala gorącej tkliwości.

- Biedne, skrzywdzone maleństwo - pogładził delikatną pieśczętą jej dłoń - oczywiście, że zostanę. - Wyczuł drżenie wąskich palców. - Czy ci nie zimno, kochanie?

- Mnie teraz jest zawsze zimno - skarżyła się - od tego czasu, gdy...

Otulił troskliwie pledem wyciągnięte w kierunku ognia stopy.

- Jakiś ty dla mnie dobry, Jack.

- Głupstwo - wzruszył ramionami. Poczucił się nagle jakoś niezręcznie. Nachylił się nad skrzynką. - Rzeczywiście przejmujące powietrze - dorzucił do ognia parę szczap.

Przysunął sobie krzesło do żelaznej kraty.

- Jack... nie śmieję się ze mnie... Wolałabym żebyś usiadł bliżej. Taka się czuję spokojna, gdy jesteś przy mnie.

Usłuchał skwapliwie. Dotknęła palcami jego dłoni.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś nas teraz opuścił. A przecież nie byłoby nic bardziej naturalnego od porzucenia tego domu. Ale ja...

- Głupstwo - powtórzył znowu, nie umiejąc znaleźć bardziej odpowiedniego słowa - o tym nie mam mowy. Nie po to tu przyjeżdżałem, żeby uciekać.

- Nie zostawisz mnie teraz samej? Naprawdę? - Podniosła ku niemu oczy przysłonięte zadziwiająco długimi rzęsami.

- Nie mów nonsensów - ofuknął ją niemal szorstko. - Jakżebyś mógł cię opuścić w chwili, gdy... - zająknął się - no, w chwili, gdy nie chcesz pozostawać sama.

Palce jej zacisnęły się mocniej.

- Tak lubię, gdy na mnie pokrzykujesz. Zawsze mi wymyślałeś. Pamiętasz?

- Wcale ci nie wymyślałem. - Bał się poruszyć dłonią, by nie spłoszyć jej palców.

- Ależ tak. Nawet tu, na tych schodach - wskazała lekkim kiwnięciem głowy. - Byłeś wtedy wodzem Komanczów. A ja nie chciałam być lwem. Miałam na sobie jasną sukienkę. Włożyłam ją wtedy po raz pierwszy. Obawiałam się, że się pobrudzi, gdy będę chodzić na czworakach. A poza tym... - uśmiechnęła się leciutko - okropnie się bałam, że spadnę ze schodów. Krzyczałeś wtedy na

mnie. Wymyślałeś mi od mazgajów... od salonowych laleczek... od tchórzy. Robert... - głos zadrgał - Robert też się złościł. Mieliście rację. Zawsze byłam tchórzem. Ale to przecież nie moja wina. Cóż mogę na to poradzić?

Patrzył w zadumie w ogień.

- Tak... pamiętam. Tatuż z mojej twarzy długo nie chciał puścić. Użyłem wtedy zamiast wodnej farby tuszu. Myślałem, że będzie trwalszy. Rzeczywiście, okazał się diablo trwały - roześmiał się.

- A sukienka i tak była zniszczona. Właśnie ten tusz. Wylałeś go na mnie za karę.

- Zawsze byłem nieznośnym łobuzem.

- Byłeś nieznośny - potwierdziła - żeby wiedział, ile czasami łez przez ciebie wylałam, gdy mi za bardzo dokuczyłeś. Ale tylko wtedy, gdy nikt nie widział. Okropnie się obawiałam, że będziesz kpił z mego mazgajstwa...

Przepalona szczapa z trzaskiem stuknęła o palenisko. Deszcz złocistych iskier strzelił ku górze.

- Och... - drgnęła całym ciałem. Wychyliła się z fotela w kierunku Jacka. Poczuli ucisk jej ramienia. - Przestraszyłam się... Widzisz, pozostałam takim samym mazgajem, jakim byłam wtedy.

- Nie bój się - ścisnął jej palce chcąc dodać odwagi.

- Nie. Teraz już się nie boję. Wiesz, to dziwne. Ale już wtedy, gdy byłeś wodzem Komanczów, w krótkich spodenkach obszytych oderwaną z jakiejś kanapy frędzlą, czułam się przy tobie tak bardzo bezpieczna, jak nigdy... To... widocznie pozostało mi z tamtych czasów - powiedziała cichutko.

Zapadło milczenie. Ogień na kominku powoli dogasał. Zegar na podeście wydzwonił uroczystym gongiem godzinę.

Podniósł się niechętnie. Sam jeden tylko wiedział, ile go ten ruch kosztował. Tak mu było niewymownie dobrze.

- Czas na ciebie. Musisz iść spać. Usłuchała bezwolnie.

- Tak okropnie nie chce mi się wracać do samotnego pokoju. Aż do świtu nie gaszę lamp.

Jakoś nie mogę zebrać na tyle odwagi, by znaleźć się w ciemnościach... - Chwiejnie zaczęła wstępować na stopnie.

Mimowolnym ruchem objął ją w pól, przytulając do siebie. Nie protestowała.

Droga do drzwi jej pokoju trwała znacznie krócej, niżby tego pragnął...

- Dobranoc, Jack.

Sam nie wiedział, jak to się stało, że wargi jego przylgnęły łakomie do jej policzka.

Przez chwilę stała bez ruchu, później wysunęła się delikatnie z jego objęć. Dziwnym płomieniem gorzały szeroko rozwarte oczy spod jedwabistych rzęs.

- Ja nie wiem, Jack... czy to dobrze, że my... że w takiej chwili...

Zrobiło mu się okropnie przykro. Ładny obrońca! Nadużył zaufania i tyle.

- Wybacz mi, Kay. Ja naprawdę... - przycisnął usta do jej dłoni.

Pogładziła jego czuprynę.

- Nie, Jack, to nie to. Widzisz, mnie się zdaje... To... to nie takie proste - odebrała mu ostrożnie rękę. - Dobranoc Jack!

Cicho stuknęły drzwi.

Serce Jacka zabiło mocno. Tak ciepło powiedziała: dobranoc. Więc chyba nie ma do niego żalu? I co znaczyły jej poprzednie słowa?

Znowu długo nie mógł zasnąć. Ale tym razem nie dręczyły go żadne niesamowite koszmary. Gdy tylko przymykał powieki, przed oczyma stawała wizja delikatnej twarzyczki.

- Kochane maleństwo... Żeby tylko tobie było dobrze, to ja bym... - Sam nie wiedział, co by zrobił, żeby przywrócić na jej wymizerowane policzki dawne odblaski beztrioski. Ale chyba nie było żadnych granic w tym, co by był gotów uczynić.

...Bazancie pióro nie chciało się trzymać na czole. Ustawicznie zjeżdżało na policzek. Co za wódz indiański z obwisłym pióropuszem? Do luzu!

- Jack!

...Ach tak... Kay znowu się mazgai. Chodzi o sukienkę. Że też Robert nie potrafi jej przemówić do rozsądku.

Głuche łomotanie przybierało na sile. Skąd Robert zdobył taki potężny bęben?

- Jack!!!

Nagle przedziwo marzeń sennych urwało się bez reszty. Usiadł z rozmachem na łóżku.

- Jack, otwórz, na miłość boską! - Drzwi drgały pod uderzeniami drobnych piąstek.

Otrzeźwiał w jednej chwili. Kay! Kay w niebezpieczeństwie! Gwałtownym ruchem przekręcił klucz w zamku.

- Kay? Maleńka... co się stało?

Szczupła sylwetka wyraźnie dygotała pod ciemnokrwistym jedwabiem pidżamy.

- W domu ktoś jest...

- Kto?

- Nie... nie wiem. - Zęby jej stukały febrycznym rytmem. - Ktoś obcy. Boję się... Nie chciałam obudzić ojca...

Zacisnął palce na rękojeści pistoletu.

- Gdzie?

- Przechodził koło mego pokoju... Słyszałam wyraźnie. Ruszał klamką. Później po korytarzu...

Przekręcił włącznik. Długi wąwóz korytarza wypełniło światło. W korytarzu nie było jednak nikogo.

- Może ci się zdawało, maleńka?

- Nie - drżała coraz mocniej - na pewno nie. Słyszałam wyraźnie... Cicho - ścisnęła nagle jego ramię - słuchaj!

Gdzieś na półpiętrze trzasnął stopień. Potem drugi. Robiło to wrażenie, jakby ktoś schodził: ostrożnie.

- Poczekaj tu na mnie - rzucił się naprzód.

- Nie - pobięła za nim - za nic w świecie nie zostanę teraz sama!

Dobiegli do schodów. Klatka schodowa tonęła w półmroku. Nie czas szukać wyłącznika. Schody trzeszczały wyraźnie.

Przeskakiwał po kilka stopni naraz. Kay nie;; odstępowała nawet na pół kroku. Słyszał tuż za sobą jej przyspieszony oddech.

Przystanął na podeście, rozglądając się na wszystkie strony. Nagle drgnął.

O kilka jardów poniżej przesuwiał się bezszelestnie cień. I był to cień człowieka.

Gorący szept oparzył ucho.

- Widzisz, Jack? Podniósł rewolwer.

- Stać!

Piskliwy dźwięk własnego głosu uderzył go nieprzyjemnie. Kay pomyśli, że stchórzył.

- Stać! - wycelował w kierunku posuwającego się wciąż cienia - ręce do góry!

Tym razem okrzyk wypadł o wiele pewniej. Zimno cyngła napawało kojącą otuchą. Cień nie reagował.

Poczuł, jak smukłe paluszki wpijają się z siłą w ramię.

- Strzelaj! - cichy szept docierający aż do głębi duszy.

Zawahał się. Jakże strzelać do kogoś, kto ucieka? Długimi susami runął w dół. Biegła za nim nie wypuszczając rękawa jego kurtki.

- Stać!

Cień jednak był szybszy... Ani mowy, by zdołał go dogonić. Za chwilę zniknie w korytarzu pierwszego piętra. Właśnie przemykał obok drzwi gabinetu profesora.

- Strzelaj! - niemal krzyknęła. Automatycznie pociągnął za cyngiel.

W ostatniej chwili zniżył lufę w dół, celując w nogi. Huknął strzał. Załomotało przeciągłe echo o załomy ścian.

Cień uciekał nie zatrzymując się ani na chwilę.

Jack uczył szarpnięcie.

- Jeszcze raz!, To pewno morderca! Ten, co Robby'ego... Strzelaj!

Nacisnął cyngiel. Strzał jednak nie nastąpił.

- Dlaczego nie strzelasz? - szarpała jego rękawem - ucieknie... Wymorduje nas wszystkich. Tak okropnie się boję!

Przystanął manipulując przy pistolecie. Nic nie pomogło.

- Zaciął się - mruknął wciągając powietrze do płuc. - I tak go złapię.

Ujął pistolet za lufę. Tymczasem nadawał się tylko do roli miniaturowej maczugi.

Uciekający wykorzystał chwilowe zatrzymanie się Jacka. Dobiegał już do drzwi prowadzących na służbowe schody.

Jack wyteżył siły. Był niezłym sprinterem, ale tamten... Tamten przewyższał go przynajmniej o całą klasę. Po metalowych schodach Jack biegł już sam. Cień zniknął bez śladu. Otwarte na oścież drzwi do ogródka wskazywały drogę ucieczki. Lampa na tarasie rzuciła szeroki krąg jaskrawego

światła. W ogródku było pusto.

Skrzypnęły zawiasy. Pomarszczona twarz koloru starej miedzi zabłysnęła w potokach jasności. I John Quetlac spojrział niezdecydowanie na przedpotopowy bębenkowiec w swojej dłoni.

- Stało się coś, sir?

Jack z trudem łapał oddech. Szaleńczy bieg po spiralnych schodach nie należał do najłatwiejszych.

- Ktoś... tędy uciekł - wskazał ruchem głowy w kierunku otwartych drzwi. - Obcy.

Wyszli. Pod stopami zaszeleściły zeschnięte liście. Furtka była otwarta. John zaryglował ją starannie, przekręcając w zamku wydobyty z kieszeni klucz. Zakreślił długą lufą rewolweru dookoła.

- Nie ma nikogo.

To było oczywiste. W ogródku nie było żadnych zakamarków, gdzie ktokolwiek mógłby się ukryć.

Wracali. Służący wsunął rewolwer do kieszeni. Był tak wielkich rozmiarów, że drewniana rękojeść wystawała na zewnątrz.

- Dziwne - mruknął pod nosem.

- Co? - zapytał Jack. Indianin jednak nie odpowiedział.

Zuzanna zdążyła włożyć swój rurkowy czepek.

- Święty Patryku - zaciskała pomarszczone ręce na poręczy rzeźbionego fotela - wymordują nas tu wszystkich. Gdzie ci bandyci?

John w milczeniu wzruszył ramionami.

- Uciekli? - dopytywała się staruszka. Indianin kiwnął głową.

- Chwałaż ci Boże... - zaczęła zamykać drzwi na łańcuch.

- Furtka znowu była otwarta - mruknął w przestrzeń.

Staruszka przeraziła się.

- Przecież sama dopilnowałam, żeby... Sprawdziłam ze dwa razy. A może nawet więcej. Któż mógł ją otworzyć?

Nowe wzruszenie ramionami. Indianin w milczeniu odszedł w kierunku służbowych pokojów.

- Kiedy to straszycie nauczyć się wreszcie gadać po ludzku? - załamała ręce. - Milczy jak nie

przymierzając jakąś mumia.

Jack wszedł na górę.

- Co z Kay? Może zemdląca biedactwo? Taka była przerażona...

Przyspieszył kroku.

Siedziała jednak w fotelu na podeście. Przy niej stał profesor. Prawą rękę trzymał w kieszeni szlafroka. Kieszeń mocno odstawała.

Spojrzał pytająco na Jacka.

- Uciekł?

- Zniknął bez śladu.

Nie wspomniał o otwartej furtce. Po co jeszcze bardziej niepokoić Kay? Profesor zresztą nie pytał o szczegóły.

- To było do przewidzenia - wyjął rękę z kieszeni, sięgając do srebrnej skrzynki stojącej na stoliku. - Zapalisz? - podsunął ją Jackowi. - O tej porze papierosy powinny lepiej smakować niż cygara.

- Z przyjemnością.

- Ja także - Kay wyciągnęła rękę w kierunku skrzynki.

Brwi profesora powędrowały lekko w górę. Jack spojrzał zdumiony. Nigdy nie widział, by paliła.

- Taka jestem okropnie zdenerwowana - szepnęła tonem usprawiedliwienia - może mi trochę pomoże.

Profesor bez komentarzy podsunął córce płomień zapalniczki. Wciągnęła chciwie dym. W następnej jednak chwili zakrztusiła się silnie. Aż oczy zaszkliły się łzami.

- Nie jesteś przyzwyczajona - skonstatował beznamiętnie profesor.

- Nie.

Paliła jednak dalej. Przez chwilę panowało milczenie. Jack przysiadł na szerokiej poręczy fotela.

- Jak stryj myśli, kto to mógł być? - zapytał wreszcie.

Profesor obserwował misterne kółka dymu ulatujące ku sufitowi.

- Ba... cień, jak mówiłeś. To wszystko.

- Cień, który jednak hałasował jak słoń w składzie porcelany.

- O! - twarz starego dżentelmena wyraziła lekkie zdziwienie - aż tak bardzo?

- Porządnie, skoro zdołał obudzić Kay. O ile pamiętam z dawnych czasów, nie tak łatwo było ją wyrwać z marzeń sennych.

Profesor spojrział na córkę.

- Obudził cię?

- Tak. Manipulował przy klamce mego pokoju.

- Spałaś?

- Czy ja wiem... W każdym razie drzemałam. Czasy mego kamiennego snu, o którym wspomina Jack, należą do dawno zapomnianej przeszłości...

Profesor pokiwał głową.

- Tak. Ostatnio mieszkańcy naszego domu nie sypiają zbyt, mocno. Jednak pomimo wszystko, dziwne...

- Co? - zapytał Jack.

- To, że był taki głośny. Ci, których mam na myśli, potrafią poruszać się bezszelestnie.

Jack uśmiechnął się niezbyt szczerze.

- Duchy Majów?

- Ach, nie... Nie tylko duchy potrafią wędrować bez szmeru. Nawet w cudzym domu - zakończył w zamyśleniu. - Nno - wysunął zegarek spod mankieta szlafroka - warto by się trochę jednak przespać.

Jack aż zamrugnął powiekami na widok bransoletki na rękę stryja. Kiedy zdążył ją włożyć? Bo chyba nie sypiał z zegarkiem na rękę? Nie zastanawiał się jednak nad tym głębiej. Uczniowie mają różne swoje dziwactwa. Może i sypiał.

Kay trzymała go kurczowo za rękę, gdy odprowadzała ją do pokoju.

- Tak mocno spałeś, gdy stukałam do twoich drzwi - skarżyła się żałośnie - mogliby mnie zamordować, zanim zdołałam cię obudzić.

Uśmiechnął się z zawstydzaniem.

- Sam nie wiem, jak to się stało. Zwykle drzemie jak zając. Może dlatego, że tyle nocy...
- zamilkł zakłopotany. Wyglądało to, jakby narzekał.

Przytuliła się do niego lekko.

- Biedny chłopiec, strasznie zmęczony. Taki zmęczony, że nawet nie śmiem prosić o to, o co miałam zamiar...

- Ależ maleńka. Wcale nie jestem zmęczony. Wszystko, co rozkażesz...

- Widzisz - przywarła do niego na mgnienie oka mocniej - widzisz - powtórzyła - jaj się dziś okropnie będę bała po tym wszystkim. Jeżelibyś mógł... Jeżeli zdołasz, to poczytaj parę minut przed położeniem się spać. Tylko parę minut, dopóki nie zasnę. Będę się czuła znacznie pewniej wiedząc, że czuwasz... Nie gniewaj się na mnie za tę niedorzeczność, ale zostałam takim samym mazgajem, jak byłam niegdyś. I jakoś nic na to nie mogę poradzić - westchnęła ze skruchą.

Utulił w swej dłoni drżące palce.

- Ależ naturalnie. Jeżeli chcesz, będę czytać do rana...

Potrząsnęła gwałtownie głową. W lśniących włosach zamigotały odbłyски lamp.

- Nie. Ani mi się waż tak długo. Najwyżej I kwadrans. Obiecuj.

Obiecał solennie.

- Dziękuję. Dziękuję za wszystko, Jack - podsunęła pachnącą dłoń do ust Jacka. - Dobranoc!

Cicho szcęknał zamek.

Powolnym krokiem wracał na górę. Biedna, maleńka Kay.

Gdy dochodził do ostatniego stopnia, wydało i mu się, że na pierwszym piętrze skrzypnęły zawiasy. Przystanął nasłuchując z natężeniem. Nic. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza.

- Głupstwo - wzruszył ramionami. - Idiotyczne przewrażliwienie. A wtedy, gdy zaszła naprawdę potrzeba, chrapał jak suseł - pomyślał niechętnie - taki obrońca... Do luftu!

Zachciało mu się nagle pić. Woda w karafce pachniała lekko stęchlizną. Miał dosyć po pierwszym łyku. Trzeba będzie przypomnieć kamerdynerowi, by stawiał na noc coś do picia - pomyślał.

Tymczasem jednak nie było mowy o budzeniu służby. Na pewno już poszli spać po alarmie...

Przeszedł do swojej łazienki. W odkręconym kurku długo bulgotało, zanim spłynęły pierwsze krople. Przeczekał dłuższą chwilę chcąc, by woda była chłodniejsza. I tak wydała mu się wstrętnie ciepła.

Pił małymi łyczkami.

Dla pewności nie położył się do łóżka. Bał się, że zaraz zaśnie. Gwałtowne ziewanie szarpiące mięskami szczęki stanowiło aż nadto dostateczne sygnały ostrzegawcze.

Że też musiałem spudłować do tego typu - przetrawiał w myśli, wyciągając nogi przed siebie - gdybyśmy go mieli w rękę, cała historia wyglądałaby zupełnie inaczej. Ptaszek musiałby wyśpiewać, po co składa nocne wizyty. I ten przeklęty pistolet. Akurat musiał się zaciąć... Co mu się stało?

Gdy sprawdzał wieczorem, mechanizm działał bez zarzutu. Ano zobaczy się... - sięgnął do kieszeni. Aż zaklął ze zdumienia, zrywając się na równe nogi. Kieszeń była pusta.

Co znowu za diabelszczyzna? Był najmocniej przekonany, że wracając na górę schował go do kieszeni. A może nie schował. W takim razie gdzież u licha mógł go podziać? Na stoliku? Na fotelu? W każdym razie chyba gdzieś na podeście.

Wybiegł pospiesznie z pokoju. Ładna byłaby historia, gdyby zapodział pistolet. W tym otoczeniu zostać bezbronnym? Aż gwizdnął przez zęby.

Podest tonął w przyćmionym świetle. Widocznie tymczasem część lamp pogaszono. Jeszcze niej zdążył zejść, gdy dostrzegł na polerowanym blacie stolika czarny zarys metalu. Odetchnął z niekłamaną ulgą. Ależ gapa, żeby w takich okolicznościach gubić broń po kątach - wyciągnął chciwie rękę..

Powróciwszy do swego pokoju, rozebrał pistolet na części szukając przyczyny zacięcia mechanizmu. Wszystko jednak było w najzupełniejszym porządku... Zarepetował. Nabój wszedł gładko do lufy. Może niewypał? Obejrzał dokładnie górny nabój w magazynku. Na nieskalanie gładkiej pojl wierzchni spłonki nie było śladu uderzenia iglicy. Iglica również spadała za każdym pociągnięciem cyngła. Nie znalazł żadnego powodu, który, by tłumaczył, dlaczego pistolet nie wystrzelił za drugim razem.

Wzruszył ramionami - automaty miewają nie - I kiedy fantazje. Jeżeli jeszcze raz zawiedzie, wyrzuci go po prostu na śmietnik i kupi ucziwego) colta. Ten przynajmniej nie robi niespodzianek.

Jeżeli jeszcze raz zawiedzie?

Aż mu się zimno zrobiło na myśl, w jakich I okolicznościach to może nastąpić. Trudno. Tymczasem nie ma innej rady.

Wprowadził kulę do lufy, zabezpieczył i poło-; żył pistolet pod ręką. Sięgnął po książkę. Poczyta kilkanaście minut. Litery jednak rozpływały się przed oczyma.

Co tam - zacisnął szczęki - nie zasnę przecież.

I niemal w tej samej chwili, zapadł w kamienny sen.

XII. Znikająca kula

Jack gwizdał, by zagłuszyć lekkie wyrzuty sumienia. Trochę to jednak było nie fair. Trudno. Skoro nie widział innego wyjścia. Szczególnie po doświadczeniach ostatniej nocy. Zasypia wtedy, gdy jest najbardziej potrzebny. A potem pudłuje strzelając do celu oddalonego o parę zaledwie kroków. Mogliby wszystkich wymordować przy takiej opiece. Kay odstawiała pełne talerze.

- Nie bierz ze mnie przykładu - prosiła - jakoś nic nie mogę przełknąć. Nerwy.

Jackowi nerwy nie przeszkadzały; zmiatał jedną porcję po drugiej. Zdarzenia nocy spotęgowały jeszcze apetyt. Trochę go to krępowało, gdy widział nietknięte przez Kay potrawy. Był jednak naprawdę głodny jak wilk.

- Co masz zamiar robić przed południem? - łykał leniwie herbatę, najedzony do niemożliwości.

- Jeszcze nie wiem - zamyśliła się - czyż to zresztą nie wszystko jedno? - zakończyła beznadziejnym tonem.

Jack odstawił szklanę.

- Czy... czy nie będziesz się bała, jeżeli wyjdę na, powiedzmy, jakąś godzinkę?

Spojrzała na niego.

- Masz coś do załatwienia na mieście?

- Tak... Chciałbym odwiedzić jednego z kolegów - odpowiedział szybko, w obawie, by nie zaproponowała swego towarzystwa. Ładna byłaby historia.

- Nie. Oczywiście, że nie będę się bała. Skądże, w biały dzień?

- Postaram się wrócić bardzo szybko - zapewnił.

- Nie spiesz się. Zresztą dziś jest u nas dzień spacerów. *Daddy* także wyszedł na miasto.

Uderzył go głuchy dźwięk ostatnich słów. Jednak boi się biedactwo zostać sama. Ale to, co zamierzał uczynić, miało na celu przecież także jej bezpieczeństwo.

Podszedł ku niej.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze - pogładził leżącą na obrusie dłoń.

Nie usunęła ręki, odniósł jednak wrażenie, że jest myślami daleko.

Wychodząc czuł się nieswojo.

Gdy podchodził do wielkiego gmachu, obejrzał się na wszystkie strony jak tropiony złoczyńca.

Bo jednak, pomimo wszystko, to nie było zupełnie w porządku.

Z wartownikiem w lśniącym hełmie nie miał żadnych trudności. Wyłożone puszystymi chodnikami korytarze dodały mu otuchy. Dlaczego wyobrażał sobie, że tu wszystko musi wyglądać; zupełnie inaczej, niż wyglądało w rzeczywistości

- Ach, to pan... - porucznik Hopkins wsunął szybko jakiś papier do sztywnej obwoluty.

Nie tak szybko jednak, by Jack nie zauważył, że dokument diablo przypomina kablogram. Jeżeli się nie mylił, był to najdłuższy kablogram, jaki miał okazję oglądać w życiu.

Wygarnął bez wstępów propozycję.

Porucznik wysłuchał uważnie, nie przerywając ani razu. Jack nie mógł się zorientować, czy wysunięty projekt zaskoczył go w najmniejszym choćby stopniu. Twarz jego pozostała nieruchoma.

- Hm - porucznik zgodnie ze swoim zwyczajem patrzył wprost w oczy gościa - to jednak jest cokolwiek niezwykła propozycja...

- Chodzi przecież o życie ludzkie - nastawał gorąco.

Porucznik uśmiechnął się lekko.

- Przeczucia przybrały na sile?

- To... nie tylko chodzi o przeczucia - przyznał z poczuciem winy.

- Nie powiedział mi pan wtedy wszystkiego? - w głosie porucznika nie było ani cienia pretensji.

- A... a teraz.

- Niestety. Nie mogę. Niechże pan zrozumie, poruczniku, dałem słowo...

- Ach tak... rozumiem. Ale widzi pan... Dyskretne pukanie do drzwi przerwało dalsze słowa.

- Przepraszam na chwilę. Porucznik wyszedł na korytarz.

- Panie poruczniku... - niepozorny człowieczek w jasnym burberry złożył przyciszonym głosem raport.

Na czole porucznika zarysowała się głęboka pionowa zmarszczka.

- Jest pan tego pewien?

- Najzupełniej.

- Hm, tak. Dziękuję - porucznik patrzył, w zamyśleniu za jasnym burberry, dopóki nie zniknęło za załomem korytarza.

To, co usłyszał przed chwilą, diablo komplikowało sprawę. Albo ją upraszczało. Wszystko

zależało od punktu widzenia, z którego się zagadnienie chciało rozpatrywać. Wrócił do gabinetu.

- Jak pan myśli, czy mógłbym liczyć na zaproszenie ze strony gospodarza? - zapytał Jacka.

- Nie... chyba raczej nie. Ale stryj nie będzie stawiać przeszkód. Jestem niemal tego pewien.

Porucznik kręcił pomiędzy palcami ołówek.

- Powiedzmy nawet, że nie będzie... Ale zakwaterować się w domu profesora...

Jack osowiał.

- Więc jak będzie?

Porucznik bardzo długo zapalał papierosa.

- Czy ja wiem... To niezupełnie ode mnie zależy. W każdym razie postaram się...

Jack dziękował gorąco. Znacznie mniej natomiast entuzjazmu przejawiał sir Drake.

- I to pan nazywa jedwabnymi rękawiczkami, poruczniku?

Porucznik powtórzył to, co usłyszał od człowieka w burberry.

Sir Drake sposepniał.

- Ładna historia. Skąd pan na to wpadł?

- Szukam końców nici...

Palce naczelnika zabębniły po blacie biurka.

- Więc młody Hoppe miał karciane długi... hm... duże?

- Jak dotychczas stwierdziliśmy kilkaset funtów. Ale nie wiadomo czy to już koniec.

- Ładna nić - mruknął z goryczą - może nas zaprowadzić Bóg wie gdzie...

- Może tak samo zaprowadzić w próżnię. Marsz bębniący po polerowanej płycie mahoniu nabierał coraz szybszego tempa.

- A o tej awanturze przed śmiercią młodego Hoppe'a to pewna wiadomość?

Porucznik uśmiechnął się.

- Nasz wywiadowca, Brecky, ma wielkie powodzenie u płci pięknej. A że w domu profesora pracuje pewna zalotna pokojóweczka...

- Rozumiem. Kazał pan złożyć raport na piśmie?

- Tak.

- *All right.* W takich wypadkach trzeba wszystko dopiąć na ostatni guzik. Jednak... hm... - potarł czoło - przecież to właśnie profesor podał w wątpliwość naturalną przyczynę śmierci syna. Doktor stwierdził urzędowo aneurizm serca.

Porucznik wyjął lekceważąco wargi.

- Ba... doktor. Proszę nie zapominać o czerwonoskórym służącym. Ten na pewno wie znacznie więcej, niż pozwala z siebie wycisnąć. A także i inni. Choćby taka Kate, pokojóweczka, o której panu wspominałem. Twierdzi wprost, że profesor jest winien śmierci swego syna.

Sir Drake podniósł raptownie głowę.

- Jak to?

Porucznik pokiwał przecząco głową.

- Nie. To nie taka bomba, jaką ma pan na myśli. Po prostu jest zdania, że profesor przez awanturę z synem tak go zdenerwował, że stają się przyczyną katastrofy.

Sir Drake wzruszył lekko ramionami.

- To jeszcze niezbyt wiele, he?

- Nie. Ale zestawmy fakty. Dla porządku zaczynajmy od końca. A więc: dmuchawka z zatrutymi strzałami, która znika po śmierci nie-; znanego osobnika. Trucizna, która nie pozostawia, w organizmie żadnych śladów. Nagła śmierć młodego Hoppe'a. Awantura z profesorem, która te śmierć poprzedza. Długi karciane nieboszczyka. Spotkanie jego z profesorem Williamsem. Fakt, że profesorowi Hoppe zginęły pewne okazy ze zbiorów. I fakt, że profesorowi Williamsowi pewne okazy niedawno przybyły...

- O - drgnął sir Drake - stwierdził pan to także?

- Tak. I weźmy pod uwagę oświadczenie samego profesora, że nie cofnąłby się przed niczym. Przed niczym, rozumie pan, sir? - zapytał z naciskiem. - Jeżeli chodzi o ochronę zbiorów. Zresztą, co tam oświadczenie! Nie mówię już o tym nieszczęśniku znalezionym w ogródku. Ale instalacja ochronna profesorskiej willi jest sama w sobie potencjalnym morderstwem. Gdybyśmy teraz, powiedzmy, przypuścili... oczywiście zupełnie teoretycznie... że młody Hoppe dla uregulowania swych karcianych długów zabrał jakie okazy ze zbiorów swego ojca i sprzedał je profesorowi Williamsowi...

- Hm... tak - sir Drake obejrzał z uwagą małą lachitową suszkę, po czym odłożył ją ostrożnie na miejsce. - I do jakich wniosków doszedł pan na podstawie tego wszystkiego?

- Do żadnych, poza jednym, że propozycja Granmore'a ułatwiłaby jednak szukanie właściwego kłębka.

- Ale to, co twierdzi Granmore, nie pasuje przecież do pańskiej teorii, poruczniku?

- Ja nie mam żadnej teorii. Podaję tylko fakty-

- Kim jest ten cały Granmore w stosunku do profesora?

- Bratankiem.

Sir Drake zamyślił się przez chwilę.

- Cóż... W razie czego będziemy mieli jednak pewne pokrycie. Bratanek, to bratanek. Niech więc pan w imię boże włązi do tej paszczy lwa - zażartował bez przekonania. - Tylko liczę na pana, że pan nie nawarzy kaszy... Przynajmniej więcej, niż tego zajdzie niezbędna potrzeba.

- To już jak los wydarzy, sir.

Naciskając dzwonek w willi profesora, porucznik odczuwał coś w rodzaju lekkiego niesmaku. Organicznie nie znosił niewyraźnych sytuacji.

Twarz profesora przypominała, jeszcze bardziej niż zazwyczaj, jedną z masek wiszących na ścianach jego gabinetu.

- Mój dom jest oczywiście do dyspozycji władz wymiaru sprawiedliwości. Obawiam się jedynie, że panu nie będzie zbyt wygodnie.

Porucznik zapewnił, że można go umieścić w jakimkolwiek kącie, a będzie się czuł doskonale. „Jakimkolwiek kątem” okazał się zresztą komfortowy pokój gościnny.

Przy kolacji honory domu pełniła Kay. Profesor, jak zawsze w ciągu ostatnich dni, był ni obecny. Kay była za to bardzo uprzejma dla gościa. Aż nadto uprzejma, jak uważał Jack prostu go kokietuje - skonstatował w duchu.

Z lekkim osadem goryczy stwierdził, że rozmowa toczy się wprawdzie w jego obecności, ale z minimalnym jego udziałem. Porucznik miał bardzo dużo do opowiadania. I umiał opowiadać. Kilka powiedzonek aż skrzyło się dowcipem! I to dowcipem w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Kay raz po raz wybuchała cichym śmiechem. Oczy jej lśniły jak gwiazdy, rzucając błyski spod długich rzęs. Ale błyski te nie były bynajmniej przeznaczone dla Jacka.

Jack przygryzał coraz częściej wargi, obdarzając ponurymi spojrzeniami stojący przed sobą talerz. Miał uczucie, jakby go wyrzucono poza nawias. - Nowe sitko na kołku, ot co - rozżalony obserwował ukradkiem Kay. - Tak... choćby te rumieńce na jej policzkach. Nie zauważył ich nigdy, gdy rozmawiali we dwoje.

Z kolei przeniósł wzrok na porucznika. Wspaniały okaz - przyznał w duchu - z tego właśnie gatunku, który najbardziej zawraca dziewczętom głowy. Ale żeby Kay tak od razu... Coraz bardziej tracił humor.

A oni bawili się coraz lepiej. Odetchnął z prawdziwą ulgą, gdy kolacja dobiegła końca.

Na szczęście Kay niemal zaraz poszła do swego pokoju. Nie wytrzymałaby chyba nerwowo, gdyby tortura miała trwać dłużej.

Przeszli z porucznikiem do palarni. Porucznik spojrzął z ukosa na uchylone drzwi.

- Hm... chyba tu nam będzie najwygodniej - podszedł ku stolikowi w odległym kącie.

Zapalili w milczeniu cygara. Jack przetrwał w duchu uczucie niechęci, jakie zrodziło się w stosunku do porucznika. Nie, właściwie to nie była niechęć. Na dobrą sprawę nie potrafili określić dokładnie charakteru uczucia.

Porucznik znowu zerknął ku drzwiom, potem pogрузił się bez reszty w obserwacji stożka popiołu narastającego powoli na końcu cygara.

- Wie pan co - rzucił od niechcienia - przed kolacją oglądałem miejsce, w którym, według pańskich słów, stał ten tajemniczy cień w momencie, gdy pan do niego strzelał.

- I co? - ton Jacka wbrew jego woli nie był zbyt ciepły.

- Otóż to najciekawsze, że nic. Nie znalazłem śladu kuli, tam gdzie się ten ślad znajdować powinien... Ani także gdziekolwiek indziej - dodał po chwili.

- Może niedokładnie określiłem miejsce?

- Bba... zdołałem przepatrzeć cały podest. I nawet część korytarza.

- W korytarzu nie stał wtedy na pewno...

- Ttak... - porucznik pogonił wzrokiem za dymem ulatującym z cygara. - Czy na pewno strzelał pan w kierunku pierwszego piętra?

- Z całą pewnością. Porucznik strzepnął popiół.

- Nie powiem, żebym przepadał za kulami rozplywającymi się w powietrzu. Chyba, że pan go jednak trafił?

- Nie było żadnych śladów krwi. Porucznik zamyślił się.

- Dziwne. Wspominał mi pan coś o tym, że pistolet zaciął się przy drugim strzale? Jaka była przyczyna?

- Absolutnie żadna. Przynajmniej ja żadnej nie znalazłem.

- Rozbierał pan mechanizm?

- Jak najdokładniej. Wszystko działało z idealną sprawnością.

- Ma pan ten pistolet przy sobie?

Jack zamiast odpowiedzi wyjął broń z kieszeni, podając porucznikowi.

Ten zarepetował kilkakrotnie. Naboje wyskakiwały z bocznego otworu, padając z lekkim stukiem na stół.

- Rzeczywiście idzie gładko - mruknął załadowując z powrotem. - Może łuska stanęła w poprzek? To się czasami zdarza.

- Nie było żadnej łuski, gdy sprawdzałem. Porucznik uśmiechnął się krzywo.

- Jednym słowem magiczna kula? Jack wzruszył ramionami.

- Sam sobie tego nie umiem wytłumaczyć.

- Sprawdzał pan zaraz po zacięciu?

- Nie... Może w jakieś kilkanaście minut.

- Ale cały czas miał pan pistolet przy sobie?

- Nie. Zapomniałem go na stoliku na podeście. To nawet dziwne, żeby w takiej chwili...

- Ruszał go ktoś w międzyczasie? - przerwał porucznik.

- Znalazłem go na miejscu, gdy przyszedłem po raz drugi na pierwsze piętro.

- W jaki czas po wejściu na górę? Jack zastanowił się.

- Hm... czy ja wiem. Raczej zaraz. Nie, nikt me zdążyłby manipulować przy nim w czasie mojej nieobecności. A czy pan sądzi, że...

Porucznik machnął sennie ręką

- Nic nie sądzę. Nie lubię tylko znikających kul, zacinających się bez powodu pistoletów i tym podobnych cudownych historii

XIII. Ofiara Bogini Mai

Z prawdziwą rozkoszą wyciągnął się na łóżku. Pierwsza noc w tym domu, w czasie której w dzień mógł spać ze spokojnym sumieniem. I to spać uczciwie, a nie jak zając z jednym okiem

otwartym i nastawionymi uszami.

Przekręcił wyłącznik. Nareszcie mógł pogasić wszystkie światła.

Porucznik twierdził, że nie wyczuwa w atmosferze nic niesamowitego? Zobaczymy, jak zaśpiewa, gdy pobędzie tu dłużej. Zresztą Kay... Przed oczyma stanęła wizja lśniących oczu i zarumienionych policzków. Tak... w tych warunkach wszystko wygląda oczywiście inaczej.

W sercu wiercił dokuczliwy cierń. Kto by jednak mógł przypuszczać, że z niej taka flirtiarka? Widziała go po raz pierwszy... i od razu...

Przewracał się z boku na bok. - Cóż, ma oczywiście prawo flirtować z kim jej się podoba. - Gdy zasnął, zaczął przeżywać dalszy ciąg tortur rozpoczętych przy kolacji.

Mrugał powiekami, usiłując zidentyfikować dźwięk, który go wyrwał ze snu. Może po prostu jakaś reminiscencja sennych marzeń. Spał tak spokojnie.

Tarł zaspane oczy wsłuchując się w ciszę. Nagle drgnął.

Skądś z dołu docierał przytłumiony odgłos. Nie potrafił określić jego charakteru. W każdym razie robił wrażenie mocno podejrzanego. Jakiś przerywany szmer, czy też szuranie. I coś jakby przytłumiony, bardzo cichy jęk.

Wyskoczył z łóżka, szukając po omacku pistoletu i latarki. Dopiero gdy je znalazł, przypomniał sobie, że przecież wystarczyło przekręcić kontakt. Przyćmione alabastrowym abażurem światło podziałało uspokajająco.

Szmer ucichł.

Znowu. Nie, to jednak nie było złudzenie. Czyżby powrócił wczorajszy tajemniczy nocny gość?

Ostrożnie uchylił drzwi. Lampy w korytarzu były pogaszone. Nacisnął guzik ręcznej latarki. Ostry snop białego światła przeciął mrok na dwie części, odgarniając go pod ściany. W korytarzu panowała pustka.

Zawahał się. Może któraś ze służących jęknęła przez sen. Albo...

Tym razem szmer był wyraźniejszy. I jak odniósł wrażenie, pochodził z pierwszego piętra. W gabinecie stryja?

W każdym razie gdzieś w najbliższej okolicy tego gabinetu.

Może by zastukać do pokoju porucznika? Wprawdzie znajdował się w drugim końcu korytarza, ale...

Nowy, wyraźniejszy od poprzednich odgłos przerwał wahanie. Tam jednak działo się coś niepokojącego. Daj Boże, żeby nie...Kilkoma susami przebiegi schody. Tak. To na pewno za

drzwiami gabinetu. Odsunął palcem bezpiecznik. Oby tylko zdążyć na czas!

Szarpnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

Opanowało go niedobre przeczucie. Stryj tak starannie zawsze ryglował na noc swój gabinet. Szczególnie od czasu historii ze złatoianą strzałą.

Światło latarki wydarło z mroku dziwnie kanciaste zarysy sprzętów. Zatoczył reflektorem wokoło.

Tu jednak także nie było nikogo.

Przystanął niezdecydowany. Co to wszystko miało znaczyć? Panowała teraz niczym nie zmacona cisza. Nie chciał robić niepotrzebnego alarmu. I tak wszyscy mają nerwy postrzępione. Ale te otwarte drzwi?

Nagle chłodny dreszczyk przebiegł wzdłuż krzyża. Poprzez pancerne drzwi muzeum docierał, wyraźnie odgłos jakiegoś szurania.

Zacisnął kurczowo palce na rękojeści pistoletu.;

Tam?!

Wyciągnięta ku klamce ręka zawisała przez chwilę w próżni. Czuł, jak na czoło występują drobne kropelki potu... Opanował go dziwny bezwład.

Stanięcie przed kamiennym upostaciowieniem okropnego koszmaru wydało mu się nagle czynił przekraczającym siły.

- Bo jeżeli...

„Na świecie dzieją się rzeczy, o których nie śniło się filozofom” - zabrzmiało echo słów stryja.

Za pancerną płytą rozległ się przytłumiony jęk, przechodząc powoli w zduszone charkotanie.

Na miłość boską, mordują kogoś! Czy też...

Zacisnął desperacko szczęki. Trudno. Tak czy inaczej, nie może stać bez ruchu, gdy tam o parę kroków...

Miał wrażenie, że włosy podnoszą mu się na głowie. Nie było chyba rzeczy na świecie, przed którą dygotałby ze strachu. Realnej rzeczy... Tu jednak...

Szarpnął się, pokonując całym wysiłkiem woli odrętwienie. Musi!

Zaciął zębami wargi aż do krwi. Ból otrzeźwił go nieco. Nerwy napięły się jak struny. Jeszcze chwila i zawróci rzucając się do panicznej ucieczki.

Desperackim ruchem nacisnął stalową klamkę. Pancerna płyta zapadła bez oporu w głąb. Więc i te drzwi otwarte?

Nie było jednak czasu na rozmyślania. Coś o nieokreślonym kształcie przemknęło w poprzek promienia reflektora.

- Kto...?

Urwał. Silne uderzenie czymś twardym w ramię wytrąciło z ręki latarkę.

Jęzor jasności liznął przelotnie ścianę. Na mgnienie oka podłoga rozbłysła jak płyta polerowanego srebra. Cienko brzęknęło tłuczone szkło. Na oczy spadła nieprzenikniona zasłona mroku.

- Stać! - ryknął rozpaczliwie, kierując lufę gdzieś w przestrzeń. - Stać!

Obco zabrzmiał dźwięk własnego głosu. Gdzieś poza plecami trzasnęła tafla posadzki. Odwrócił się raptownie na pięcie, usiłując dojrzeć coś w gęstwinie czerni. Nic jednak nie zdołał zobaczyć.

Głucho stuknął potrącony w gabinecie mebel.

- Kto tam? Stać do wszystkich diabłów!! - głos chrypiał dźwiękiem zdartego walca fonografu.

Palec oparty na cynglu drgał. Przeważenie zginało go coraz mocniej. Niemal tęsknił do błysku strzału i huku. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Strzelanie na oślep nie miało najmniejszego celu.

W gabinecie wszystko ucichło. Uciekł? Niemal odetchnął z ulgą. Niech sobie idzie do wszystkich diabłów. Tylko te otwarte drzwi...

Gdzie też może być stryj?

Stał dłuższą chwilę bez ruchu, usiłując sobie przypomnieć, na której ścianie znajduje się wyłącznik światła.

W nieprzeniknionej ciemności wsiąkał nieregularny szmer. Tak, jakby spadały powoli krople wody.

Wody?

Nagle pod czaszką załomotało przeraźliwe przypomnienie. Przecież właśnie tam, skąd dobiegał szmer, stał kamienny ołtarz. Z rowkami do ściekania krwi.

„...Jako ofiary, bogini składano drgające jeszcze serca wydarte z piersi żywych ludzi...” - niemal widział obojętną twarz stryja.

Znowu coś kapnęło.

Niemożliwy do pokonania skurcz zwał szczęki. Wyciągnął odrętwiałe ramię, szperając po ścianie. Tu gdzieś powinien być wyłącznik. Nie

Podniósł sztywno wyprostowane ramiona w górę. Nie było żadnych szans. Zanim zdołałby poruszyć choćby o milimetr lufę swego pistoletu, tamten naszpikowałby go ołowiem jak tarczę na niedzielnej strzelnicy.

Z zadowoleniem skonstatował, że sterczące ponad głową ręce nie drżą już ani trochę. Powoli odzyskiwał formę. Był niemal wdzięczny niewidzialnemu napastnikowi, że przyszedł do tego koszmarnego grobowca.

Powoli, atakowane napastliwymi igłami światła źrenice zaczęły odróżniać zarysy otaczających przedmiotów.

Potworna twarz bogini wypłynęła z mroku, zawisając nad głową. Kamienne węże nabrały życia, lśniąć polerowanymi splotami. Puste oczodoły masek na ścianach czerniały tajemniczą głębią.

Wyteżał wzrok wpatrując się w stojącą przed sobą sylwetkę.

- Kto?

Pasiasta flanela nocnej pidzamy stanowiła jedyną plamę pozbawioną grozy.

Nagle jaskrawy snop uciekł w bok, przestając atakować obolałe oczy.

- Ach... to pan - głos stracił barwę bezpośredniej groźby, brzmiał jednak twardo. - Co pan tu robi o tej porze?

Jack zamrugał powiekami. Teraz dopiero poznał spokojną twarz porucznika.

- Czy mogę opuścić ręce?

Wylot lufy wciąż wisiał na wysokości jego twarzy.

- Hm... zechce pan jednak przedtem rzucić pistolet poruszył się jednak z miejsca. Nie starczyło na to siły woli.

- Do diabła - szeptał półgłosem - do diabła.

Pod skórą falował febryczny dreszcz. Miał wrażenie, że ciemność gęstnieje. Nedorzeczna myśl że to kamienny posąg posuwa się, by go zmiażdżyć, dławiała mózg.

- Gdzież do licha ten wyłącznik? - Palce osuwały się po twardej gładziźnie ściany. Czuł, że jeszcze chwila i oszaleje.

Głębokie westchnie ulgi wydarło się z piersi. Palce natrafiły na bakelitowy guzik. Zanim jednak zdołał go przekreślić, silne uderzenie odepchnęło go w głąb skarbcza. Zatoczył się machając rękoma

dla odzyskania równowagi.

Płuca łapały kurczowo powietrze.

- Co... Co znowu? Kto tam? - niemal jęknął, niemrawo podnosząc pistolet.

Igły jaskrawego światła uderzyły boleśnie w źrenice,- oślepiając je w pierwszym momencie doszczętnie. Przed oczyma wirowały ciemne kręgi pływające w rozjarzonym morzu jasności.

- Stać! Ręce do góry! Obcy, dźwięczący stałą głós. Zamrugał bezradnie powiekami.

Na tle oślepiającej białości światła zaczął coraz wyraźniej występować mdły połysk oksydowanego metalu. Z czerni otworu rewolwerowej lufy ziała zaczajona śmierć.

Nagle odzyskał spokój. To było przynajmniej; realne.

- Ręce do góry albo strzelam! - Ton nie budził żadnych wątpliwości co do natychmiastowego wprowadzenia groźby w czyn.

Jack otworzył palce. Przez chwilę zastanawiał się, czy odbezpieczony pistolet nie wystrzeli uderzając o podłogę. Nie wystrzelił jakoś.

Z ulgą opuścił ramiona. Zaczął rozcierać odrętwiałe mięśnie.

- Proszę mi wybaczyć żądanie - w głosie porucznika brzmiały nutki ubolewania - jednak...

Jack popatrzył na niego z ukosa.

- Rozumiem - mruknął nie przerywając masażu - zastał mnie pan w cokolwiek dziwacznej sytuacji.

Porucznik opuścił rewolwer.

- Widzi pan, w naszym zawodzie muszą być zachowane pewne zasady gry. Inaczej wypadamy z niej bardzo szybko.

- Wierzę. Nie miałem jednak zamiaru zastrzelić pana. Ani nikogokolwiek innego.

Porucznik roześmiał się cicho.

- Oczywiście. Zresztą byłoby dosyć trudno to panu uczynić nawet w przeciwnym wypadku. Do tego potrzeba większej wprawy. Ale nie odpowiedział mi pan jeszcze na pytanie. Co się tu dzieje i co pan tu robi?

Teraz brzmienie głosu porucznika pasowało raczej do towarzyskiej pogawędki. Jack wzruszył ramionami.

- Ba, żebym sam to wiedział. Ktoś tu był. Uciekł. Wytrącił mi latarkę z ręki. Przyszedłem, bo usłyszałem jakieś podejrzane odgłosy...

Porucznik zmarszczył brwi.

- Jednak te nocne wizyty ktosia zaczynają się powtarzać z niepokojącą regularnością. Gdzie tu kontakt? - Zakreślił wokoło światłem.

- Oo... - Jack nigdy nie potrafił zdać sobie sprawy, z czyjego gardła wydarł się ten okrzyk. A może krzyknęli jednocześnie?

Biały promień zamarł w jednym punkcie, otaczając aureolą światła kamień ofiarny.

- Tam! - krzyknął zduszonym głosem Jack.

Na powierzchni odwiecznego ołtarza, karmiącego swą boginię ofiarami ludzkich serc, czerniała wydłużona postać.

Podbiegli bliżej.

Skręcone rzemienie owijały ciasnym splotem ciało zastygłego w bezruchu mężczyzny. Biała jak papier twarz trwała wykręcona w kierunku posągu.

Jack przypadł ku bezwładnej postaci.

- Stryju!

Z kamiennej rynienki spływała kroplami rubinowa ciecz, tak samo, jak spływała z niej przed setkami lat.

XIV. Koszula z japońskiego jedwabiu

Doktor Szroder okropnie tego nie lubił. Bo ostatecznie jedna z najbardziej luksusowych lecznic w stolicy to nie jakiś tam szpital, dokąd byle osobnik w mundurze wtyka nos, kiedykolwiek mu przyjdzie ochota.

Pacjenci są bardzo wrażliwi na takie historie. Szczególnie pacjenci, którzy mogą sobie pozwolić na przebywanie w lecznicy doktora Szrodera.

Na szczęście odbyło się wszystko dosyć dyskretnie.

Może nikt nie zauważył? Daj Boże, żeby tak było w rzeczywistości - rozmyślał obserwując z niepokojem szereg białolakierowanych drzwi.

Gość nawet nie miał na sobie munduru. Podsunął jakiś dokument. Doktor ani spojrzał. Na diabła mu tam papierki. Tu chodziło o reputację zakładu.

Gdy wyluszczył, z czym przyszedł, doktor złapał się za głowę.

- Ależ panie inspektorze - jęknął - jakżeż mogę? Przecież to jest prywatna lecznica.

- Nie jestem inspektorem.

- Nie? Bardzo przepraszam, jeżeli uchybiłem szarży, ale...

- Jestem sierżantem - zakończył gość niewzruszonym tonem.

- Sierżantem? - doktor stropił się wytrzeszczając oczy.

Rozmówca wyglądał na wszystko, tylko nie na sierżanta policji.

Znowu wszystko od początku. Monotonnym, pełnym wnikliwych nutek głosem, jakby jakąś lekcję do nauczenia się na pamięć.

Doktor tarł sobie siwą czuprynę.

- Panie... - przełknął. Słowo sierżant jakoś w tym wypadku nie chciało przejść przez gardło - rozumiem, jeszcze dzisiaj. To się da od biedy uzasadnić. Ale na dłuższą metę?

Tajemniczy sierżant w garniturze od pierwszorzędnego krawca był jednak niewzruszony.

Po jego wyjściu naczelny lekarz otarł kropelki potu występujące na czoło.

- Ależ piła.

Karuzela zaczęła się od samego rana. Profesor Hoppe nie był kimś, o kim by nie pamiętano w takich chwilach.

Kay bardzo się zdenerwowała.

- Dlaczego nie chcą mnie wpuścić do tatusia? Czyżby jakieś, nie daj Boże, pogorszenie, albo...

Doktor uśmiechnął się uspokajająco.

- Broń Boże! Wszystko w porządku. Ale niech pani zechce sama zrozumieć. Taki upływ krwi musiał jednak nadszarpnąć organizm. I do tego szok nerwowy. Chory musi mieć absolutny spokój.

Złożyła błagalnie ręce.

- Panie doktorze, ja przecież tylko na chwilę.; Na małą chwileczkę. Spojrzę na tatusia i pójdę.;

Potrząsnął głową z ubolewaniem.

- Naprawdę nie można. Najłżejsze wzruszenie mogłoby bardzo zaszkodzić.

- Czy tatuś odzyskał już przytomność? Doktor przetarł z uwagą okulary.

- Wszystko jest na najlepszej drodze, proszę mi wierzyć - z zaaferowaniem zaczął oglądać zdjęcie rentgenologiczne - za chwilę mam bardzo ciężką operację, zechcą mi państwo wybaczyć, ale...

Jack spojrzał na niego z nienawiścią. Przeklęty formalista! Doprowadził Kay niemal do łez!

Mina doktora była jednak niedwuznaczna. Chcąc nie chcąc, musieli opuścić gabinet.

Kay spojrzała bezradnie na ciężącą pod pachą paczkę.

- Chciałam dać tatusiowi te parę kwiatków. Jack przyłapał posługacza.

- Zaniesiecie to pod dwudziesty ósmy, do pana profesora Hoppe'a. - Wsunął mu do ręki monetę.

- Ależ wiem - uśmiechnął się - zaraz zaniosę.

Pobiegł szybko, posuwając się bezszelestnie w miękkich papuciach. Na pierwszym jednak piętrze zapukał do drzwi oznaczonych zupełnie innym numerem.

- Paczka dla dwudziestego ósmego! - oznajmił lakonicznie.

Zgryźliwy jegomość w białym fartuchu wzruszył ramionami.

- Jeżeli z tego wszystkiego nie wyniknie chryja, jakiej świat nie widział, to można mnie z powrotem zawinąć do pieluszek - mruknął.

Korytarz przed gabinetem naczelnego lekarza I ożywiał się coraz bardziej.

- Reporterzy - zameldował sekretarz.

- Jutro. Dziś nie mam ani chwili czasu.

- Ale ten? - położył na biurku bilet wizytowy.

Doktor skrzywił się, jakby połknął coś niesmacznego.

- Sekretarz Królewskiego Towarzystwa Nauk?... Hm... Niech pan bardzo przeprosi. Na - I prawdę jednak operacja, którą powinienem już dawno rozpocząć... - Nagle uderzył się dłonią w czoło - *all right*. Niech mu pan powie, że jestem na sali operacyjnej.

Na szczęście gabinet miał drugie wyjście. Kay uparła się.

- Chcę tylko spojrzeć na tatusia. Postaraj się. Jack biegał jak opętany po całej lecznicy. Przyłapał asystenta. Asystent robił wrażenie przerażonego.

- Ależ proszę pana! Zarządzenie naczelnego lekarza...

Próbował wsunąć grubszy banknot w rękę sanitariusza.

- Niech pan tylko ułatwi... Sanitariusz pokiwał smętnie głową.

- Ba, gdybym tylko mógł... Ale pan doktor Szroder w takich wypadkach nie żartuje.

Wrócił zniechęcony.

- Nic z tego nie wyjdzie. Musimy poczekać do jutra.

W domu znowu, pełno było policji. Kręcili się po wszystkich kątach.

Porucznik Hopkins z zaaferowaniem oglądał jakąś barwną tablicę.

- Muszą mi państwo pomóc. Kto z państwa był ostatni przed wypadkiem w muzeum?

- Ja byłem bardzo dawno - powiedziała Kay. - Muszę przyznać, że otoczenie tych wszystkich bożków działało mi za każdym razem na nerwy.

- Ach tak. W takim razie chyba pan? - spojrzał na Jacka.

- Tak by wynikało.

- Wobec tego muszę pana porwać na chwileczkę - ujął go pod ramię prowadząc do muzeum.

- Niech pan sobie przypomni, czy teraz jest tu wszystko tak, jak było za ostatniej pańskiej bytności?

Jack rozejrzał się uważnie.

- Nie - oświadczył stanowczo. - Te kamienne wazy, które stoją przy posągu, znajdowały się wtedy pod ścianami. Maski, mam wrażenie, także jakoś poprzewieszano.

- Właśnie - porucznik znowu sprawdził coś w schemacie, którego nie wypuszczał z ręki - gdy profesor oprowadzał mnie po muzeum, było tak samo. Myślałem jednak... - urwał w głębokiej zadumie.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Czy ja wiem... - porucznik podszedł do kamienia ofiarnego. - W każdym razie powiem panu coś ciekawego. To wszystko - zakresił ręką półkole - zostało tak ustawione, jak w świątyniach Majów w momencie spełniania ofiary ludzkiej. Zrobiłem sobie plan na podstawie malowidła użyczonego mi przez profesora Williamsa. I jeszcze coś panu powiem: otóż John Quetlac zniknął bez śladu..

Jack gwizdnął przez zęby.

- Taki gips? Więc jednak on? Porucznik wzruszył ramionami.

- Podaję tylko fakty. Jedno jest niewątpliwe: nikt, kto nie zna obrzędów kultu Majów, i to nie zna dokładnie, nie potrafiłby tego wszystkiego ustawić w ten sposób.

- Hm... - Jack zamyślił się - a jeżeli to stryj ustawił już po naszym zwiedzaniu?

- W jakim celu?

- Nno... powiedzmy, żeby dopasować do wyglądu świątyni... Zresztą na to pytanie będzie mógł sam odpowiedzieć.

- Oczywiście.

Jegomość w miękkim kapeluszu, którego nie, uważał widocznie za potrzebne zdejmować, podszedł do porucznika.

- Czy można przeprosić na chwilę?

Jack zrejterował dyskretnie. Okropnie jakoś nie miał przekonania do tych wszystkich potwornych; posągów i kamieni ofiarnych. Szczególnie po dzisiejszej nocy. Został Kay w fotelu przed kominkiem. Widząc przymknięte powieki sądził w pierwszej chwili, że drzemie. Na odgłos kroków uniosła jednak głowę.

- Czego chciał porucznik? - ociężałym ruchem ręki wskazała przeciwległy fotel.

Skorzystał skwapliwie z zaproszenia.

- Coś tam poprzestawiano w muzeum. Wiesz, zdaje mi się, że podejrzewa waszego Indianin

- Johna? A cóż on na to?

- Jak dotąd niewiele. Zniknął bez śladu. Pokiwała z wyrzutem głową.

- Nie powinieneś przejmować się ich metodami. Dla policji każdy, kogo akurat nie mogą znaleźć, zaraz znika i staje się podejrzany. To najłatwiejsze.

- Jednak John naprawdę gdzieś się podział. Sama przyznasz, że wygląda to dziwnie.

- Więc cóż z tego? Może go tatuś posłał z jakimś poleceniem.

- W nocy?

Za drzwiami zastukały ostro ciężkie kroki podkutych butów.

- Strasznie mi działają na nerwy ci panowie z policji - zauważyła z westchnieniem. - Zdaję sobie sprawę, że muszą tu być, jednak ich hałaśliwość i sposób bycia... brr. Myślałam, że to

porucznik prowadzi śledztwo.

Jack wyciągnął się wygodnie.

- Ba... Oni wszyscy prowadzą. Wszyscy razem i każdy z osobna. A w rezultacie skutku z tego wszystkiego tyle - dmuchnął po wierzchu dłoni. - Jestem gotów założyć się o gwineę przeciwko złamanej zapałce, że akurat tyle samo wiedzą, co wiedzieli, zanim tutaj przyszli.

Policjanci spacerowali po willi do wieczora. Porucznik za to wywędrował na miasto zapowiadając, że wróci raczej późno. Kay nie robiła wrażenia zbytnio zmartwionej tą wiadomością.

Telefonowała kilkakrotnie do lecznicy. Biuletyny brzmiały pocieszająco.

Do kolacji zasiedli we dwoje. Jack z trudem ukrywał rozradowanie wywołane nieobecnością porucznika. Dzisiejszego wieczoru miał Kay wyłącznie dla siebie. Ze skruchą musiał przyznać, że wczoraj osądził ją zupełnie niesprawiedliwie. Teraz przecież też miała rumieńce na policzkach. Oczy jej lśniły jak naświetlane diamenty. Była czarująca.

W ogóle wszystko układało się nie najgorzej. Jack zaczynał nabierać optymizmu - bo jednak tym razem, wbrew pewności stryja, „pierzasta śmierć” nie dosięgła ofiary.

Podano kawę, gdy energiczne pukanie zatrzęsło drzwiami. Kay drgnęła gwałtownie całym ciałem.

Ogarnął ją ciepłym spojrzeniem - ależ przedenerwowane biedactwo!

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Robię się po prostu okropna.

W drzwiach zaczerniała kwadratowa sylwetka barczystego policjanta. Stuknięcie obcasami zabrzmiało odgłosem niemal wystrzału.

- Bardzo przepraszam... Pan komisarz kazał prosić, żeby w nocy nikt nie wychodził z tego domu. W ogródku będzie stał posterunek. Mogłoby wynikać jakieś - zawahał się, widocznie szukając odpowiedniego określenia - nno, jakieś nieporozumienie.

- A czy w domu nie zostanie nikt z panów? - zapytała Kay.

- Nie.

- Szkoda - uśmiechnęła się - czulibyśmy się pewniej.

Odpowiedział uśmiechem na uśmiech.

- Niestety. Nie było rozkazu. Dobranoc. Stuknięcie obcasów wypadło jeszcze głośniej.

- Skokietowałaś nawet policjanta na służbie - zauważył żartobliwie Jack, gdy kroki ucichły w oddali.

- Widzisz, jak dużo może uśmiech.

- Szczególnie twój - potwierdził gorąco.

Wokół stawało się coraz ciszej. Zegar wydzwaniał jakąś tam godzinę. Jack modlił się w duchu, żeby przypadkiem nie spojrzała na jego tarczę. Musiało być dosyć późno.

Nie spojrzała jednak. Rozmowa znowu wkroczyła niepostrzeżenie na wspomnienia dawnych lat.

- Czy pamiętasz...

Jack oczywiście pamiętał. Wdawał się w najdrobniejsze szczegóły wspólnego dzieciństwa, aby tylko jak najdłużej zatrzymać ją przy sobie. Kto wie, kiedy znowu zdarzy się okazja, że będą znowu sami we dwoje. Nie rozumiał, jak mógł kiedyś myśleć o niej jako o mazgajowatej dziewczynce psującej z reguły wszystkie zabawy. I jak się stało, że przez tyle lat nie myślał o niej wcale.

Teraz przecież... O, teraz było co innego - chłonął chciwymi oczyma delikatny profil bladej twarzy.

- A wtedy, gdy przywiązałaś burusiowi łupinę kokosowego orzecha do ogona? Biedny kociak o mało się nie wściekł.

- Przecież to nie ja przywiązałem - zaprotestował.

Kap...

Odwrócił leniwie głowę.

- Czyżby dach przeciekał?

Nagle oczy jego rozszerzył wyraz przerażenia. Znowu kapnęło. Na nieskalanej bieli obrusa odcinały się podejrzana czerwienią plamy, których tam jeszcze przed chwilą nie było.

- Co to? - zerwał się z krzesła podnosząc głowę ku sufitowi.

Nieregularne kontury ciemnego zacieku zwiększały rozmiary z każdym ułamkiem sekundy. Roześmiała się.

- Teraz ty z kolei zaczynasz histeryzować. Po prostu jakiś gąsior z wiśniakiem pękł na strychu.

Odetchnął z ulgą.

- Ach tak... Przepraszam. Oczywiście, że gąsior - miał zamiar usiąść z powrotem, gdy nad głową zaczął rosnać odgłos jakiegoś szamotania... - Nie, to jednak - wsunął rękę do kieszeni - tam się

coś dzieje niezwykłego.

Poprzez sufit przesiąknął zduszony jęk. Jack odsunął raptownie krzesło. Twarz Kay stała się nagle bielsza od obrusa.

- Jack - złapała go za rękaw - nie zostawiaj mnie teraz samej. Jeżeli mnie choć troszeczkę lubisz... Ja tu chyba umrę ze strachu.

Odgłosy szamotania stawały się coraz gwałtowniejsze. Znowu jęk, przepojony śmiertelną trwogą, czy bólem.

Próbował odsunąć ją delikatnie. Trzymała kurczowo jego ramię.

- Ależ Kay... Tam przecież kogoś mordują!

- Zawołaj służbę.

- Starą Zuzannę? - bezskutecznie usiłował się uwolnić.

- Szofera. To taki silny mężczyzna. Ja nie chcę zostać sama! - niemal krzyknęła.

- Przecież śpi w garażu. Zanim go obudzę.

A tam tymczasem... Zrozum, muszę! - wyrwał się biegnąc w głąb korytarza. Słyszał tuż za sobą jej drobne kroki.

- Nie zostanę sama - powtarzała zadyszany szeptem.

Nacisnął klamkę. Małe drzwiczki były jednak zamknięte.

- Gdzie klucz?

Kay znowu przywarła do niego.

- Nie wiem. Może ma go Zuzanna. Nie chodź tam. Zawołaj policjanta. On...

Podparł mocno ramieniem zamknięte drzwi. Zatrzeszczały, zamek jednak nie puścił. Odszedł krok w tył, rzucając się na przeszkodę całym ciężarem ciała.

O mało nie runął. Drzwi zapadły raptownie w głąb. Wąskie drewniane schody głucho stukały pod podszwami.

Gdy otworzył klapę, wionęło stęchłe, nagrzane powietrze.

Słyszał, że Kay biegnie tuż za nim.

Zaklął przez zęby, uderzając czołem o jakąś belkę.

- Gdzie tu jest kontakt?

Szedł naprzód po omacku, wyciągając przed siebie ręce.

- Zaraz, nie mogę znaleźć - szept Kay był jeszcze bardziej zduszony.

Coś uderzyło go z rozmachem w lewe ramię.

- Co u diabła? - syknął. - Czy to ty, Kay?

Odpowiedziało milczenie. Przeszedł jeszcze kilka kroków i stanął. Odgłosy ucichły. Ogarnęło go nagle przerażenie. Co się stało z Kay? Dlaczego nie odpowiada?

- Kay! - krzyknął rozpaczliwie - odezwij się, na miłość boską!

Cichy trzask i rozbłysła słaba żarówka.

- Co się stało? - zapytała Kay.

Podbiegł ku niej z uczuciem niewysłowionej ulgi.

- Tak się okropnie o ciebie bałem - przygarnął ją ku sobie.

Rozejrzał się podejrzliwie. Spiętrzone rupiecie mogły służyć za kryjówkę Bóg wie jakiego niebezpieczeństwa. Z gotowym do strzału rewolwerem obszedł kąty. Nie znalazł jednak nigdzie nic podejrzanego.

- No, widzisz? - Nie odstępowała go ani o krok.

- Patrz! - Zatrzymał się nagle.

Na trocinach, którymi była wysypana podłoga, czerniała plama. Przyklęknął. Trociny w tym miejscu były wilgotne i dziwnie lepkie.

- Krew. - Podniósł palec do oka.

- Czyja? - Wzruszyła lekko ramionami. - Na pewno wiśniowy sok. Gąsior pękł i...

- Gąsior? Ale gdzie się podział?

- Mógłby spaść choćby tam - wskazała ruchem głowy dziecinne biureczko o połamanych nogach.

Jack podszedł bliżej. Po drugiej stronie biureczka piętrzyły się szczątki zabawek i jeszcze czegoś niewyraźnego w półmroku. Nie chciało mu się przeszukiwać tej sterty. Było zupełnie możliwe, że odłamki szkła utonęły w tym rumowisku. Skoro zaś na strychu nie było nikogo poza nimi...

Nad głową coś zachrobotало.

- Kot - szepnęła. - Wtedy pewno też. Nie masz pojęcia, jakie potrafią robić hałasy, gdy natrafiają na obłuzowaną dachówkę. Dlatego myśleliśmy na dole, że stało się tu coś okropnego.

- Masz rację. Zeszli na dół.

Żegnając się zatopiła badawcze spojrzenie w jego oczach.

- Jak się czujesz, Jack?

- Świetnie - odpowiedział zuchowato.

- To dobrze - pogładziła go delikatnie po policzku - musisz być dzielny. Za nas oboje. Bo ja... Ja już tylko w tobie czerpię siły do wytrwania. Pamiętaj!

Chciał ją przygarnąć do siebie, wysliznęła się jednak delikatnie.

- Nie, Jack - szepnęła prosząco - nie teraz. Dobranoc.

Gdy zamknął drzwi swego pokoju, dał folgę nurtującej złości. - Ależ idiota! Żeby takie hece wyprawiać! Już i tak ledwo zipie biedactwo, a ja... - Zboksowałby sam siebie, gdyby mógł.

Ściągając kurtkę zauważył, że lewy rękaw się opiera. W materiale tkwiła zgięta, pokryta nalotem szpilka.

- Skąd się to znów wzięło u licha? - wyciągnął ją kładąc na stoliku.

Zapinał właśnie pidżamę, gdy do pokoju zapukał porucznik Hopkins.

- Co za diabelszczyzna z tym strychem? - zapytał bez wstępów, przysiadając na krześle. Robił wrażenie mocno zmęczonego.

Jack uśmiechnął się krzywo.

- Zrobiłem z siebie błazna, ot i wszystko - przyznał szczerze. - Pękł gąsior z wiśniowym sokiem, kot chrobotął dachówkami, a ja histeryzowałem jak stara panna, wygłupiając się po pustym strychu.

- Gąsior? - porucznik przyglądał czupryną.

- Cóż... W każdym razie musiał to być gąsior całkiem specjalnego autoramentu. Bo plamy na obrusie pochodzą z krwi.

Jack pobladł.

- Na pewno?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. I jestem niemal pewien, że jest to krew ludzka. To samo z trocinami na strychu.

Jack potarł czoło.

- To... panie poruczniku - głos jego nabrał błagalnego brzmienia - niech pan o tym nie wspomina pannie Hoppe. Ona i tak, biedactwo, goni resztkami sił.

Porucznik popatrzył w przestrzeń.

- Hm... niech i tak będzie. Wstał.

- Nie powiem żebym był zachwycony tą nową historią. I żebym rozumiał choć ociupinę, co ma ona znaczyć - wyciągnął prawicę. - O! - ręka jego opadła. Po twarzy przesunął się cień. - Co to? - patrzył na zgiętą szpilkę.

- Jakieś zardzewiałe świństwo. Znalazłem w rękawie swojej kurtki.

- W którym rękawie? - głos porucznika miał tak niezwykle brzmienie, że Jack spojrzał na niego z nieukrywanym zdumieniem.

- W lewym - bąknął. - Ale nie rozumiem... Porucznik bez słowa złapał lewą rękę Jacka, odwijając rękaw pidżamy.

- Zadrapała pana? - podniósł ramię Jacka do światła - nie widzę - mruknął do siebie - ale... Jack osłupiał.

- Pan wybaczy - wymamrotał. - Ale ja naprawdę nic nie rozumiem...

- Nie szkodzi - przerwał ostro porucznik - niech mi pan odpowie, na miłość boską, czy ta szpilka pana zadrapała?

- Nie. Miałem na sobie koszulę, którą kupiłem swego czasu w Japonii. Sprzedawca zapewniał, że jedwab jest mocny jak stal i może wytrzymać nawet uderzenie noża. Jednym słowem coś w rodzaju pancerza. Nie wiem, jak tam z innymi narzędziami mordy, ale cios szpilką w każdym razie wytrzymał. Aż się zgięła, a nie przebiła materiału. Dobry pancerz, co? - roześmiał się.

- Tak - potwierdził bez uśmiechu porucznik - dobry pancerz. A teraz - znowu usiadł - niech mi pan jeszcze raz opowie o swojej wędrówce. Ale nie omijając żadnego szczegółu. Rozumie pan, żadnego!

Jack westchnął z rezygnacją. Prawdę mówiąc, okropnie chciało mu się spać. I nie widział żadnego celu w opowiadaniu swych wyczynów. Porucznik jednak miał tak zdecydowaną minę. Widać było, że nie ustąpi.

Tłumiąc ziewanie, zaczął po kolei. A więc o czerwonych kroplach na obrusie. O odgłosach szamotania. O zamkniętych drzwiach, które musiał wyważyć.

Porucznik słuchał uważnie, nie przerywając ani słowem. Gdy doszedł do momentu znalezienia mokrych trocin, zamyślił się.

- No, dobrze - wtrącił - ale kiedy mógł pan zainkasować tą szpilką? Bo wtedy już paliło się światło.

- Uaach - Jack tym razem nie potrafił powstrzymać ziewnięcia. - Przepraszam - bąknął zawstydzony - wie pan, niezbyt dobrze sypiam po nocach.

- Więc kiedy? - nastawał porucznik.

- Hm - Jack usiłował sobie przypomnieć. - Czy ja wiem... Może gdy biegłem po schodach, zabrałem ją z jakiejś ściany. Schody są takie wąskie... Ach, prawda! Zapomniałem na śmierć... Jeszcze gdy było ciemno, ktoś, czy coś palnęło mnie w ramię. Właśnie w lewe.

- Co to mogło być?

- Nie mam pojęcia. Panowały takie ciemności. Choćby mnie obdarto ze skóry, nie zdołałbym dostrzec sprawcy.

- Więc jednak mógł ktoś przeniknąć obok pana?

- Jeszcze jak! Nawet całe stado słońi, pod warunkiem żeby nie robiło hałasu.

Gdy porucznik wreszcie wyszedł, Jack stwierdził ze zdziwieniem, że szpilka zniknęła ze stolika.

- Jednak jegomość hoduje zdaje się lekkiego fioła - stwierdził wyciągając się pod kołdrą. - Mają rację ci, co twierdzą, że pracownicy wywiadu szybko się wykańczają. Biedny chłop...

XV. Kurczątko z obciętą głową

Dźwięk grubego szczekania zabrzmiał tak niespodziewanie, że odruchowo cofnął się o pół kroku. Rozejrzał się niepewnie. Przecież w tym domu nie było najmniejszego nawet psiaka.

Srebrzysty śmiech Kay skonfundował go do reszty.

- Nie bądź taki nerwowy, Jack. To tylko Nero. Nero, przedstaw się panu.

Spod stołu wyłonił się z ociąganiem wielki, pokryty czarną kudłatą sierścią pies. Nie przestając powarkiwać, podeszedł ku Jackowi.

- Fe - zmarszczyła brwi - jesteś źle wychowany, Nero, podaj panu łapkę.

Pies łypnął przekrwionymi białkami, podnosząc kosmate odnóże. Potężne pazury przypominały raczej tygrysie.

- Czyj to pies? - Jack bez specjalnego przekonania pogładził zwierzę po olbrzymim łbie.

- Mój. Podarowała mi jedna z moich koleżanek... nie znasz jej. Będę się czuła pewniej mając go przy sobie.

Jack uśmiechnął się niewyraźnie.

- Jednym słowem towarzysz broni? W każdym razie ma kły nakazujące szacunek. Jaka I to rasa?

- Ba - przyciągnęła psa tarmosząc delikatnie jego uszy - nie byle jaka. Meksykański owczarek. Wśród jego przodków zdarzały się na pewno okazy przeznaczone do polowań na ludzi. Dlatego chciałabym, żebyście się zaprzyjaźnili. Nie byłoby dobrze gdyby ciebie zaatakował.

Jack obrzucił taksującym spojrzeniem potężne mięśnie rysujące się na łopatkach zwierzęcia.

- Nie - przyznał poważnie - wtedy rzeczywiście nie byłoby dobrze. Wcale nie jestem pewien, kto by z tego rodzaju rundy wyszedł zwycięzcą. Ale jak będzie z innymi domownikami?;? Zapoznałaś go z porucznikiem? Mogłyby wyjść rozmaite nieprzyjemności.

- Trzymam Nera przy sobie. Porucznik zresztą od rana jest niewidoczny. Zdaje się, że siedzi na strychu - wzruszyła lekko ramionami - nie wiem, czego tam szuka.

Jack pokiwał głową.

- Porządny chłop, ale niekiedy miewa napady dziwactwa graniczącego wprost z... - puknął znacząco palcem po czole.

Na dobrą sprawę porucznik sam właściwie nie wiedział, czego szuka na strychu. Przesiąknięte, jednak krwią trociny fascynowały nie pozwalając odejść. Krwi musiała wyciec pokaźna ilość. Może jakiś ślad? Szperał po kątach, zbierając coraz grubsze pokłady pajęczyny na ubranie.

Zaginiony John nie musiał odznaczać się specjalnym zamiłowaniem do porządków.

Sprawa wyglądała wprost niesamowicie. Kałuża ludzkiej krwi i nic?

Wczorajszej nocy musiało się stać coś tragicznego pod tym dziecinnym biurkiem z połamanymi nogami. Morderstwo? Diabło na to wyglądało. Kogo jednak zamordowano i gdzie podziało się ciało ofiary?

Przemiętoszona niewyraźnymi śladami licznych kroków warstwa trocin nie dawała żadnych szans znalezienia czegoś konkretnego. Granmore oświadczył, że łąził po całym poddaszu. Z nim panna Koppe. Czort wie, kto jeszcze spacerował w międzyczasie.. Trociny zresztą stanowiły zbyt sypki materiał, by utrwalić zarys stopy.

Zniechęcony przysiadł na sterczącym blacie biurka. Kurz można by z niego zbierać łopatami. Trudno. Ubranie i tak trzeba będzie posłać do pralni.

Co za tragedia miała tu miejsce? - patrzył na ciemną plamę rozlaną na trocinach, jakby oczekując od niej odpowiedzi.

Zapalił papierosa. Palce mechanicznym ruchem przebierały rupiecie. Jakiś kryształowy flakon bez szyjki... Ciężkie pudło ze szklaną pokrywą. Spojrzał uważniej. Kolekcja motyli. Owady

poprzypinano byle jak. Kartki powypisywane koślawymi literami. Pomiętoszone i połamane barwne skrzydełka robiły dziwnie nieprzyjemne wrażenie. Odłożył pudło z powrotem. Jakieś porozsypywane kartki pokryte dziecinnymi rysunkami. Zeszyt z oberwaną okładką. Dziecinne kaligrafowane litery. Strzępki pierwszej kartki. Druga ocalała w całości. Pożółkły, liniowany papier: „Zadanie nr 3 - Letni dzień”.

Uśmiechnął się. I on kiedyś opisywał letni dzień. Chyba całe wieki upłynęły od tego czasu.

Dobrotliwe przerażenie na ukochanej twarzy, której nie ma już od dawna.

- Ależ Jerry, nie można przecież pisać „desze pada z powrotem”...

Otrzeptał zeszyt z kurzu. Podniósł wypełnione wyblakłym atramentem linijki do oczu. Słaba żarówka dawała tak niewiele światła.

„Rano słońce świeciło i było gorąco. Mizi był niegrzeczna i zrobiła nieporządek na schodach”. Dostała w skórę od Zuzanny. Bardzo piszczała. Było bardzo dużo much i zabijaliśmy je skórzaną packą, bo gryzły. Kate zarzynała kurczętą, bo goście mieli przyjechać na obiad. Franciszek kręcił lody. A jedno kurczę miało urżniętą głowę, ale wcale nie zdechło tylko tak śmiesznie skakało po kuchni... A John powiedział, że to wcale nie dla dzieci oglądać takie rzeczy. Potem bawiliśmy się w Indian i Jack przeciął sobie palec...”

Następnej kartki brakowało.

„...I kotek leciał z tą łupinką od orzech i okropnie miauczał... A wieczorem dostaliśmy wszyscy lody. Bardzo był przyjemny ten dzień letni”.

Brwi porucznika powędrowały ku górze.

- Bardzo przyjemny był dzień - powtórzył półgłosem. - Mizi dostała w skórę, zabijaliśmy muchy, Jack skaleczył się w palec i kurczątko bez głowy skakało po kuchni - zaciągnął się papierosem. - Rzeczywiście same przyjemności.

Dziwny charakter musiało mieć dziecko, które tego rodzaju wrażenia wyniosło z przeżyć dnia letniego.

Zaciekawiony przewracał kartki. „Ćwiczenie stylistyczne”. Najwidoczniej przepisane z podręcznika. „Dyktando”. Następne dwie kartki wypełnione kilkunastoma jednobrzmiącymi zdaniami.

„Owady także czują. Nie można ich męczyć. Nabijanie żywcem motyli na szpilki jest barbarzyństwem niegodnym kulturalnego człowieka”.

„Ćwiczenie karno-pedagogiczne”. - Sam kiedyś przepisywał niezliczoną ilość razy: „Kłamstwo jest tchórzostwem”. Potem życie przekonało go, że niekiedy więcej potrzeba odwagi, by skłamać, niż by powiedzieć prawdę.

Wzrok znowu przywarł do pożółkłych kartek. Musiał być przyjemniaczek ten, co je wypełnił przed laty swymi elaboratami. Lubował się w widoku przedśmiertnych drgawek zarzynanych kurcząt i nabijał żywcem motyle na szpilki.

Zamyślił się. Ciekawe, kto był właścicielem zeszytu? Nieboszczyk Hoppe, czy też Granmore?

Porucznik zdołał stwierdzić, że Granmore część swego dzieciństwa spędził w domu stryja.

Granmore. Strzepnął ostrożnie popiół z papierosa obserwując, czy wraz z nim nie spadła iskra na trociny. Co on właściwie tu robi? W chwilach wszystkich podejrzanych wypadków wyskakuje jak diabeł z pudełka. Był przecież w muzeum tej nocy, która o mało nie skończyła się katastrofą. Tu na poddasze także wbiegł pierwszy. Kto wie, jak dużo czasu upłynęło, zanim panna Hoppe zapaliła światło. I co w międzyczasie tu robił?

Szpilka? - hm... leżała na tak widocznym miejscu, że...

Powrócił do zeszytu. Reszta wypracowań nie zawierała nic ciekawego. Typowe zadania domowe angielskich dzieci. Pomiędzy przedostatnimi kartkami tkwiła bibuła. Tasiemką, na której się trzymała, była przyklejona nalepka przedstawiająca główkę pyzatego aniołka. Patrzył przez dłuższą chwilę na naklejkę. Aniołek dziwnie nie pasował do treści zeszytu. I dlaczego akurat aniołek?

Odłożył zeszyt na biurko. Coś go wstrzymało przed wrzuceniem zeszytu między rupiecie.

Znowu kilka luźnych kartek upstrzonych bohomazami wodnych farb. Jeszcze jeden zeszyt W znacznie gorszym stanie niż poprzedni.

To samo ćwiczenie stylistyczne. „Zadanie Nr 3 - Dzień letni”. - Że też nauczyciele nie potrafią wymyślić bardziej oryginalnych tematów - westchnął.

„Słońce grzało bardzo mocno. Cudnie pachniały kwiaty. Kwiaty w lecie, to piękna rzecz. Życie bez nich byłoby bardzo smutne. Muszę mieć zawsze przy sobie choćby... - następowało jakieś słowo zamazane starannie atramentem - choćby najskromniejszy kwiatek” - pozostałe kartki były wyrwane.

- Oczywiście panna Hoppe - skonstatował bez wahania. Na reszcie szarej okładki jakiś rysunek. Przybliżył go do oczu badając zamazane linie. Coś w rodzaju sylwetki ludzkiej. Co to może być wyrysowane nad głową? - zdmuchnął kurz. - Ależ tak - teraz rozpoznał, ponad wszelką wątpliwość, nieudolną podobiznę Indianina w pióropuszu i uzbrojeniu wojennym.

Coś tu w tym wszystkim nie pasowało. Indianin i aniołek? Owszem. Dzieci używają naklejek w postaci aniołków. W tym nie ma nic dziwnego. Również mają zwyczaj rysować rozmaite rzeczy na okładkach zeszytów... Ale...

Siedział długi czas zastygły w bezruchu. Indianin i aniołek? Kurczątko bez głowy i kwiaty? - wpadał w coraz głębszą zadumę.

To jednak nie było takie proste.

XVI. Nero

Nero rzeczywiście okazał się bardzo źle wychowanym psem. Wystarczyło, by Kay choć na chwilę wypuściła go spod bezpośredniego nadzoru, by natychmiast narobił piekielnego zamieszania.

Poza Kay nie uznawał żadnego autorytetu. Pomimo jej interwencji, łytał na Jacka przekrwionymi białkami. Jeżeli nie dochodziło do groźniejszych demonstracji, należało to przypisać rezerwie, jaką zachowywał w stosunku do niego Jack.

Z porucznikiem za to wynikła dość nieprzyjemna awantura. Gdy zwabieni ogłuszającym ujadaniem wbiegli na korytarz pierwszego piętra, zastali potężne cielsko wijące się w rękach porucznika. Z pyska psa spływała gęsta ślina. Obnażone kły kłapały złowrogo nie dosięgając jednak trzymających rąk. Gwałtownymi szarpnięciami usiłował wyrwać się z wiążącego uchwytu twardych palców. Wielki krwisty ozór zwisał bezwładnie. Oddech zwierzęcia stawał się coraz bardziej charkotliwy. Widocznie porucznik zwiększał ucisk.

- Nero! - Kay podbiegła chwytając za obrozę.

- Tak - porucznik odjął ręce od szyi zwierzęcia - sędzę jednak, że tego rodzaju bestie powinno się trzymać pod kluczem.

Głos jego brzmiał zupełnie uprzejmie. Wyciągnął jedwabną chusteczkę, wycierając starannie palce. Na jedwabiu zaciemniały rdzawe plamy.

-: Ugryzł pana? - zawołała z ubolewaniem - tak mi okropnie przykro...

- Głupstwo. Draśnięcie bez znaczenia. Dobrze, że pani zdążyła na czas...

- Naprawdę wprost obawiam się myśleć o tym, co by było. Niekiedy wyłazi z niego taka krwiożerczość, że...

Porucznik uśmiechnął się lekko.

- No, nie stałoby się nic tak znów specjalnie strasznego. Po prostu byłbym zmuszony postąpić z nim ostrzej, niż na to zasłużył. Czyż bowiem może odpowiadać za swoją naturę? Miałem już kiedyś do czynienia z przedstawicielem jego rasy. I proszę mi wierzyć, doświadczenie nie wypadło przyjemnie dla żadnej ze stron.

- Jeszcze raz przepraszam za niego. Byłam pewna, że siedzi spokojnie pod stołem... - Kay obdarzyła porucznika najpiękniejszym ze swych uśmiechów.

Jacka bynajmniej nie zdziwił fakt, że porucznik rozchmurzył się do reszty. On sam za taki uśmiech pozwoliłby się chyba poobgryzać ze wszystkich stron.

Nero musiał wysłuchać reprimendy, dostał po nosie i zamknięto go za karę w pokoju. Urządził jednak taki koncert, że Kay musiała zrezygnować z tej ostatniej represji.

Wszystko razem widocznie nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Już dwie godziny po tej historii zdołał znów wyśliznąć się spod opieki swej pani. Otworzenie drzwi z klamki stanowiło dla niego drobnostkę. W jaki natomiast sposób zdołał się dostać do otoczonej ze wszystkich stron wysoką siatką bażanciarni, pozostało na zawsze jego własną tajemnicą. Wśród zaatakowanych ptaków powstał sądny dzień. Barwne pierze leciało tumanami na wszystkie strony. Zuzanna niemal płakała załamując rozpaczliwie ręce.

- Ta bestia podusi wszystkie ptaki! Gdzie panienka?

Kay jednak była niewidoczna.

Znowu musiał interweniować porucznik. Tym razem, chcąc nie chcąc, pomagał mu w polowaniu Jack. Nie wypadało postąpić inaczej.

Wspólnymi siłami zdołali wreszcie wyciągnąć rozjuszonego psa spomiędzy pokrwawionych ptaków.

Zuzanna ze zgrozą patrzyła na żalosne resztki wspaniałych ogonów.

- Boże, jak one wyglądają! Coś podobnego nie zdarzyło się nam od czasów gdy dzieci bawiły się w Indian.

- To chłopcy wrywali żywym ptakom pióra dla zabawy? - zapytał od niechcienia porucznik, szamocąc się z psem.

Zuzanna spojrzała na niego dziwnie.

- Chłopcy? O, zdarzało się, że... Urwała. Po ścieżce biegła zdyszana Kay.

- Co zdarzało się? - poddał porucznik. Staruszka machnęła niechętnie ręką.

- Co tam wspominać stare czasy. Dzieci, jak dzieci.

Kay wyciągnęła ręce do nabijanej złocistymi guzami obroży.

- Znowu nabroił wstręciuch?

- Och - porucznik wzruszył ramionami - mała zabawa z bażantami. Trochę powyrywanych piór. W rezultacie nic strasznego. Tylko Zuzanna rozpacza mówiąc, że ptaki nie doznały takiego despektu w opierzeniu od czasów, gdy państwo jako dzieci potrzebowaliście piór do wojennego rynsztunku.

Kay uśmiechnęła się blado.

- Ja nie nosiłam wojennego rynsztunku. A tego nicponia - tarmosiła uszy psa - nie puszczę teraz ani na krok od siebie.

Porucznik pokiwał z powątpiewaniem głową.

- Trudno go będzie upilnować. Bardzo ciężka do ujarznienia rasa. Słyszałem o wypadku, gdy taka psinka rozerwała gardło swemu właścicielowi. To nawet zdarzyło się nie tak bardzo dawno.

Kay roześmiała się cicho.

- Niepotrzebnie mnie pan straszy, poruczniku. Nero nie ośmieliłby się na mnie warknąć, a co dopiero ugryźć. Prawda, Nero?

Podniosła potężny łeb psa ku górze. Pies zmarszczył nos, jednak nawet nie mruknął.

- Widzicie, jaki on grzeczny? - zawołała triumfująco. - Miewa tylko niekiedy swoje wybryki.

Porucznik obserwował psa przez chwilę.

- Rzeczywiście - potwierdził - aż dziwne, że tak bardzo pani słucha. Ma go pani przecież od tak niedawna...

- Och - uśmiechnęła się - znamy się jednak znacznie dłużej. Bawiłam się z nim za każdym razem, gdy przychodziłam do koleżanki. Był niemal szczeniakiem, gdyśmy się poznali. - No, chodź - pociągnęła psa w kierunku domu.

W bazanciarni wciąż panował rwetes. Ptaki gdakały podniecone. Zuzanna pomrukując badała szkody.

Porucznik wyciągnął papierośnicę.

- Zapalimy?

Gdy podawał ogień, Jack zauważył dwa równoległe strupy na wierzchu jego ręki..

- Nero? - zaciągnął się dymem. Porucznik strzepnął palcami.

- Psina, trzeba przyznać, ma dosyć ostre pazurki. Ptakom się zresztą gorzej dostało - ruchem głowy wskazał siatkę. - Ciekawym, czy swego czasu, gdy pan potrzebował pióropusza też tak lamentowały?

Jack roześmiał się.

- No wie pan, nigdy jakoś nie próbowałem wyrywać piór żywym ptakom. Zresztą resort zaopatrywania wojowników nie do mnie należał...

- Ciekawym kto pełnił rolę dostawcy?

- Jak to, czyż pan nie wie, jak to jest w zwyczaju pomiędzy czerwonoskórymi. U nas też... - nagle urwał zacinając wargi. Po twarzy przesunął się cień niechęci. - Głupstwo. Zbieraliśmy pióra, gdzie się dało - zakończył krótko.

Przez całą drogę do domu obrzucał porucznika spojrzeciami spod oka. Był wyraźnie zwarzony. Tej nocy porucznik długo nie kładł się do łóżka i wypalając niezliczoną ilość papierosów, próbował rozwiązać kolejne zagadnienia:

Kto wrywał żywym bażantom pióra z ogonów?

Kto przebijał żywe motyle szpilkami?

Kogo radował widok agonii kurczenia z obcięta głową? I dlaczego właściwie puzaty aniołek znajdował się na miejscu, gdzie powinien figurować rysunek Indianina, a Indianin zajął miejsce aniołka?

Dawna już wybiła północ, gdy porucznik naciągał kołdrę. I dopiero wtedy olśniła go myśl, którą z początku uznał za zgoła nieprawdopodobną: a jeżeli wszystko znajdowało się na swoim miejscu?

XVII. Nerwy odmawiają posłuszeństwa

- Ktoś był w moim pokoju!

Twarz Kay była przezroczysta jak papier. Wargi jej drżały.

Jack zerwał się raptownie z fotela.

- Na miłość boską, znowu?!

- Tak - splotła palce. - To już zaczyna przekraczać moje siły. Boję się, że oszaleję jeżeli tak będzie dłużej.

Podbiegł ku niej, otaczając ramieniem rozdygotaną dziewczynę.

- Uspokój się. Może ci się zdawało? Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Był na pewno. W czasie, gdy jadłam na dole śniadanie. Poprzewracał wszystko w szufladach i na toalecie.

- W dzień? Kay, przecież to niemożliwe! Dom pełen ludzi i...

Łzy zaszkliły się w jej oczach.

- Boże, jak ty nic nie możesz zrozumieć, Jack. To właśnie w nocy nikt nie zdołałby wtargnąć do mnie. Po to przecież biorę do swego pokoju Nera. Ten ktoś wiedział o tym doskonale i...

- Ale po co miałby przewracać na twojej toalecie? Ukradł coś?

- Nie.

- No widzisz. Pewno pokojówka poprzestawiała drobiazgi, a ty zaraz...

- Pytałam Kate - przerwała. - Przysięga, że nic nie ruszała. Na pewno nie kłamie. Niezmiernie się wystraszyła, gdy jej to powiedziałam. Nie wiem, czy nie podziękuje za służbę.

Jack podprowadził ją do fotela, usadawiając pieczołowicie.

- Pomyśl, w jakim celu ktoś miałby wchodzić do twego pokoju?

Ukryła twarz w dłoniach. Plecami jej wstrząsał spazmatyczny dreszcz.

Stał bezradnie, głaszcząc jedwabiste włosy - w jaki sposób miał pomóc temu biedactwu? Gdyby to było potrzebne, wyprułby chętnie z siebie wszystkie żyły.

- Mnie jest wszystko jedno, w jakim celu... - szlochała - ktoś... jakiś cień wędruje obok nas... wchodzi, gdzie chce... A my nic nie wiemy... To jest takie okropne... Boże, jakie to niewymownie okropne.

Całą siłą woli pokonał odrętwienie. Nie będzie przecież stać jak kloc, podczas gdy ona... Trzeba coś zrobić. Ale co? - rozejrzał się niepewnie. - Wino?

Nerwowym ruchem otworzył drzwiczki baru. Ręka drżała, gdy nalewał.

- Wypij.

Musiał powtórzyć, zanim zdołała zrozumieć, o co chodzi.

Usłuchała bezwolnie. Drobne ząbki stukały cienko o brzeg szklanki. Zakrztusiła się pierwszym łykiem. Podtrzymał z dołu szklankę w obawie, by nie upuściła jej na ziemię.

- Dziękuję... kuję. Nie gniewaj się na mnie, Jack, że jestem taka beksa. Ale widzisz... Cóż... - machnęła beznadziejnie ręką - to wszystko... Dziękuję - odstawiła szklankę.

Przyklęknął u jej kolan.

- Jakżebym mógł się na ciebie gniewać? Przytulił wargi do jej dłoni. Uspokajała się powoli. Pogładziła go po czuprynie.

- Okropnie jesteś dla mnie dobry, Jack.

Dyskretne pukanie poderwało go na nogi. Szybkim ruchem przygładził włosy. Po co ktoś obcy ma się domyślać, że...

Na progu stanął porucznik. Jego niefrasobliwy uśmiech wnosił coś ożywczego w przygniatającą atmosferę.

- Przynoszę pani dobrą nowinę - oznajmił. - Już pojutrze będzie pani mogła odwiedzić profesora.

Podniosła głowę. Jack spojrział na nią z niepokojem. Skonstatował jednak zdziwiony, że płacz nie pozostawił widocznych śladów na wymizerowanej twarzy.

- Dopiero pojutrze? - zdziwiła się. W głosie brzmiał nieukrywany zawód. - Miałam nadzieję, że może jeszcze dzisiaj, a najdalej już jutro.

Pokiwał głową z ubolewaniem.

- Niestety. Doktor Szroder okazał się nieubłagany. Wie pani z własnego doświadczenia, jaki potrafi być uparty. Próbowałem wszelkich argumentów.

- Bardzo panu dziękuję za wstawiennictwo - wyciągnęła ku niemu rękę.

Jack obserwował porucznika bez specjalnego entuzjazmu. W zachowaniu jego nie zdołał jednak wykryć niczego poza poprawną uprzejmością.

Porucznik spoważniał, gdy Kay opowiedziała o tajemniczej wizycie w pokoju.

- Hm, to niedobrze - zamyślił się. - A jak pani myśli, czego mógł szukać na toaletce? - zgodnie ze swym zwyczajem patrzył wprost w oczy Kay.

Westchnęła z rezygnacją.

- Skądże mogę wiedzieć? Czy w ogóle jest jakiś sens w tym wszystkim, co się dzieje w naszym domu?

Porucznik pokiwał głową.

- O, tak - potwierdził - jest sens. I daj Boże, żebyśmy go zdołali rozszyfrować, zanim nie będzie za późno.

XVIII. Profesor William B. Hoppe zeznaje

Doktor Szroder trochę pomrukiwał.

- Z równym skutkiem moglibyście panowie poczekać do jutra. Profesor jest jeszcze taki roztrzęsiony. Czy myślicie, że tego rodzaju szok nerwowy sływa po człowieku jak woda po gęsi?

- Nie - zaprzeczył porucznik - wcale tego nie myślę. Ale jeżeli od tego badania może zależeć kwestia czyjegoś życia?

- Aż tak? A czyjego życia, jeżeli wolno zapytać.

- Ba - westchnął porucznik - żebym ja to wiedział.

- I to poważnie?

- Jak najbardziej w świecie.

- W takim razie, trudno. W zasadzie nie powinno pacjentowi zaszkodzić.

Profesor siedział na łóżku, oparty ciężko o poduszki. Zwoje bandaży znaczyły pod szlafrokiem symetryczne zgrubienia. Prawa ręka spoczywała na drucianym wyciągu.

Podniósł ociężale głowę. Głębokie zmarszczki gęsto bruździły bezkrwistą twarz. Niemal przezroczyste źrenice patrzyły z niepokojącym bezruchem. Porucznik odniósł wrażenie, jakby przez te parę dni profesor postarzał się o dobre kilkanaście lat.

- Tak - odpowiedział wypranym z wszelkiej barwy głosem - mogę zeznawać. Niewiele zresztą sam wiem. Siedziałem w fotelu w swoim gabinecie. Nie wiem, która mogła być godzina. Nie patrzyłem na zegarek. Chyba gdzieś około jedenastej. Zdaje się, że drzemałem.. Byłem - ledwo dostrzegalne wahanie - tak... byłem bardzo zmęczony. Nagle coś czarnego spadło na moje oczy. Kaptur... może płachta... Nie wiem. Było miękkie. Chyba z wełny, albo z czegoś w tym rodzaju.

- Słyszał pan, jak ktoś podchodził? - wtrącił pytanie porucznik.

- Nie. Mówiłem już, że drzemałem.

- Czy drzwi od gabinetu były zamknięte?

- Tak.

- Jest pan tego pewien?

Znowu ledwo dostrzegalne wahanie.

- Tak. Jestem pewien. Zawsze od... od pewnego czasu rygluję wieczorem drzwi... Czuję, jak mnie krępują rzemieniami.

- Czy próbował się pan bronić?

- Nie. Zanim zdołałem się, zorientować, byłem już spętany jak ryba w sieci. Albo jak bydło prowadzone na rzeź - bezkrwiste wargi drgnęły w gorzkim uśmiechu. - Tak, to ostatnie porównanie w danym wypadku bardziej pasuje do okoliczności. Podniesiono mnie...

- Ilu było ludzi?

- Nie wiem. Mnie w każdym razie podnosiło dwóch. Orientowałem się, że niesiono mnie w kierunku skarbcza...

- Czy skarbiec był również zamknięty?

- Tak. I to na wszystkie zamki. Jest ich, jak pan to zapewne zauważył, aż trzy.

- Klucze miał pan przy sobie?

- Tak. Położono mnie na czymś twardym. Gdy usunięto zasłonę z oczu zobaczyłem, że znajduję się na kamieniu ofiarnym.

- Światła się paliły?

- Było bardzo widno. Sądzę, że zaświecono wszystkie lampy. Nade mną stała zamaskowana postać z rytualnym nożem w ręku. Miała na sobie obszerny płaszcz.

- Nie zauważył pan niczego charakterystycznego w tej postaci? Może głos albo jakiś ruch, który by nasuwał jakieś przypuszczenia co do jej tożsamości?

Odpowiedź tym razem nie następowała dłuższą chwilę. Ciszę mącił jedynie szmer ołówka, którym sierżant Wells wypełniał arkusz stenograficznego papieru.

Profesor potarł lewą ręką czoło.

- Przepraszam za przerwę. Trochę jeszcze jestem słaby. Nie mogę zbyt szybko zebrać myśli. Otóż nie. Postać milczała. A ruchy jej... Sądzę, że w taki sam właśnie sposób poruszał się w czasie spełniania ofiary kapłan bogini przed piętnastoma wiekami. Postać zakreśliła w powietrzu ręką trzymającą nóż znaki przepisane kultem... Potem zaś... - Znowu umilkł.

- Potem zaś? - poddał porucznik. Profesor wciągnął powietrze do płuc.

- Nno cóż... zaczęto mnie po prostu krajać. Również w sposób przewidziany przez rytuał ofiarny...

- Jednym słowem zachowano wszelkie ceremonie Majów?

- Tak.

- Dokładnie?

- Na to pytanie nie tak łatwo odpowiedzieć. Nie sądzę, byśmy znali wszystkie szczegóły ceremonialne.

- Ale jeżeli chodzi o te, które są już znane?

- Hm - zamyślił się. - Tak, raczej dokładnie.

- Czy sposób składania ofiar przez kapłanów Majów znany jest szerszemu ogółowi?

- No - wargi profesora drgnęły w imitacji uśmiechu - nie sądzę, by szerszy ogół interesował się tak bardzo tym zagadnieniem. Zresztą źródła są raczej trudno dostępne.

- Czy John Quetlac znał ceremoniał?

- Och... znał, oczywiście. Tak samo zresztą, jak i kilkanaście tysięcy jego rodaków. Czy odnaleziono go wreszcie?

- Niestety. Nie sądzi pan, że to on uczynił?

- John? Nie! Jestem pewien, że nie.

- Ma pan jakieś powody, by wierzyć w jego niewinność?

- Oczywiście. I to bardzo poważne, proszę mi wierzyć.

- Jakie? Profesor milczał.

- Nie chce pan odpowiedzieć na to pytanie, profesorze?

- Owszem, odpowiem. Ale dopiero wtedy, gdy go odnajdziecie i sprowadzicie do mnie. Wcześniej nie mogę. Obawiam się jednak... - urwał.

- Że go w ogóle nie odnajdziemy? - podpowiedział porucznik.

Profesor skinął w milczeniu głową.

- Zobaczymy. Widział pan drugiego napastnika?

- Nie - profesor oddychał coraz szybciej. Widać było, że jest już zmęczony.

Doktor Szroder powstał. Stanowcza mina wskazywała, że zamierza interweniować.

- Chwileczkę - porucznik podniósł rękę uprzedzając słowa doktora - jeszcze tylko małą chwilę. Panie profesorze, przed południem tego dnia wychodził pan z domu?

- Owszem.

- Był pan u notariusza Stimsa przy Redcross Road?

Nieruchome spojrzenie profesora zawisło ciężko na twarzy porucznika.

- Kazał mnie pan śledzić?

Porucznik uśmiechnął się z poczuciem winy.

- Bardzo mi przykro, profesorze. Ale to jedynie dla pańskiego bezpieczeństwa. W jakim celu odwiedził pan notariusza?

Profesor milczał.

- Czy może w zamiarze napisania lub zmiany - testamentu?

- Mniej więcej.
- A w jakim sensie? Profesor pokiwał głową.
- O ile się orientuję, mam prawo nie odpowiadać na to pytanie?
- Tak. Ale proszę mi wierzyć: od odpowiedzi zależy bardzo wiele.
- *Sorry*. Jednak...
- Nie odpowie mi pan?
- Nie.

Profesor ociężałym ruchem przechylił głowę w tył, opierając ją o brzeg poduszki.

XIX. Dependent Browster przynosi wstyd swemu pryncypałowi

W gabinecie notariusza Stimsa wszystko wyglądało, jakby epoka wiktoriańska panowała jeszcze na świecie w najlepsze. Sam notariusz doskonale pasował do swego gabinetu. Wysoki kołnierzyk wpijał się ostrymi kantami w obwisły podbródek. Na biurku z czarnej gruszki poczesne miejsce zajmowała emaliowana tabakierka, prezentując na wieczku figurki jeźdźców w czerwonych frakach. Może służyła jedynie dla dekoracji, w tym otoczeniu jednak sięgnięcie przez notariusza do jej wnętrza i naładowanie tabaką krogulczego nosa robiłoby jak najbardziej naturalne wrażenie.

Gdy tylko porucznik przedstawił się, notariusz powstał majestatycznie, z krzesła o wysokim oparciu, przybierając pełną godności pozę.

- Wykluczone - zaczął wypinając wątlą pierś przed siebie, jakby chcąc nią zasłonić przed wszelkimi zakusami akta wypełniające ciemne szafy - jeżeli chodzi o sprawy moich klientów, nie udzielę ani słowa informacji. Chyba gdyby mi pan przedłożył orzeczenie trybunału. Ale tak... Znam swoje prawa i obowiązki. Policja chciałaby wszystko wiedzieć. Jestem najbardziej lojalnym pod słońcem obywatelem, jednak... Nie. - Jeszcze bardziej wypiął pierś. Robił wrażenie, jakby miał za chwilę pęknąć z napięcia. Obwisłe policzki poczerwieniały. - Żeby tam nie wiem co...

Porucznik przeczekał w milczeniu tyradę. I tak zresztą nie byłby w stanie wtrącić do niej choćby jednego słowa.

- Pan się myli, sir - oświadczył, gdy wreszcie notariusz umilkł zasapany - wcale nie mam zamiaru naruszać tajemnicy pańskich klientów.

- Nie? - Notariusz spojrzał nieco zaskoczony. Widać było, że przygotował się do obrony nietykalności swej kancelarii. - W takim razie - wskazał gestem pełnym staroświeckiej uprzejmości fotel przed biurkiem - czym mogę służyć?

- Czy w pańskiej kancelarii zaszło ostatnio coś niezwykłego?

Notariusz obrzucił porucznika pytającym spojrzeniem.

- Coś niezwykłego - powtórzył wolno. - Jak mam rozumieć?

- Nno... powiedzmy coś w zachowaniu się personelu.

Notariusz drgnął gwałtownie. I znowu powstał. Tym razem w jego postawie nie pozostało jednak nic z poprzedniej godności. Wyglądał raczej żałośnie.

- Och - jęknął podbiegając ku porucznikowi drobnymi kroczkami - skąd pan wie?

- Ba... policja wszystko chciałaby wiedzieć, jak pan sam wspominał przed chwilą, sir. A wie w każdym razie bardzo dużo.

Porucznik nawet brwią nie poruszył patrząc w wyblakłe oczy notariusza. A przecież strzelał zupełnie na oślep.

- Więc co z Browsterem? - pytał nerwowo notariusz - zrobił jakiś skandal? Zamknięto go? Mówiłem - załamał ręce - że źle skończy. A dla mnie... Niech pan pomyśli, jaki to dla mnie wstyd. Mój dependent!

- No, zaraz skandal - mruknął podchwytliwie porucznik. - Nie ma się pan czego tak bardzo przejmować, sir.

- Jak to, nie? Jestem przecież trzecim pokoleniem firmy. I nigdy najmniejsza nawet plamka, a teraz... - robił wrażenie uosobienia rozpachy - czy pan sobie zdaje sprawę, że on przyszedł do kancelarii - nachylił się nad porucznikiem przytykając usta nieomal do jego ucha - no... był przecież pijany. Pi-ja-ny - wyskandował. - Zataczał się. Pan to może zrozumieć? U mnie w kancelarii! W kancelarii Stims & Stims! Od siedemdziesięciu lat nie zdarzył się w tych murach taki skandal. A teraz na dobitek jeszcze gnije w kryminale...

- Jeszcze nie został aresztowany.

- Więc cóż z tego? Lada chwila i to nastąpi, aby wypełnić moją czarę goryczy.

Porucznik udał głębokie zamyślenie.

- Hm - mruknął - może by się dało jeszcze sprawę zatuszować.

- Co pan mówi? - w notariusza jakby wstąpiło nowe życie - czyż to naprawdę możliwe?

- Bba - porucznik patrzył gdzieś w przestrzeń - gdyby pan zgodził się spełnić pewne warunki.

- Wszystko, czego pan tylko zażąda - wykrzyknął z gotowością. - Wszystko! O ile tylko nie będzie to sprzeczne z moimi obowiązkami.

- Czy właśnie Browster spisywał projekt testamentu profesora Hoppe'a?

Notariusz zawahał się.

- Przecież nie pytam o treść tego testamentu. A tylko ona stanowi tajemnicę.

Notariusz zacierał ręce medytując.

- Racja - oświadczył wreszcie. - Tylko treść. A więc, tak!

- Czy był przy podpisaniu tego aktu?

- Owszem.

Tym razem notariusz odpowiedział bez wahania.

- A teraz jeszcze jeden warunek.

- Jaki? - zaniepokoił się notariusz.

- Musi pan przyjąć z powrotem Browstera.

- Przyjąć go do mojej kancelarii? - zrobił oburzoną minę. - Wykluczone!

Porucznik powstał.

- Trudno. Tylko w takim wypadku da się całą sprawę zatuszować.

- Przecież pijak.

- Zdarzyło mu się jeden jedyny raz.

- Skąd jednak mogę wiedzieć, że nie wydarzy się znowu?

- Więc niech go pan przyjmie na próbę. Notariusz wreszcie ustąpił.

Porucznik jadąc pod wskazany przez notariusza adres, niezbyt liczył się z obowiązującymi przepisami ruchu kołowego. Trudno. Po tym, co; usłyszał od zasuszonego notariusza, sytuacja zaczynała wyglądać na groźącą bezpośrednią katastrofą.

W schludnym, jednorodzinym domku na przedmieściu panował nastrój przypominający żalobę po kimś najbliższym.

Gdy porucznik okazał legitymację, zażywna dama w ciemnej sukni wzniosła tylko oczy ku górze.

- A więc na dobitek i to także - jęknęła, po czym bez słowa wskazała drzwi w głębi hallu.

Zwiędły człowieczek powstał z godnością. Minę miał niezmiernie nieszczęśliwą.

- Jestem gotów - westchnął.

- Do czego? - zapytał porucznik. Człowieczek spojrział z niewymownym zdumieniem.

- Jak to, do czego? Jestem gotów iść z panem. Porucznik roześmiał się.

- Sądzi pan, że przyszedłem go aresztować?

- A czyż nie po to właśnie?

- Aż takie zbrodnie ma pan na swoim sumieniu?

Browster zwiesił ponuro głowę.

- Ba... żebym ja pamiętał, co wtedy robiłem. Porucznik zaniepokoił się.

- Nic pan nie pamięta?

- Nie - potrząsnął głową - nic, absolutnie. Od tego momentu, gdy sir Stimson wskazał mi drzwi... Tak od tej chwili... noc... ciemna noc... Nawet nie wiem, w jaki sposób znalazłem się w domu - potarł ręką czoło. - To bardzo ciężko zdawać sobie sprawę, że człowiek w moim wieku doszedł do takiego stanu. Cóż - wzruszył beznadziejnie ramionami - wszystko skończone.

Porucznik położył rękę na wątlym ramieniu.

- Chwileczkę - łagodną przemocą zmusił go do zajęcia miejsca w fotelu. - Może jeszcze coś da się uratować z tej katastrofy.

Browster spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Uratować? - powtórzył.

- Zobaczymy. Tymczasem niech mi pan opowie dokładnie, co było przed tym momentem, gdy pan stracił świadomość?

Na pomarszczone policzki wypełzło krwiste zarzewie rumieńca. Zwiesił głowę.

- Cóż - powiedział cicho - upiłem się. Upiłem się jak... jak ostatni... - urwał nie umiejąc widocznie znaleźć odpowiedniego porównania.

- Czy pan często pije? Browster aż jęknął.

- Nigdy. Oczywiście nie uwierzy mi pan po tym, co zaszło, ale to jest prawda. Do wczorajszego dnia szklaneczka portweinu przy jakiejś okazji stanowiła dla mnie niemal pijaństwo. Parę kropel whisky na szklanekę wody sodowej - to wszystko.

- Więc dlaczego wczoraj?

Głowa Browstera opadła jeszcze niżej na piersi.;

- Sam nie wiem, jak to się właśnie stało. Siedziałem u Lyonsa. Wie pan, na rogu Redcross. Zawsze tam jadam obiady. Przysiadł się do mnie nieznajomy jegomość.

- Jegomość - zamyślił się porucznik - a jak wyglądał?

- Robił wrażenie cudzoziemca. Mówił czysto po angielsku, ale, wie pan, z takim jakimś gardłowym akcentem. Poza tym bardzo smagły.

- Indianin?

- Czy ja wiem? Ale raczej wyglądał na Hiszpana, czy kogoś w tym rodzaju. Zaczęła się rozmowa. W takich małych restauracyjkach nie jesteśmy zbyt sztywni. Niby coś tam o strajku górników. Potem przeszedł na filatelistykę. Od dziesiątków lat zbieram znaczki. To moja namiętność.

Pokazał mi parę okazów. Były bardzo rzadkie. Pytał o wartość i autentyczność. Znam się na tym cokolwiek. Więc obejrzałem i wyraziłem swój sąd. Był po prostu zachwycony. Twierdził, że mu oddałem nieocenioną przysługę. Kazał podać wódkę. Gdy poprosiłem o wodę sodową, aż zamachał rękoma. - „Niech pan nie psuje porządnego alkoholu. Jeden kieliszek przecież panu nie zaszkodzi. Taka wilgoć”. - Rzeczywiście powietrze było przejmujące. I ostatecznie jeden kieliszek. Ustąpiłem. Następny wmusił we mnie niemal siłą. Po tym już poszło... Nie jestem przyzwyczajony do picia.

- O czym z panem rozmawiał poza filatelistyką?

- O niczym specjalnym. Jak się to rozmawia z przygodnymi znajomymi.

- O pańskiej pracy w biurze również?

- Tak. Pytał, czy mam dużo roboty. Mówił, że sam nigdy by sobie nie dał rady z zawiłymi aktami.

- Czy pytał specjalnie o jakiś akt? Niech pan sobie przypomni. To bardzo ważne.

Browster znowu potarł czoło zbierając myśli.

- Proszę mi wybaczyć, sir - westchnął - ale w mózgu mam jeszcze taki galimatias... Owszem. Rozmawialiśmy o testamentach. Twierdził, że to pewno jest okropnie trudno taką rzecz ułożyć. Wtedy ja... - wie pan byłem już nietrzeźwy... Wspomniałem o pewnym testamencie, któryśmy właśnie wczoraj przygotowali.

- O testamencie profesora Hoppe? Wspomniał pan nazwisko?

- *Sorry*... Niestety chyba raczej tak. Wiem, że nie powinienem, ale...

- Mówił pan mu także, że akt został podpisany?

- Mówiłem - potwierdził cicho.

- Hm...

Nieruchoma twarz porucznika nie wyrażała żadnych uczuć. Nie padł na nią najmniejszy nawet odbłask wewnętrznego niepokoju. A przecież zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad głową jednego z mieszkańców profesorskiej willi.

- Czy mógłby pan poznać tego jegomościa?

- Poznałbym na pewno - zapewnił Browster. - Przez niego spotkało mnie tyle nieszczęść. Zapamiętałem jego twarz w najdrobniejszych szczegółach. Nawet tę bliznę na brwi.

- Miał bliznę?

- Tak. Tu - Browster wskazał na własną brew - taka ukośna.

Porucznik zaczął się spieszyć. Nareszcie jakiś konkretny ślad! Gdy na odchodnym zawiadomił Browstera, że może wrócić do pracy, ten początkowo nie chciał wierzyć, a następnie niemal oszalał ze szczęścia.

Porucznik wymknął się nie słuchając gorących podziękowań.

W niespełna godzinę później dziesiątki agentów policyjnych było już w posiadaniu rysopisu smagłego osobnika z blizną na brwi.

- Co mu się zarzuca? - zapytał kierownik wydziału poszukiwań.

Porucznik pomyślał przez chwilę.

- Naruszenie tajemnicy urzędowego aktu.

Kierownik zdziwił się.

- To nie wygląda na zbyt groźne przestępstwo.

- Nie - potwierdził porucznik - sadzę jednak, że w rezultacie zostanie powieszony.

Kierownik osłupiał.

- Ale przecież...

Zanim jednak zdołał skończyć, porucznik był już za drzwiami.

XX. Dobry dzień konstabla Browna

W fakcie, że w gospodzie Pod Dziurawym Okrętem wybuchła bójka, nie było oczywiście nic dziwnego. Zdarzało się to tam niemal każdej no - i cy. Również nie zdziwił nikogo przyjazd karetki opatrzonej czerwonym krzyżem. Bywalcy gospody umieli się brać do rzeczy. O tym wiedziała cała

dzielnica.

Konstabl Brown klął za to na czym świat stoi. Że też akurat musiano mu dzisiaj wyznaczyć dyżur!

Na miejsce wypadku szedł niechętnie, poziewując niemal co krok. Co może być ciekawego w gospodzie Pod Dziurawym Okrętem? Porznęły się łobuzy, to się porznęły. O jednego opryszka będzie mniej. Pies z kulawą nogą nie zainteresuje się taką historią. Najmniejszego pola do popisu dla chcącego awansować policjanta. A Brown okropnie chciał awansować. Co tam chciał. Niemal musiał. Bo Polly... Ba, w całym komisariacie wiadano, że trzecie dziecko w drodze.

W gospodzie zastał wszystko tak jak zawsze. Gęste od tytoniowego dymu powietrze nadawało się do krajania nożem. Na brudnej podłodze plama krwi.

Ofiara spoczywała na zestawionych krzesłach.. Prowizoryczny opatrunek z jakiejś serwetki, czy też chustki.

Doktor z Pogotowia flegmatycznie rozpakowywał swoje manatki. Na pytające spojrzenie konstabla potrząsnął przecząco głową. Tym razem obeszło się bez śmierci.

- Wyliże się - mruknął rozdzierając papierowe opakowanie bandaża.

Brown bez najmniejszego przekonania wyciągnął notes.

- Kto go poranił?

Stłoczeni wokół ludzie cedzili słówka, jakby każde z nich było na wagę złota.

- Ktoś... nikt go nie zna... uciekł już dawno.

Automatyczny ołówek leniwie wędrował po papierze. Oczywiście nieznamy i oczywiście uciekł. W takich wypadkach w gospodzie Pod Dziurawym Okrętem zawsze się tak zdarzało. Chyba od dnia, gdy ją założył jakiś uciekinier spod szubienicy.

- Świadkowie?

- Nie, właściwie nikt nie widział dokładnie, co się stało.

Gospodarz w brudnym do niemożliwości fartuchu ani na chwilę nie przestawał wycierać szklanek.

- Ależ panie władzo, kto by tam miał czas uważać na gości. Człowiek taki zapracowany, że ledwo zipie...

Sierżant Brown ziewnął na całe gardło. Nie bardzo to dodawało urzędowej powagi, ale naprawdę był okropnie śpiący. Zresztą, co kto poradzi z taką zgrają? Większe szanse tłuc głową o skałę, niż usiłować wydobyć od nich coś z sensem.

- Kto zna rannego?

Nie, nikt go nie znał. Gospodarz rozłożył bezradnie ramiona.

- Gość jak każdy inny. Wszedł, to i był. Czy mam każdego pytać o legitymację?

Sierżant podszedł do ofiary. Raczej dla formalności.

Doktor właśnie kończył opatrunek. Na widok notesu w ręku Browna wzruszył ramionami.

- Nic pan z niego nie wydębi. Nieprzytomny. Brown nachylił się nad okoloną bandażami twarzą.

- Indianin?

Ranny bredził. Z monotonnego szmeru bezsensownego szeptu wystrzeliwały chwilami pojedyncze słowa.

Brown miał już chować notes, gdy nagle zatrzymał się.

- Hm... to ciekawe - nachylił się jeszcze niżej.

Swego czasu pracował na kopalni w Meksyku i popijał niekiedy z czerwonoskórymi towarzyszami pracy. Ładny kawał czasu to trwało. Zdążył coś niecoś łyknąć narzecza.

Słuchał coraz uważniej. Senność minęła bez śladu.

To jednak było zastanawiające.

Przed kilkoma dniami konstabl Brown asystował przy śledztwie w ogródku profesora Hoppe'a. To, co wykrzykiwał nieprzytomny Indianin, mogło oczywiście nie mieć żadnego związku z tamtą sprawą, ale...

Podszedł do telefonu...

Podinspektor Whole skłął go za budzenie po nocy.

- Nie mogliście poczekać do rana? Zresztą nie zajmujemy się już tym wypadkiem. Sprawę wzięł Yard.

Konstablowi twarz wydłużyła się. Z Yardem nie tak łatwo gadać, jak z komisarzem swego okręgu. Wahał się przez chwilę, stojąc ze słuchawką w ręku. A jeżeli znowu zeklną? Wreszcie zaryzykował. Co tam! Raz kozie śmierć.

Bardzo byli uprzejmi. Dyżurny urzędnik dopytywał się szczegółowo. Potem kazał czekać. W słuchawce długo panowała cisza. Brown już zaczął podejrzewać, że po prostu poszedł spać. Zabrzęczał niewyraźny szmer jakichś głosów. Ktoś się z kimś naradzał. Wreszcie słuchawka zagadała.

- Macie jechać z tym typem do szpitala i pilnować jak oka w głowie. Rano przyjadą go przesłuchać.

Brown zdążył w ostatniej chwili. Samochód już ruszał, gdy wskoczył do szoferki.

W szpitalu było trochę mitręgi. Ordynator nie chciał nawet słyszeć o separacie.

- Myślicie może, że nie mamy nic innego do roboty, niż cackać się z każdym pokrajanym nożownikiem? - warczał zjadliwie intendent podtykając konstablowi pod nos jakiś pokreślony gęsto arkusz - sami popatrzcie jak to u nas. Szpilki nie ma gdzie wetknąć.

Powołanie się na autorytet Scotland Yardu zrobiło swoje. Separatka się znalazła.

Konstabl zasiadł na krześle, ssąc cybuszek od fajki. Palenie było tu surowo wzbronione.

Nad ranem obawiał się, że nie zdoła dłużej czuwać. Przemógł się resztką sił. Pilnować, to pilnować.

Porucznik Hopkins przyjechał zresztą zadziwiająco wcześnie. Indianin dostał zastrzyk i patrzył dosyć przytomnie.

Porucznik po wysłuchaniu złożonego przyciszonym głosem przez konstabla raportu, zabrał się do rannego. Wypytywał go bardzo delikatnie.

Brown nadstawił uszu.

Po kilku jednak słowach wypowiedzianych przez Indianina, porucznik spoważniał i wyprosił Browna na korytarz.

Konstabl przycupnął na obitej białą ceratą ławeczce.

Przesłuchanie trwało niezmiernie długo. W końcu drzwi od separatki zaskrzypiały. Brown spojrzał na wychodzącego. Porucznik miał mocno posępną twarz. Wyglądał na bardzo niezadowolonego.

Brown zeszywniał z przerażenia. - Masz ba-; bo kaftan - przyciął wargi - zamiast pochwały, gotowe wymyślanie.

Porucznik zatrzymał się przed wyprężonym służbiście policjantem.

- Brawo - mruknął. - Macie awans w kieszeni. Spisaliście się znakomicie.

I jeszcze bardziej sposepniał.

Gdy plecy porucznika zniknęły za zakrętem wyłożonego kaflami korytarza. Brown klapnął z powrotem na ławeczkę.

- Mówi o awansie takim tonem jakby wymyślał?

Nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

Schodząc po schodach porucznik medytował nad czymś głęboko.

Na ulicach ludzie obnosili rozjaśnione twarze. Po raz pierwszy od wielu dni mgła zniknęła ustępując miejsca orgii słonecznych promieni.

Porucznik jednak nie dostrzegał słońca. Pod czaszką kłębiły się zawile rozmyślenia.

Nie tak łatwo ułożyć łamigłówkę, gdy każda część wydaje się należeć do innego kompletu.

- Diabelska kasza - westchnął naciskając starter samochodziku. - I do tego te przekłete jedwabne rękawiczki, o których wspominał sir Drake.

XXI. Życie bez kwiatów byłoby bardzo smutne

Przechodząc zwirowaną ścieżką, spojrzął przelotnie w parterowe okna. Padający z kominka odbłask rzucał krwawe zarzewie na pochylone ku sobie sylwetki Granmore'a i panny Hoppe.

Porucznik przystanął na chwilę. Ciekawym, co ich łączy? - nie przestawał obserwować okna. - Flirt, czy też...

Wyglądali na pograżonych w poufnej pogawędce. Profesor wspomniał o dwóch napastnikach. Dwóch albo dwojgu. Nie mógł przecież rozpoznać płci w obszernych płaszczach. A jeżeli właśnie...

Dałby wiele, by słyszeć ich rozmowę. Nie było to jednak możliwe. Gdyby podszedł bliżej, zauważono by go niewątpliwie.

Zawahał się. Wejść do hallu?

Czy warto? I tak przy nim nie będą rozmawiać o niczym, co mogłoby dać jakiś, najwątleszy choćby koniuszek nici.

A Granmore patrzy wilkiem. Zazdrosny? Chwilami było to nawet zabawne. W tej chwili jednak porucznik jakoś nie miał ochoty do zabawy.

Wzruszył ramionami - niech mu będzie na zdrowie. Raczej jednak flirt niż co innego. Postanowił nie przeszkadzać. Niech sobie flirtują. Miał tyle do przemyślenia. Gdzie tu w tym wszystkim umieścić człowieka z blizną? Ba, żeby go miał w swoich rękach... Spacerował wolno ścieżkami. Dzień należał do wyjątkowo pogodnych i ciepłych. Nie warto marynować się w pokoju.

Skrzypnęły szklane drzwi oranżerii. Na progu stanął ogrodnik, ćmiąc krótką fajeczkę.

Porucznik, wytrącony z zadumy, patrzył na niego bezmyślnie. Z wolna myśl zaczęła pracować w nowym kierunku. Oranżeria? Kwiaty? Nasuwało się jakieś skojarzenie pojęć. Przez dłuższą chwilę

nie potrafił zdefiniować, jakie mianowicie. Nagle drgnął. Prawda. Kwiaty! „Życie bez kwiatów byłoby bardzo smutne”. Pożółkłe stronicie dzieciennego zeszytu. Kwiaty... i motyle wbijane żywcem na szpilki. To przecież także stanowiło niewiadomą tego tak bardzo skomplikowanego równania. I kto wie, czy od podstawienia pod tą niewiadomą właściwej wartości nie zależał los czyjegoś życia.

Niedbałym krokiem podszedł ku lśniącym szklanym połyskiem ścianom.

Po okolonej siwymi bokobrodami twarzy przesunął się uprzejmy uśmiech.

- Dzień dobry, sir. Piękną dziś mamy pogodę. Widać było po minie, że znudzony staruszek szuka okazji do ucięcia pogawędki. Porucznik odpowiedział uśmiechem na uśmiech.

- Rzeczywiście, wyjątkowo piękna jak na tę porę roku - potwierdził. - Można zajrzeć do waszego królestwa?

Staruszek usunął się z gotowością, otwierając drzwi szerzej.

- Z największą przyjemnością, sir. Mamy kilka wcale niebrzydkich okazów. Szczególnie jeżeli chodzi o orchidee.

Porucznik wszedł. W nozdrza uderzyło parne, przesycone wonią kwiatów i zbutwienia powietrze.

Ogrodnik zatrzymywał się przed każdą rośliną. We wzroku, jakim je obrzucał, widniało nieklamane zamiłowanie.

- Ta palma na przykład, sir...

Porucznik, udając zainteresowanie, cierpliwie wysłuchiwał objaśnień. Na wszystko przyjdzie czas. Przedwcześnie rzucone pytanie mogło łatwo spłoszyć ogrodnika. Starzy ludzie bywają niekiedy tak bardzo nieufni. Raz spłoszeni, potrafią się zamykać jak ślimaki w skorupie.

- Imponujące! Wspaniałe! Piękne! - szafował superlatywami, obserwując ukradkiem przewodnika.

Staruszek promieniał.

- Och - mrucał jak głaskany kot - pan porucznik jest bardzo łaskawy. Pracujemy w tak skromnych rozmiarach, że...

- Tu nie chodzi o rozmiary - przerwał porucznik. - Tym więcej jestem zachwycony, że przy ograniczonych możliwościach osiągnięto tak nadzwyczajne rezultaty. Pańskich okazów nie powstydziliby się królewski ogród. Naprawdę jestem zachwycony! - powtórzył.

Staruszek był wniebowzięty.

- Żeby jeszcze ta Victoria Regia chciała zakwitnąć - wskazał olbrzymie liście pływające w

cementowym basenie! - Czekamy z roku na rok i jakoś nic.

Wiadomości porucznika z zakresu botaniki należały raczej do rzędu całkiem przeciętnych. Patrząc jednak na krawędzie liścia o przekroju grubej deski, przybrał minę znawcy.

- O, na pewno niedługo zakwitnie. Znam się na tym cokolwiek - zapewnił z umyślnie zaznaczoną fałszywą skromnością.

- Tak pan porucznik myśli?

- Gotów jestem założyć się o gwineę przeciwko staremu sznurowadłu, że jeszcze w tym roku.

Ogrodnikowi nic już do szczęścia nie brakowało. Patrzył w porucznika jak w tęczę.

- Strasznie tu u was miło - porucznik ukradkowym ruchem otarł kropelki potu występujące na czoło - widać że wszyscy w domu kochają kwiaty.

- O - staruszek pyknął z fajki. - Owszem - zawahał się - lubią. Pan profesor niekiedy zagłada.

- No, przede wszystkim przecież panna Hoppe? - rzucił zdawkowo, zapatrzony w jakiś dziwny kształt podzwrotnikowego kwiatu.

- Panienka? - znowu pyknięcia. - Tak. Panienka też od czasu do czasu przyjdzie. Ale nikt tak nie kocha kwiatów, jak kochał je biedny nasz panicz...

Porucznik nachylił się jeszcze niżej.

- Pan Robert?

- Tak. Potrafił tu siedzieć całymi godzinami. Mówił, że bez kwiatów życie jest takie smutne.

Porucznik z wysiłkiem zapanował nad odruchem zdumienia. Więc ten zeszyt należał do młodego Hoppe'a? W takim razie ten drugi...

- Zawsze musiał mieć w swoim pokoju kwiaty - ciągnął staruszek. Uśmiech spełzał powoli z jego twarzy, ustępując miejsca smutnej zadumie. - Wtedy gdy... - starczy głos zadrżał -. wtedy gdy stało się to nieszczęście, siedział przy swoim biurku nachylony nad wspaniałym okazem tuberozy, która stała przed nim. Był to chyba najpiękniejszy egzemplarz, jaki mi się udało wyhodować w ciągu mej pracy ogrodniczej. Niech pan pomyśli, sir, jakie to dziwne zrządzenie losu - zapatrzył się w przestrzeń - przez całe życie kochał tak bardzo kwiaty i umarł wdychając ich słodką woń...

- Umarł wdychając ich słodką woń - powtórzył jak echo porucznik. Na czole zarysowała się głęboka, pionowa zmarszczka. O tej okoliczności śmierci młodego Hoppe'a dowiedział się dopiero po raz pierwszy. Zamyślał się coraz bardziej. Czy to prowadziło do jakiegoś kłębka?

Automatycznym krokiem szedł za przewodnikiem.

- Orchidee udały się nam w tym roku bodaj najlepiej ze wszystkich roślin - ogrodnik wskazał niemal pieszczotliwym ruchem pomarszczonej ręki pręgowane płaty.

Wzrok porucznika mimo woli powędrował we wskazanym kierunku. Kwiaty robiły wrażenie czegoś drapieżnego, sprężonego do skoku.

- Najładniejszego okazu nie zobaczy pan tutaj. Panienska przed jakąś godziną zabrała go do domu.

Pionowa bruzda na czole porucznika pogłębiła się jeszcze bardziej - najpiękniejszy okaz tuberozy wtedy... najpiękniejszy okaz orchidei dzisiaj... Mózg pracował z wyężeniem. Nagle jasnością błyskawicy zajaśniało przeczucie prawdy.

- Przepraszam. Przypomniałem sobie o pewnej sprawie - szybkim krokiem ruszył ku wyjściu.

Z każdym jardem szedł coraz szybciej. Nie było ani chwili do stracenia, o ile nasuwające się przypuszczenie docierało do jądra sprawy. Oby tylko nie było za późno.

XXII. Orchidea

Kay była rozżalona.

- Ten doktor Szroder chyba nie ma w ogóle serca. Pomyśl sam: po tylu dniach pozwolił na tak niezmiernie krótką wizytę. I ani podejść bliżej, ani ucałować tatusia. Kwiaty wyrzucił...

- Przecież nie wyrzucił, kochanie - wtrącił uspokajająco Jack - kazał je tylko wynieść na balkon. Chorzy potrzebują dużo świeżego powietrza.

Potrząsnęła niecierpliwie główką.

- Mówisz tak, jakbyś był jego asystentem.

- Przepraszam, maleńka - szepnął pokornie. Uśmiechnęła się ciepło.

- Zresztą mniejsza o kwiaty. Powiedzmy, że ma rację. Ale ciasteczka? Przecież sama je piekłam. Przypilnowałam każdego szczegółu. Można by je dać najbardziej choremu. Szroderowi jednak i ciasteczka szkodziły. Sądzi, że pochłonał, wszystkie rozumy świata. Ja się też trochę znam na pielęgowaniu chorych. Jestem pewna, że przesadza w ostrożnościach. Nieraz przecież opiekowałam się tatusiem, gdy niedomagał.

- Ale mówił, że po tym szoku...

- Szok - przerwała wydymając pogardliwi wargi. - Więc cóż z tego, że szok? Najłatwiej wymyślić jakąś diagnozę, której nie można sprawdzić i używać jej w celu robienia z siebie chaldejskiego maga. Reklamiarstwo! Chce, by go uważano za cudotwórcę. Każe ważyć każdą uncję diety. Tego tyle i ani odrobiny więcej, tamtego znowu wymierzona po aptekarsku dawka. Nonsens! Rekonwalescent musi się odżywiać forsownie. Niech sobie zresztą pan Szroder nie wyobraża, że

długo mu pozwolę maltretować biednego tatusia. Są jeszcze poza nim powagi lekarskie w Londynie. Zwołam konsylium i wtedy okaże się, kto ma rację.

Jack nie oponował więcej. Po co rozdrażniać? I tak roztrzęsione biedactwo do ostateczności. Zresztą cóż dziwnego? Próbował jedynie w najostrożniejszy sposób zmienić temat rozmowy.

- Szroder rzeczywiście dziwaczy - potwierdził. - Ale i tak za parę dni profesor wróci do domu. Trzeba go będzie wywieźć w jakieś weselsze strony. Oderwać na pewien czas od tego wszystkiego, co nasuwa ponure wspomnienia. I ten przekłęty klimat. Dla rekonwalescenta mógłby być zabójczy. Stryj przecież nie jest już młodzikiem. Przejścia ostatnich czasów musiały nadszarpnąć porządnie odporność jego organizmu. Nie, oczywiście o jakichś dalekich podróżach nie ma tymczasem mowy. To jest zupełnie zrozumiałe. Ale na przykład Riwiera. Tam przecież panuje jeszcze lato. Kwiaty. Radosne barwy otoczenia. A najważniejsze, uśmiechnięte twarze naokoło. Nie to, co tutaj.

- Ty także musisz wyjechać, maleńka - ujął jej zwisającą bezwładnie rękę. - Robisz wrażenie podciętego kwiatu.

Udało się. Podjęła podsunięty temat, nabierając ożywienia.

- To byłoby naprawdę cudnie. Tak okropnie mam dosyć tych ścian, pomiędzy którymi błądzą znikające cienie. Chciałbym odetchnąć wreszcie prawdziwym życiem.

Oczy jej fosforyzowały. W głosie dźwięczały coraz częściej nutki ciepła.

- I ty pojechałbyś z nami, Jack? - spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs.

Roztęczał pod tym spojrzeniem.

- Chciałabyś tego?

- O tak! Wiesz... to aż dziwne, jak bardzo przywiązałam się do ciebie ostatnio. Byłoby mi smutno gdybyś teraz wyszedł nagle z mego... z naszego - poprawiła się - życia. Pojedziesz?

Potwierdził żarliwie.

- Żebym miał pokonać nie wiem jakie przeszkody, pojedę!

- Dziękuję ci, Jack. Nie przestajesz być dla mnie dobry, choć może na to nie zasługuję.

Podniósł się powoli z fotela, podchodząc ku niej.

- Kay - zaczął uroczyście - żebyś ty wiedziała, jak ja...

- Psst - położyła pachnące palce na jego wargach, tamując drogę dalszym słowom. - Nie.; Dziś nie chcę nic więcej słyszeć. Taka jestem zmaltretowana tym wszystkim. Zresztą - przybliżyła twarz do jego twarzy tak blisko, że widział jedynie rozżarzone dziwnym światłem ogromne źrenice - może wiem już, co chcesz powiedzieć? I może... - urwała potrząsając głową. Nie! Dziś nie! Proszę...

Ucałował chłodne palce.

- Jak rozkażesz, Kay - westchnął z rezygnacją.

- Dziękuję ci. Chciałabym teraz zostać sama. Muszę sobie dużo przemyśleć. O tylu rozmaitych rzeczach. O... o tobie też - spuściła oczy - a właściwie... o nas. Ty też pomyśl...

- O, Kay - przerwał gorąco - przecież ja...

- Wiem - znowu nie dała mu dokończyć. - Może będziemy myśleli o tym samym. I może dojdziemy do tych samych wniosków.

- Oby tak było - nachylił się nad jej ręką - Dobranoc.

- Poczekaj - przytrzymała go - chciałabym... - podeszła do baru otwierając klapę lodówki - to... - wyjęła cudnie ukształtowany kwiat orchidei. - Widzisz, mnie się wydaje, że jestem podobna do tego kwiatu. Weź tę orchideę jako moją zastępczynię... tymczasem. Gdy zamknięty w czterech ścianach swego pokoju będziesz myślał o mnie, miej ją przy sobie. Mówią, że nie pachnie. To nieprawda. Emanuje dziwną, upajającą woń. Szczególnie gdy ją ożywi ciepło ludzkiego ciała. Lubię tak bardzo zapach orchidei.

- Ja także - potwierdził bez wahania, choć nigdy w życiu nie zdarzyło mu się wachać tego kwiatu. Skoro jednak Kay mówiła... - Taki ci jestem wdzięczny, maleńka, że pomyślałaś o mnie.

Wyciągnął rękę.

W tej chwili groźne warczenie Nera zawtórowało niby echo odgłosowi energicznego pukania.

Zanim padło zaproszenie, drzwi otworzyły się na oścież.

Do pokoju wszedł porucznik.

- Przepraszam, czy przypadkiem państwu nie przeszkodzę.

Jack zaciął zębami wargi. Epitety, którymi obdarzał w duchu intruza, wystarczyłyby w zupełności do naruszenia równowagi nerwowej co najmniej pół tuzina osób w skórze hipopotama.

- Ale skądżeż znowu - uprzejmy uśmiech Kay robił wrażenie zupełnie naturalnego.

Jack spojrział ukradkiem. Kwiat orchidei zniknął gdzieś bez śladu. Naturalnie. Nie mogła przecież ofiarować go przy poruczniku.

Gbur - nerwowym ruchem sięgnął do pudełka z papierosami - nie mógł przyjść o kilkanaście sekund później?

Porucznik rozejrzał się dokoła.

- Miałem dziś paskudny dzień. Nalatałem się jak pies i żadnego rezultatu. Błądzimy wciąż w próżni. Okropnie mi zaschło w gardle. Jeśli można odrobinę wody sodowej, czy czegoś w tym rodzaju... Byłbym niewymownie wdzięczny.

- Przyrządę panu cocktail. - Kay ruszyła w kierunku baru.

- Proszę się nie trudzić - uprzedził ją, znajdując się nieoczekiwanie szybko przy marmurowej ladzie - jeżeli mi pani tylko pozwoli...

Podniósł klapę lodówki zaglądając do środka.

- Jaka ze mnie gapa - roześmiał się z zakłopotaniem -; że też dotychczas nie zdołałem zapamiętać rozkładu tej skarbnicy wszelakiej ambrozji.

Tym razem otworzył właściwe drzwiczki.

- Dziś w nocy musimy zachować specjalną ostrożność - mówił potrząsając shakerem - zaraportowano mi, że wokół ogrodzenia kręcił się jakiś mocno podejrzany osobnik. Niestety nie zdołano go zatrzymać.

Przenikliwy wzrok Kay przywarł do twarzy porucznika.

- To... bardzo przykre. Będę umierać ze strachu przez całą noc. Znów pewno znikający cień zagości w naszym domu?

- Bardzo możliwe - potwierdził poważnie. Spojrzenie Kay powędrowało powoli w bok.

Nie zdołała odczytać niczego z twarzy porucznika. Nie zdołała odczytać, że każde z wypowiedzianych słów stanowiło najbezwstydniejsze kłamstwo. Nie zdołała odczytać także pewnej myśli, która wkrótce miała się okazać brzemienną w doniosłe skutki.

Twarz porucznika, jak zresztą zawsze, była niemożliwa do odcyfrowania. Napełnił szklaneczkę.

- Pozwolą państwo, że wezmę na siebie funkcje barmana?

Jack zżuł między zębami bardzo brzydkie słowa. Na szczęście dźwięk, który się wydostał na zewnątrz był zgoła nieartykułowany.

Z zachowania porucznika wynikało jasno, że zamierza się rozgościć na dobre. O poufnej rozmowie z Kay ani marzyć. Również o otrzymaniu kwiatu orchidei.

Żeby go wszyscy diabli... - zapalił nowego papierosa.

XXIII. Śmierć Nera

Nero zniknął bez śladu. Przeszukano cały dom od piwnic do strychu. Zaglądano w najbardziej ciasne kąty. Odsuwano większe meble - może się gdzieś wcisnął i nie zdołał wyjść? Nie darowano

nawet najmniejszym zakamarkom. Żadnego skutku. Pies przepadł na dobre.

Jack przejawiał najwięcej gorliwości ze wszystkich szukających. Kay była przecież taka zmartwiona.

- Może uciekł do koleżanki, od której go dostałaś?

- Nnie. Pytałam się. Jeżeli uciekł, to nie wiadomo dokąd... Gdzieś w świat - była bliska płaczu.

- Tak go polubiłam. Czułam się znacznie pewniej, gdy miałam go przy sobie.

Więc szukano dalej. Choć nawet Jack w głębi duszy zaczynał tracić nadzieję. Cóż. Psy czasami uciekają. Szczególnie takie, które od niedawna są w domu.

- Może go ktoś ukradł? - wysunął przypuszczenie.

- Nera? Przecież nie dawał do siebie przystąpić nikomu obcemu.

- Ba... Złodzieje psów mają sztuczki.

Dał olbrzymie anonsy do gazet. Wyznaczył pokaźną nagrodę. Na skutek trzeba było dopiero czekać.

Nadspodziewanie wielkie zainteresowanie zniknięciem psa objawił porucznik.

- Zupełnie rozumiem pani uczucie - w głosie brzmiały nutki współczucia - pies to tak, jakby przyjaciel. A w tym wypadku... Tak... w tym wypadku więcej niż przyjaciel. To obrońca, który potrafiłby zmusić do odwrotu niejednego napastnika. Proszę jednak nie tracić nadziei. Może się znajdzie?

Uśmiechnęła się smutno.

- Dałby Bóg. Ale już zaczynam w to nie wierzyć.

- To jednak naprawdę dziwne, żeby pies tak do pani przywiązany uciekł. To bardzo dziwne - powtórzył.

- Tym bardziej mi przykro. Bo i ja przywiązałam się do niego.

Porucznik miał coś do załatwienia na mieście. Wychodząc natknął się w hallu na Zuzannę.

- Przepraszam - zaczepił ją - czy Zuzanna przypadkiem podczas sprzątania nie znalazła kwiatu?

- Kwiatu? - dziwiła się staruszka.

- Tak. Orchidei. Podarował mi ogrodnik. Bardzo piękny okaz. - Chciałem go zasuszyć do swego zielnika.

Rurkowany czepiec zakołysał się lekko. Ludzie miewają swoje - dziwactwa, żeby jednak ten policjant układał zielniki?

- Nie. Nie znalazłam żadnego kwiatu. Musiał go pan zgubić gdzieś poza domem.

Porucznik machnął niedbale ręką.

- Możliwe. W takim razie, trudno.

W Yardzie porucznika z miejsca wezwano do gabinetu sir Drake'a.

- No i cóż? - spojrzał pytająco naczelnik - znalazł pan mordercę?

- Jeszcze nie. Ale zdaje się, że tym razem wszedłem na właściwe szyny. Zresztą, o ile się nie mylę, morderców zebrał się mały komplecik. Morderstw także. A jeżeli zweksluję na niewłaściwy tor, w najbliższym czasie będzie ich jeszcze więcej.

Pomimo nagabywań nie chciał nic więcej powiedzieć.

Sir Drake w końcu zrezygnował. Wiedział, że porucznik w pewnych wypadkach potrafił okazywać więcej uporu od najbardziej upartego kozła. Wysłuchawszy historii o zagubionej orchidei, wytrzeszczył oczy.

- A na cóż panu, poruczniku, potrzebna ta zwiędła orchidea?

- To, wie pan, jest taki czarodziejski kwiat, który ma otworzyć zaklętą bramę.

Detektyw wzruszył ramionami. Nie znosił przenośni w służbowych rozmowach. A szczególnie już tak poetycznych przenośni. Do sposobu bycia porucznika zdołali się już jednak cokolwiek przyzwyczać.

W popołudniowych godzinach dzwonek w willi profesora zaczął dzwonić niemal bez przerwy. Powietrze aż drżało od szczekania i skowytu najrozmaitszych przedstawicieli psiej rasy. W ogródku tłoczyli się ludzie zwabieni anonsami. Wystarczyło jedno spojrzenie. Żaden ze sprowadzonych psów nie był nawet podobny do Nera.

Zuzanna przyłapała porucznika, gdy schodził ze schodów.

- Jakiś... człowiek od którego dziwnie pachnie, chciałby z panem pomówić.

- Ze mną?

- Właściwie chciał się zobaczyć z którymkolwiek z panów mieszkających w tym domu. Ponieważ jednak pan Jack zajęty jest tymi ludźmi, co naprowadzili nam kundli, myślałam, że może pan...

- Ano, zobaczymy.

Przed kuchennym wejściem stał barczysty mężczyzna w brezentowym kombinezonie i sięgających daleko poza kolana butach.

- Nie chce wejść do środka - wyjaśniła Zuzanna.

Porucznik podszedł ku przybyłemu. Pachniało od niego nie tyle dziwnie, co bardzo nieprzyjemnie.

- Czym mogę służyć?

Nieznajomy miał z wyraźnym zakłopotaniem ceratowy kaszkiet w wielkich łapskach.

- Bo to, proszę łaski pana, chciałbym coś powiedzieć, ale jeżeli można poufnie.

Porucznik bez słowa odprowadził go poza willę.

- Słucham.

- Bo to widzi pan, sir, ja pracuję w kanałach...

Teraz dopiero porucznik zrozumiał pochodzenie zapachu.

- I przeczytałem w gazecie ogłoszenie... Porucznika dziwiła ta tajemniczość.

- Znaleźliście psa?

- I tak, i nie...

- Nie rozumiem.

- Przepraszam. Ale ja tam do mówienia nie bardzo. Otóż dziś miałem służbę rano. To znaczy od świtu. Obchodzę swój rejon, patrzę coś płynie środkiem. Duże i czarne. Wyłowilem. Patrząc: pies!

- Żywy?

- Gdzie tam. Martwy jak kłoda. Ale są tacy, co kupują futerka zdechlaków. Więc myślę sobie: dobra nasza. Bo futro całkiem nienajgorsze. Jak nie przymierzając na cielaku. Ale czytam ogłoszenie. Opis pasuje jak ulał. No, ja tam na lewe zarobki nie bardzo. Skoro się znalazł właściciel - trudno. Przyszedłem, z właścicielką jednak nie chciałem o tym rozmawiać. Kobiety, proszę łaski pana, bywają rozmaite. Jedna płacze, a druga jeszcze gorzej. Znałem taką, co chciała się topić, bo jej zdechł ulubiony kanarek. Jeżeli ma pan ochotę zobaczyć tego psa, to parę minut drogi...

Rzeczywiście było niedaleko. W kącie zawałonej rozmaitymi rupieciami szopy czerniało kudłate futro.

Porucznik od pierwszego spojrzenia poznał zaginionego psa.

- Zaczęliście już go krajać? Zapytany pokiwał przecząco głową.

- I... jeszcze nie. Dopiero miałem zamiar.

- Wasze szczęście.

Pracownik kanałów uśmiechnął się pokazując czarne zęby.

- Owa... Co by było wielkiego? Jemu by i tak nic nie zaszkodziło.

- Jemu nie, ale wam mogłoby bardzo zaszkodzić. Nie dotykajcie go pod żadnym pozorem. Gdzie tu najbliższy telefon?

- A ot, zaraz na rogu. W szynku.

Nie upłynęło nawet piętnaście minut, gdy przed szopę zajechało czarne auto bez okien. Ludzie w brezentowych fartuchach i gumowych rękawiczkach władowali psa do wnętrza.

- A to dla was - porucznik wetknął banknot do ręki kanalarza. - Nie rozgadujcie zbyt o tym psie. Mogłoby dojść do właścicielki. Lepiej niech ma nadzieję.

- Iii, tam... Ja do gadania nie jestem znów taki skory - zapewnił.

Gdy został sam, rozwinął banknot. I aż poskrobał się w zmierzwioną czuprynę: - tyli pieniądz za padlinę? - niemal nie wierzył własnym oczom - a przyjechali po nią limuzyną jakby po jakiego lorda. Ba - wzruszył ramionami - kto by tam zrozumiał zwyczaje jaśnie państwa.

Gdy porucznik powrócił do willi zastał niezmienną sytuację.

Granmore wciąż jeszcze użerał się w ogródku z amatorami na wymienioną w ogłoszeniach nagrodę. Psy wzniecały harmider zdolny przyprawić o nerwową chorobę. Miss Hoppe zrezygnowanym spojrzeniem obserwowała sprowadzone kundle.

Porucznik najspokojniej w świecie przeszedł przez hall, rozsiadając się wygodnie w fotelu. Wyciągnąwszy nogi w kierunku kominka, sięgnął do inkrustowanej skrzyneczki po papierosa.

Najmniejszym nawet słówkiem nie wspominał o tym, co widział w szopie. Miał zresztą pewne powody ku temu. Bardzo poważne, nawiasem mówiąc.

Dyskretnie zerknął na zegarek. Czekał na pewne zdarzenie. Czekał dosyć długo.

Zmierzch zapadł już na dobre, gdy przed kuchenną furtkę zajechał samochód wywożący śmieci.

Spośród trzech ludzi w roboczych kombinezonach, jeden dopiero od kilkunastu minut pełnił funkcje śmieciarza. I po upływie następnych kilkunastu, miał je porzucić bezpowrotnie. Pomimo tego jednak, w miarę swych sił i umiejętności usiłował pomagać dwom pozostałym. Błaznane cylindry nie odznaczały się specjalną lekkością. Tego wieczoru śmietnik został wyprzątnięty niezwykle starannie.

Nie pozostawiono najmniejszego choćby okrucha.

XXIV. Analiza chemiczna i świnka morska

Lśniąca biel otoczenia nie działała na porucznika specjalnie dodatnio. Zerkał nieufnie na wszystkie strony. Powietrze przesiąkał zapach lekarstw.

- Prawdę powiedziawszy, czuję się u was jak w poczekalni dentysty - mruknął wreszcie bez entuzjazmu.

Doktor Swift roześmiał się dobrodusznie.

- Ostatecznie dentyści też muszą z czegoś żyć.

- Dziękuję. Niech sobie używają na kim innym. Więc nic? - spojrział z ukosa na otyłą postać doktora wciśniętą w śnieżnobiały fartuch.

- Nic - palec o krótko obciętych paznokciach tknął w porubrykowany arkusz. - Wygląda, żeście, poruczniku, tym razem strzelili w próżnię.

- Hm - porucznik zamyślił się - bywa rozmaicie. Czy nie mogła zajść jakaś pomyłka?

Doktor zaprzeczył.

- Szukaliśmy na wszystkie sposoby. Ani śladu jakiegokolwiek trucizny. Kwiat jak kwiat.

- Macie doktorze tę drugą połówkę?

- Owszem. Jeżeli ją sobie chcecie wsadzić do zielnika, proszę bardzo. - Wstał otwierając drzwi do następnego pokoju. - Obejrzyjcie sobie przy sposobności naszą fabryczkę.

Porucznik poszedł za nim. Pociągnął z wyraźną dezaprobatą nosem. W laboratorium apteczne zapachy odznaczały się większą intensywnością niż w gabinecie.

- Oto wasz kwiatek - niklowe końce pincetki uniosły żałosny strzęp - co mam z nim zrobić?

Porucznik obserwował z zainteresowaniem ruchliwe zwierzątka poza drucianą siatką.

- Co to za szczury?

- Świnki morskie - wyjaśnił doktor. - Spełniają rolę żywych odczynników w pewnych przypadkach.

- Uhum. - Moglibyście pożyczyć mi jedno z tych bydlątek na chwilę?

- Chcecie dokonać jeszcze jednej próby z waszym kwiatulkiem?

- Coś w tym rodzaju.

- *All right*. Ale w jaki sposób mam nabrać szanowną orchideę do strzykawki?

- Obejdzie się bez strzykawki. Wydobądźcie tylko zwierzaka.

Po chwili świnka morska znalazła się na stole. Podniósłszy mordkę do góry, węszyła poruszając - chrapami.

- I co dalej? - zapytał doktor.

- Przytknijcie jej kwiat do nosa.

- Myślicie, że jest taka głupia by skonsumować wasz zwiędły badyl? - zapytał sarkastycznie.

Resztki kwiatu powędrowały jednak ku czarnym chrapkom.

- O... - poprawił okulary - a co to znowu?

Ze świnką stało się coś dziwnego. W momencie gdy poruszyła chrapkami, do których przytknięto płat orchidei, sierścią jej wstrząsnął konwulsyjny dreszcz. W tej samej chwili runęła gwałtownie na stół. Wyciągnięte ku górze łapki zakołysały się jakby wstrząsane niewidzialnym podmuchem, po czym znieruchomiały.

- Otóż to - porucznik nachylił się nad zeszywniałym ciałkiem zwierzęcia - ani śladu jakiegokolwiek trucizny. To pewno skutki idiosynkrazji do zapachu orchidei, jak myślicie? - zapytał z łagodnym wyrzutem.

Doktor wytarł drobne kropelki potu występujące na gładkiej jak bilardowa kula łysinie.

- Niesłychane. Przeprowadzaliśmy tak dokładną analizę.

- Biedna świnka przeprowadziła ją jeszcze dokładniej - przerwał bezceremonialnie. - No cóż, doktorze, piszcie protokół z przebiegu eksperymentu. A mój, jak go nazywacie, „badyl”, opakujcie, jeśli łaska, w charakterze dowodu rzeczowego. Dla pewności nie radzę umieszczać go w waszym zielniku - zakończył nieco złośliwie.

XXV. Ostatnie ogniwo

Porucznikowi niemal zaczęły opadać ręce. Brakowało tylko jednego jedyne ogniwa, by zamknąć łańcuch. Ale bez niego wszystko było na nic. A czas naglił. Każda upływająca sekunda mogła przynieść katastrofę. Cóż z tego, że przeczuwał prawdę. Że niemal miał pewność, jaka ona jest w rzeczywistości?

Brakowało ogniwa.

Bo przecież pomiędzy pijaństwem zaszuszonego dependenta notarialnego a orchideą, której zapach niósł śmierć, istniał bezpośredni związek. Co do tego nie miał najmniejszych nawet

wątpliwości.

Człowiek z blizną na lewej brwi. Otóż to. Człowieka tego nie można było znaleźć. Naciskał naczelnika.

- Nic z tego nie wyjdzie, sir. Trzeba wyznaczyć nagrodę.

Sir Drake gderał po swoim.

- Łatwo panu mówić, poruczniku. To przecież fundusze korony...

W końcu ustąpił. Wyznaczona przez niego suma warta była zachodu. W agentów z miejsca wstąpiła energia. Rozbiegli się po mieście, zaglądając ludziom pod kapelusze. Cóż u licha, ostatecznie nie każdy człowiek ma bliznę. I to akurat na lewej brwi. A do tego ciemna cera i gardłowy akcent. Znajdzie się.

W zapale zatrzymano kilka osób. Trzeba było ich jednak wypuścić i przeprosić. Nie wszystkim wystarczyły przeprosiny. Ktoś skłął od ostatnich. Ktoś inny zagroził skargą do samego Lorda Strażnika Pieczęci.

Nie przejmowano się zbyt. Trudno, gdzie drwa rąbią... i tak dalej.

Szukano dalej. Poszukiwany zniknął jak kamień w wodę.

- Może wyjechał? - wyraził przypuszczenie szef detektywów.

Porucznik zaprzeczył energicznie.

- Nonsens. Nie mógł wyjechać, gdy w powietrzu dojrzewają decydujące zdarzenia.

Starszy detektyw, Grey, miał swój własny system pracy. Zamiast uganiać się po ulicach, zasiadł wygodnie w fotelu i kopcąc fajkę zaczął rozmyślać.

Zastanawiał się mianowicie, jakby on sam postąpił na miejscu ściganego. Uwzględnił przy tym wszystkie okoliczności. A więc: bliznę, ciemną cerę i gardłowy akcent.

Gdy nabijał po raz drugi wygasłą fajkę tytoniem, plon rozmyślań należał do nader żalonych. Bo właściwie odpadło wszystko to, co mogło stanowić podstawę rozpoznania.

Jeżeli tamten był człowiekiem inteligentnym... A biorąc pod uwagę te szczupłe informacje, jakie o nim dotychczas zdołano zebrać, należało przyjąć, że tak było w rzeczywistości.

Zapadał już zmierzch, gdy detektyw wychodził z domu. Nie zajrzał nawet do Lyonsa, gdzie przesiadywał nie wiadomo po co jeden z optymistycznie nastrojonych kolegów. Nie skierował się również ku podejrzanym tawernom, gdzie węszyła znaczna ilość jego kolegów. Po drodze nie zapuścił żurawia pod ani jeden męski kapelusz. Blizny na twarzy przechodniów nie interesowały go w najmniejszym nawet stopniu.

Uliczka, na którą wszedł była cicha i spokojna. Reputacja jej należała do pierwszorzędných. Nie odznaczała się niczym specjalnym. Chyba jedynie tym, że na nią właśnie wychodziła tylna furka ogrodu profesora Hoppe'a.

Grey przybrał znudzoną minę. Ot, parę minut spaceru dla zdrowia.

Spacer zaczął przeciągać się w nieskończoność; do rogu, parę chwil odpoczynku przy narożnym drzewku i znowu z powrotem.

Mgła gęstniała powoli. Wokół żółtawych plam ulicznych latarni wirowały świetliste tumany. Robiło się coraz później. Uliczka pustoszała. W końcu zapadła cisza. Grey ziewnął szeroko. Z równym skutkiem można przespacerować całą noc. Muskuly w łydkach zaczynały drętwieć.

Jeszcze raz do rogu. Postoje pod drzewkiem stawały się coraz dłuższe. Światła w oknach gasły. Nagle sprężył się. W mgłę zaczął wsiąkać odgłos oddalonych kroków.

Zbliżały się. Niedbałe, spokojne kroki. Jakiś zapóźniony spacerowicz.

Grey wyłonił się, gdy tamten przechodził obok latarni.

- Przepraszam - uchylił kapelusza - czy mógłbym prosić o ogień? Akurat zapomniałem zapalek, a że wszystkie sklepy zamknięte więc... Milczenie.

Zalśniły szkła wielkich amerykańskich okularów. Trzasnęła zapalka. Nikły odbłask chyboącego płomyka padł na bladą jak papier twarz.

Grey nachylił się z papierosem.

Niespodziewanie uskoczył gwałtownie, uderzając rozmachem całego ciała w bok nieznanego.

Tamten zachwiał się na nogach.

- *Sorry* - w głosie Grey'a brzmiały nutki szczerego ubolewania - potknąłem się. Taki ze mnie...

Nagle urwał. Źrenice jego zwęziły się w wąskie szparki.

Silny wstrząs zrzucił z nosa nieznanego okulary w szerokiej oprawie. Przefiltrowane przez mgłę światło latarni padło na czoło oświetlając biały pasek blizny.

Grey sięgnął błyskawicznym ruchem do kieszeni płaszcza.

Gdyby jednak odchylił się w bok o ułamek sekundy później, wystrzelona z bliska kula trafiłaby go w sam środek czoła.

I tak przed oczyma rozbłysły nagle wszystkie gwiazdy świata. Miał wrażenie, że żelazna maczuga walnęła go z impetem w prawą skroń. Zachwiał się. Nie upadł jednak. Pod czaszką szumiał ogłuszającym rytmem diabelski młyn.

Rozpaczliwym wysiłkiem woli zbierał pierzchającą świadomość. Trzeba!

Przelotnie przesunął palcem po skroni. Głupstwo. Kontuzja. Zacisnął szczęki.

Do wszystkich diabłów!

Kroki głuchły w oddali, gdy nacisnął spust pistoletu, kierując lufę ku górze.

Buchnął grzmot strzału. Ostry, świdrujący trel gwizdka przeciął powietrze.

Zatupotały kroki. Światła ręcznych latarek bezskutecznie walczyły z przesłoną mgły.

- Stać! Policja!

Gdy stawiał pierwsze kroki, nogi ugiwały się, miękkie jakby z waty. Następne poszły lepiej. Nie miał jednak nadziei. Tamten zdążył uzyskać zbyt wielką przewagę.

Gdzieś za rogiem przecznicy wybuchło zamieszanie. Podniecone głosy. Łamiące się tęczowymi barwami błyski latarek.

Po chwili sylwetka w nienagannie skrojonym palcie tkwiła już pomiędzy dwoma barczystymi policjantami. Wykręcone w tył ręce nie pozwalały na najmniejszy ruch.

Biegł ktoś jeszcze. Krok niepewny, w garści pistolet. Spod skórzanych hełmów uderzyły twarde spojrzenia.

- Nowy ptaszek?

Mdło zaśniła stal rewolwerowej lufy.

- Ręce do góry!

Grey odchylił klapę marynarki. Jeden z policjantów nachylił się przybliżając światło.

- Ach tak. W porządku.

- A ten? - wskazał zatrzymanego.

- Właśnie go goniłem.

- Miał rewolwer w ręku, gdyśmy go dopadli. O co oskarżony?

- O usiłowanie zabójstwa na mojej skromnej osobie. Poza tym spójrzcie na jego lewą brew.

Odblask padł na twarz nieznanego.

- Do licha! - mruknął policjant - człowiek z blizną.

- Diabło właśnie na to wygląda.

- Ale... przecież taka biała cera?

- Właśnie.

Grey wyciągnął chustkę, pocierając policzki więźnia. Wystąpiły ciemne smugi.

- Wszystko tak jak być powinno - mruknął do siebie - blizna schowana i koloryt aż zbyt biały.

- Macie szczęście - westchnął z zazdrością policjant.

- Mamy szczęście - poprawił Grey.

- Jak to?

- Gdyby nie wasza interwencja, umknąłby na amen. Nagroda na trzy części.

Twarze policjantów pojaśniały. Trzecia część wyznaczonej sumy stanowiła też kasek nie do pogardzenia.

Więźnia transportowano z należytymi ostrożnościami. Ładny kawał grosza wzięliby diabli, gdyby umknął.

Porucznik zasypiał, gdy wezwano go do telefonu.

W parę minut był już w Yardzie. W korytarzu zetknął się z Browsterem.

- Czy on... czy on mnie nie zamorduje? - wargi dependenta drżały.

- Mowy nie ma - uspokoił go porucznik - żeby nawet chciał, nie tknie was palcem.

Więzień siedział na krześle pogrążony w bezruchu. Usunięta szminka odsłoniła ciemną, niemal miedzianą cerę. Na skrzyżowanych z tyłu przegubach lśniły metalowe obrączki. Browster zatrzymał się na progu.

- Ten? - zapytał porucznik.

Browster obserwował przez chwilę ciemnoskórego.

- Tak - oświadczył wreszcie. - Mogę za przysięgę, że ten sam.

Spod nisko nawisłych brwi strzeliło ironiczne spojrzenie.. - Porucznik podszedł ku nieznanemu.

- Wasze imię i nazwisko. Gdzie mieszkacie?

Więzień milczał. Wargi jego wykrzywiały coraz bardziej kpiący wyraz. Oczy wytrzymały

bez!; zmrużenia ostry wzrok porucznika. Porucznik wzruszył ramionami.

- Nie chcecie odpowiadać? Cóż... wasze prawo. I tak się dowiemy.

Więzień miał taką minę jakby zamierzał za chwilę wybuchnąć śmiechem. Nagle dziwnie zazgrzytał zębami.

Porucznik podniósł błyskawicznie rękę.

- Do wszystkich diabłów! - usiłował wetknąć palec pomiędzy zęby więźnia. Było już jednak za późno.

Dyżurny sierżant zerwał się z biurka. - Co się stało?

- Stary kawał - ramiona porucznika opadły ruchem rezygnacji - ampulka z trucizną pod zębem. Doktora! - warknął. - Może jeszcze...

Policjant ruszył niemal biegiem, przystanął jednak w pół drogi.

- Doktor Gilles pojechał w sprawie - śmierci prokuratora Jonesa na miasto. Może by wezwać z Pogotowia? Na sąsiedniej ulicy. Porucznik zaklął.

- Wezwijcie kogo chcecie! Aby tylko prędko! Rzeczywiście musiało być blisko. Nie upłynęło nawet pięć minut, gdy przysadzisty jegomość w sztywno nakrochmalonym fartuchu postawił brzęczącą metalem walizeczkę na biurku. Wystarczyło mu zresztą jedno spojrzenie.

- Trup.

Wyjął ze skórzanego etui metalowe lustro, przybliżając je do zsiniałych warg.

- Tak - popatrzył po chwili na jego nieskalaną powierzchnię. - Co mu się stało?

W spojrzeniu, jakim obrzucił otaczających, migotała podejrzliwość.

- Piorunująca trucizna - objaśnił lakonicznie porucznik.

Doktor nachylił się wciągając ostrożnie powietrze do nozdrzy.

- W każdym razie na pewno nie cyjanek potasu... ani nic, co by posiadało charakterystyczny zapach.

- Sekcja dopiero wykaże. Albo - porucznik uśmiechnął się z goryczą - albo też nie wykaże nic..

Doktor zabierał się do odejścia.

- Co przy nim znaleziono - zapytał porucznik dyżurnego.

- Bilet autobusowy z Tower, to wszystko. Porucznik zacisnął pięści.

- Ależ przekłety pech! Doktor przystanął na progu.

- Nie wiecie kto to jest? Porucznik potrząsnął przecząco głową.

- To w rezultacie może nas drogo kosztować - mruknął przez zaciśnięte zęby. - Żebym choć wiedział, jak się nazywa. Albo gdzie mieszka. Ale zanim cokolwiek wywęszymy na podstawie biletu autobusowego - wydał wargi - może być już późno. O ile w ogóle cokolwiek zdołamy wywęszyć.

Doktor pocierał czoło.

- Poczekajcie! Mam wrażenie, że już kiedyś widziałem tego jegomościa. Taka charakterystyczna twarz...

Porucznik nagle nabrał życia.

- Doktorze! - przyskoczył łapiąc go za ramię. - Na miłość boską, poruszcie mózgiem! Od tego zależy życie ludzkie! Może nawet więcej niż jedno.

- Chwileczkę - patrzył z natężeniem w twarz zmarłego. - To w każdym razie musiało być dosyć dawno. Nie macie panowie papierosa? W pośpiechu zapomniałem zabrać, a...

Cztery otwarte papierosnice wyciągnęły się ku niemu.

Wziął z pierwszej z brzegu.

- Hm... tak - zapalił - coś mi się majaczy. O, już mam! Jakies dwa miesiące temu... a może dwa i pół.

- Mniejsza o to - przerwał porucznik - tempo, kochany doktorze. Tu każda sekunda ma swoją cenę.

- Więc dobrze. Jednym słowem zostałem wezwany do wypadku na Edgware Road. Nie. Nie do niego. Ale spotkałem go, jak wychodził z drzwi na pierwszym piętrze. Zastanawiałem się nawet idąc na górę, czy to Indianin, czy też po prostu południowiec.

- Numer tego domu, doktorze?

- Niestety, nie pamiętam. Odwiedzamy tylu chorych.

- Masz ci los - porucznik niemal jęknął.

- Ale numer musi być zapisany w księdze wezwań. Ba... - zawahał się - Niestety nie pamiętam daty. Ani nazwiska chorego. Wezwań na Road mieliśmy dobre parę dziesiątków. A wam, jak mówiliście, chodzi o pośpiech?

- Piekielnie chodzi - potwierdził porucznik.

- w takim razie... Hm... wypuścił kłęb dymu ustami - czy ja wiem... Chybabym poznał ten dom gdybyśmy pojechali...

Porucznik ciągnął go już do wyjścia.

- A nakaz rewizji? - przypomniał dyżurny sierżant.

Porucznik machnął ręką.

- Nie mam czasu bawić się w formalności. Doktor aż się zasapał.

- Wolniej poruczniku - prosił.

- Ani mowy - porucznik nie przestawał go ciągnąć po schodach. - Jestem gotów w razie potrzeby zanieść was na rękach, doktorze.

Doktor westchnął z rezygnacją, przyspieszając kroku. Możliwość odbycia reszty drogi na rękach porucznika jakoś nie przemawiała mu do przekonania.

XXVI. Rewizja

Porucznik hamował samochód przed każdym domem.

- Tu?

Doktor oglądał z natężeniem fasadę.

- Widzicie... to nie jest takie łatwe. W nocy wszystko wygląda zupełnie inaczej. Tamten zdaje się miał marmurowe kolumny.

Po długich poszukiwaniach znaleziono wreszcie dom z marmurowymi kolumnami.

- Ten? - porucznik szykował się do wyjścia z samochodu.

Doktor przytrzymał go za rękaw.

- Chwileczkę - westchnął żałośnie. - Nie. Tu mieszka mój krawiec. Człowiek ma tyle na głowie kłopotów. Tamten dom nie miał wcale kolumn.

- A co miał? - spojrzał na niego spode łba porucznik.

- Nie wiem - doktor zrobił skruszoną minę - przejedźmy jeszcze raz od rogu do rogu.

- Stop! - krzyknął nagle doktor. Podeszwa porucznika nacisnęła hamulec. Dom, przed którym się zatrzymali wyglądał bardzo okazale.

- Na pewno tu?

Doktor zakołysał niezdecydowanie głową.

- Zdaje się, że tu... Dopiero jednak gdy zobaczę klatkę schodową...

Było późno. Dostanie się do wnętrza domu nie należało do najłatwiejszych zadań.

Musieli wielokrotnie tarmosić dzwonkiem zanim alarmujące terkotanie wywołało oddźwięk.

Zaspany odźwierny był bardzo zgorszony.

- Po nocy obcy goście?

Zasypał przybyszów gradem warkotliwych pytań. A kto, a do kogo, a po co?

Podetknięta pod nos legitymacja porucznika wywołała pożądany skutek. Drzwi otworzono bez dalszego zwlekania.

Patrzył w ślad za wstępującymi na schody, kiwając rozczochraną głową.

- Żeby w takim domu włóczyła się po nocy, policja?

- Tu? - zapytał znowu porucznik. Doktor rozejrzał się bacznie.

- Chyba tak - nie robił jednak wrażenia całkiem zdecydowanego. - O! - odzyskał niespodziewanie swadę - na pewno! Patrzcie - wskazał szyb windy - ten dziwaczny witraż. Zastanawiałem się wtedy dlaczego go nie zastąpiono czymś bardziej nowoczesnym.

Stanęli na podeście pierwszego piętra.

- Te drzwi? - porucznik wskazał orzechową taflę nie zaopatrzoną żadną tabliczką.

- Tak. Z tych wychodził. Czy jednak tu mieszka?

- Zobaczymy - nacisnął przycisk dzwonka. Dzwonienie nie wywołało jednak żadnego, echa.

- Nikogo nie ma - doktor zabierał się do I odejścia. - Skoro wróci pan tu rano...

Porucznik zagwizdał przez zęby.

- Właśnie. Nie mam nic innego do roboty, jaki tylko czekać do rana. Diabli wiedzą, co może się stać w ciągu dzisiejszej nocy.

- Ale kto może mieć klucz od mieszkania? Porucznik wrzucił ramionami. Poszperawszy w kieszeniach wyciągnął jakieś narzędzie dziwacznej postaci.

- Ja mam - oświadczył swobodnie, przystępując do operowania zamków.

Doktor przeraził się nie na żarty.

- Ależ, panie... przecież pan nie ma nakazu rewizji... to jest...

- Włamanie - dokończył beztrąsko porucznik. - Albo nadużycie władzy. Jak wolicie, doktorze. W najlepszym wypadku trzy miesiące ciężkich robót. Uwzględniając już wszystkie okoliczności łagodzące. - Mówiąc, nie przestawał manipulować przy zamkach. - Patentowe, psiakrew! - zaklął. - A wam, doktorze, radzę zmykać póki czas. Sąd nie żartuje również ze współnikami.

Doktor zawahał się. To, co działo się przed jego oczyma, rzeczywiście mocno załatywało kryminałem. Ciekawość jednak przeważyła. Skoro już raz wdepnął w tę niezwykłą przygodę, chciał zobaczyć jej dalszy ciąg.

- Zostaję - zasunął rękę do kieszeni płaszcza.

- A jak was przyłapią?

- Trudno. Będzie, co Bóg da.

- Uff - odetchnął porucznik. Zamek odskoczył z trzaskiem.

W przedpokoju panowały ciemności. Porucznik przekręcił kontakt. Ze staroświeckiej oprawnej w misternie kutą metal lampy spłynął potok barwnego światła. Porucznik spojrzał ku górze.

- Całkiem nie najgorszy kawałek - zawyrokował - musiał kosztować ciężki grosz.

Bez wahania nacisnął klamkę drzwi prowadzących do pokoju.

Doktor szedł za nim z pewnym ociąganiem.

Rzeźbiony kryształ rozbłysnął tęczowymi blaskami. Porucznik rozejrzał się dookoła.

- Wcale niezłe gniazdeczko.

Pokój był zastawiony cennymi antykami.

Porucznik zaczął szperać po kątach. Szuflady mahoniowego biurka były zamknięte. Nie przejął się tym ani trochę. Po chwili stały otworem. Wyciągnął plik papierów, przeglądając pobieżnie. Kilka dokumentów odłożył na bok, zaczynając studiować uważniej.

- Tak - tknął palcem w jakiś papier - wiemy przynajmniej, jak się nazywa ten nieszczęśnik.

- Jak?

- John Reynhold.

- Nie wygląda jednak na Johna Reynhold a.

- Nie - potwierdził porucznik - w najmniejszym nawet stopniu. Ale ostatecznie uzyskanie

dokumentów na fałszywe nazwisko nie należy w Anglii do rzeczy specjalnie trudnych.

Wypatroszył wszystkie szuflady po kolei. Nie znalazł jednak niczego ciekawego. Plik rachunków i najrozmaitszych pism opiewał na nazwisko Johna Reynholda. Z dokumentów osobistych wynikało, że jest Anglikiem urodzonym w Dolnej Walii. Porucznik pokręcił głową z niedowierzaniem. Jakoś mu to wszystko nie przemawiało i do przekonania. Obserwował podejrzliwie inkrustacje z brązu ozdabiające bogato biurko.

Tego rodzaju antyki miewają często przemyśl - i nie ukryte schowki. Może więc i ten ma coś w tym rodzaju..

Zaczął naciskać cal po calu brązowe ozdoby. Oddzielne ornamenty tarł na wszystkie strony. Nic jednak nie wychodziło.

Doktor obserwował go z nieukrywaniem zdumieniem.

- Co robicie, poruczniku? Chce pan uszkodzić i mebel w cudzym domu?

Porucznik nie ustawał w poszukiwaniach.

- Ba - mruknął nie podnosząc głowy sponad metalowych ozdób - jeżeli zajdzie potrzeba porąbię go nawet na najdrobniejsze kawałeczki. I co gorzej - dorzucił ponuro - gdy już to uczynię, może się okazać, że właściwie tej potrzeby wcale nie było.

Doktor wyciągnął olbrzymie cygaro. Nie czuł się zbyt dobrze z nerwami.

- Czy mogę tu zapalić?

- A dlaczegoż by nie?

- No... - doktorowi przypomniały się wiadomości zaczerpnięte z szeregu powieści kryminalnych. - Zapach dymu... resztki popiołu, czy ja wiem... Mogliby poznać, że był tu ktoś niepowołany.

Porucznik zerknął na stos papierów porzrzucanych na mahoniowym blacie.

- Myśli pan, że bez tego nie poznają?

Przesuwał palcami po dolnej powierzchni krawędzi blatu. Może tu?

Jakaś nierówność pod fornirem. Nacisnął. Wygórowanie zapadło w głąb pod naciskiem palca. Guzik wprowadzający w ruch mechanizm? Diabło na to wyglądało. Pomimo jednak kilkukrotnego naciskania, żadna skrytka się nie otwierała. Przygryzł wargi. Choćby miał nawet szukać do rana...

Znowu wypukłość. Taka sama jak poprzednia. Nacisnął bez większej nadziei. Niespodziewanie coś trzasnęło. Z przeciągłym szmerem wysunęła się spod blatu płaska szufladka, szczelnie wypełniona papierami.

Gdy wziął pierwszy z nich do ręki, aż gwizdnął.

- Christof Techuanpeck - powiedział z triumfem.

Wyrwany z zadumy doktor podniósł głowę.

- Co pan powiedział?

- Christof Techuanpeck - powtórzył porucznik. - Oto, jak brzmi prawdziwe imię i nazwisko właściciela tego mieszkania.

Z gorączkowym pośpiechem przerzucał jeden papier po drugim.

- Ciekawe? - zagadnął doktor.

- Jak dla kogo. Dla pewnej osoby w każdym razie papierki te wróżą bardzo nieciekawą przyszłość.

Zgarnął wszystko do teczki.

- Opłaciliby się porąbać dziesięć takich cacuszek - wskazał ruchem głowy biurko, przystępując do dalszych poszukiwań.

Następny pokój służył widocznie jako sypialnia. Pod ścianą stała wielka skrzynia okuta matowym metalem. Zamek robił wrażenie bardzo skomplikowanego, nie zajął jednak porucznikowi nawet połowy tego czasu, jaki musiał poświęcić dla otworzenia drzwi wejściowych.

Odblask światła zagrał wspaniałą gamą połyskliwych barw na czymś, co porucznik wyciągnął ze skrzyni.

Doktor podszedł bliżej.

- Cudowne! - spojrzał zachwycony - płaszcz z piórek kolibra?

- Coś w tym rodzaju. Łaszek wart między przyjaciółmi parę tysięcy funtów. Amator zapłaciłby zresztą znacznie więcej. - Nachylił się z powrotem nad skrzynią. - O... jest i drugi. Jednym słowem komplet.

- Komplet do czego?

- No - wzruszył lekko ramionami - na przykład do obrzędowej ofiary z żywego człowieka.

Doktor nic nie rozumiał.

Porucznik jednak nie miał zamiaru tłumaczyć dokładniej.

Ledwo dostrzegalnie przewijała się przez kolory ciemna kreska. Podsunął płaszcz pod nos

doktora.

- Widzi pan?

- Włos?

Porucznik ujął ostrożnie końcami palców jedwabiste pasemko.

- W razie potrzeby będzie pan świadczyć, że znalazłem go na tym płaszczu.

- Przypisuje pan temu włosowi aż takie znaczenie.

Porucznik pakował troskliwie włos w cieniutką bibułkę.

- W każdym razie może kogoś daleko zaprowadzić. Aż na stopnie szubienicy włącznie...

XXVII. Nakaz zatrzymania

Sir Drake mocował się z jedwabną muszką. Nigdy nie powierzał tej czynności służącemu. Do wiązania krawatu trzeba mieć wyczucie w palcach. Tym razem jakoś wyczucie nie pomagało. Motylek wychodził za każdym razem krzywo.

Już dwie zmiętoszone muszki spoczęły smętnie na podłodze, sytuacja zaś trzeciej z rzędu nie zapowiadała się bynajmniej bardziej różowo.

Zerknął na zegarek. Psiakrew! - stłumił przekleństwo. Było nieprzyzwoicie późno. Radca królewski musi być wściekły, jeżeli nie ma kompletu do brydża.

- Co? - spojrzał zaskoczony. - Skąd pan tu się wziął?

Na progu garderoby stał uśmiechnięty porucznik Hopkins. Robił wrażenie jakby nie widział nic niezwykłego w swoim zjawieniu się o tej porze.

- Proszę mi wybaczyć, sir - odpowiedział swobodnie. - Kamerdyner porwał moją wizytówkę i zaniósł nie wiadomo dokąd. Mnie usadowił w salonie. Ponieważ nie mogłem czekać...

Trzecia muszka, gwałtownie szarpnięta, legła na posadzce obok swych poprzedniczek.

- Nie mógł pan czekać?

- Absolutnie nie mogłem.

- A... - sir Drake sięgnął po szlafrok - a czy pan nie spojrzał, sierżancie, przypadkiem na zegarek? - zapytał z podejrzaną słodyczą.

Porucznika nie wzruszył nawet tytuł sierżanta. Rozumiał, że o tej porze ludzie są bardziej pobudliwi niż za dnia. A szczególnie już starsi dżentelmeni, którym ani rusz nie chce wyjść

odpowiedni motylek do wieczorowego stroju.

- Niestety zegarek nie ma tu nic do rzeczy - oświadczył z uprzejmym ubolewaniem - będę zmuszony zająć panu trochę więcej czasu, sir.

- Muszę być za pięć minut u radcy królewskiego, Charletta.

- Bardzo mi przykro sir. Ale to jest zupełnie niemożliwe.

Sir Drake opadł z rozmachem na fotel.

- Niemożliwe? - powtórzył nie wierząc własnym uszom.

- Niestety.

Sir Drake opadł zdumiony na fotel.

- Proszę. Sądzę, że pan wie, co mówi. W takim razie słucham. Zaszło coś niezwykłego?

Porucznik usiadł. Prawdę mówiąc był bardzo zmęczony. A jeszcze wiele rzeczy, pozostało do zrobienia zanim noc dobiegnie kresu.

- Tak. Znalazł się John Quetlac.

- Żywy?

- Mocno poraniony, ale żywy. Jest nadzieja, że się wyliże.

- Hm... A gdzie go ujęto?

- Wcale go nie ujmowano. Dowłókł się resztką sił do furtki szpitala miejskiego i zemdlął na ulicy. Duży upływ krwi. Seria zastrzyków przywróciła mu przytomność. Właśnie u niego byłem przed kwadransem.

- I co mówi?

- Nic.

Sir Drake drgnął patrząc na porucznika jakby go zobaczył dopiero po raz pierwszy w życiu.

- N-i-c? - zapytał przeciągle. - Iz tego powodu pan... hm... zaszczyca mnie o tej porze swymi odwiedzinami?

- Nie. To oczywiście nie byłby wystarczający powód - sięgnął do teczki. - Chciałem panu zreferować stan sprawy, którą prowadzę.

- Teraz?

- Tak, teraz.

Sir Drake zawahał się. Spóźnienie na wizytę z każdą upływającą minutą stawało się coraz bardziej nieprzyzwoite. Z drugiej jednak strony, zdołał poznać porucznika wystarczająco, by zdawać sobie sprawę, że jego zachowanie musiało mieć poważne podstawy.

- Czy... czy to nie może poczekać do rana?

- *Sorry*. Rano mogłoby być już za późno.

- Słucham - sir Drake z rezygnacją usiadł wygodniej w fotelu - skoro pan twierdzi, że nie może być inaczej.

Szczęknął zamek teczki. Na kolanach porucznika wylądowała sztywna obwoluta wypełniona papierami. Sir Drake aż jęknął w duchu na widok jej objętości.

- Otóż sprawa wygląda w sposób następujący...

Spokojnym, równym głosem wyluszczał punkt po punkcie.

- Oto protokół sekcji psa stanowiącego własność miss Hoppe. Protokół doświadczenia z orchideą znalezioną w śmietniku, zabranym z willi profesora. Protokół sekcji świnki morskiej, która do tego doświadczenia została użyta - podawał dokumenty.

Sir Drake przebiegał je uważnym wzrokiem. - Ale to przecież nie daje jeszcze dość ważkich podstaw? - zauważył.

- Chwileczkę. - Porucznik wyjmował kolejny arkusz - oto zeznanie doktora Bowby z Pogotowia Ratunkowego, który asystował przy rewizji mieszkania człowieka z blizną.

Sir Drake spojrzał znad papieru na porucznika.

- Ta rewizja została przeprowadzona dzisiejszego wieczoru?

- Tak. Mniej więcej przed półtorej godziny.

- A., a kto podpisał nakaz rewizji?

- Nikt - oświadczył bezwstydnie - porucznik - musiałem się obyć bez nakazu. Oto mój raport o wynikach wywiadu przeprowadzonego z ogrodnikiem Glockerem, zatrudnionym u profesora.

Sir Drake czytał nie przepuszczając ani jednego słowa.

- Hm - spoważniał, przy czym jego krzaczaste brwi zbiegły się w jedną linię - to ta sama orchidea?

- Nie było innej tego wieczoru w całej willi.

- To...; to niedobrze - palce lewej ręki zacisnęły się na poręczy fotela. Widać było że jest wstrząśnięty, choć tego po sobie nie okazywał. - Wybuchnie wielki skandal...

- Trudno. Wybuchnie jeszcze większy jeżeli przez nasze zwleknięcie ktoś straci życie. Bo... - nachylił się i zniżając głos ciągnął dalej. Sir Drake słuchał kiwając głową.

- Tak... ma pan rację. Na to wygląda... - pomrukiwał w formie komentarza. - Ale żeby rodzzonego brata i ojca...

- Nie - zaprzeczył - w rzeczywistości to niezupełnie tak. Muszę panu opowiedzieć pewną historię. Dość sensacyjną zresztą. Otóż, przed dwudziestu laty profesor Hoppe prowadził wykopaliska w Meksyku. Miał pomocnika nazwiskiem Larsen. Nie był to pomocnik naukowy. Ot, takie faktotum do specjalnych poruczeń. Profesor kiedyś uwikłał się w groźną awanturę. Wie pan, w Meksyku, szczególnie przed dwudziestu laty, takie historie były na porządku dziennym. Dość, że ów Larsen uratował mu wtedy życie. Było to nawiasem mówiąc dość nieciekawe homo. Robił jakieś ciemne interesy na swoją rękę. Mam wrażenie, że interesy te mocno pachniały kryminałem. Ale dla ekspedycji był bardzo pożyteczny. Umiał załatwiać różne sprawy z mniej lub więcej urzędowymi ludźmi. Pan rozumie, sir - strzepnął palcami. - Meksyk. A ekspedycja to właściwie profesor Hoppe. W rezultacie poza uratowaniem życia, profesor miał w stosunku do tego Larsena jeszcze inne długie wdzięczności. W czasie jakiejś bijatyki w karczmie Larsen został ranny. Rany okazały się śmiertelne. I oto teraz przychodzi najciekawszy moment całej historii... - porucznik zniżył głos niemal do szeptu.

Sir Drake ssał w zamyśleniu wygasłe cygaro.

- To... to przecież brzmi zupełnie nieprawdopodobnie?

- Owszem - potwierdził porucznik - nieprawdopodobnie. A jednak jest prawda.

- A... a skąd pan o tym wie?

- Proszę. Oto zeznania niejakiego Antonio Tituahulpy. Jegomością pokrajano. Pod Dziurawym Okrętem. Nie zostało ustalone czy awantura wynikła przypadkowo, czy też... Tam bywa rozmaicie. A ten pokrajany czerwonoskóry to przecież... niezbyt daleki krewny. Właśnie dlatego przybył do profesora... Nie doszedł jednak.

- Niesłychane.

- Tituahulpa jest” do naszej dyspozycji. Leży w szpitalu pod... hm... pod dobrą opieką. W każdej chwili może potwierdzić swoje zeznanie, albo je uzupełnić, jeżeli tego zajdzie potrzeba.

Sir Drake rozmyślał przez chwilę.

- Tak - powiedział wreszcie twardo - to jest właściwie jednoznaczne. Nie może być żadnej omyłki? - spojrzał na porucznika.

- Nie.

- W rezultacie - czego pan żąda? Porucznik odkręcał już wieczne pióro, podsuwając wypełniony blankiet.

- Nakaz zatrzymania?

- Tak.

Sir Drake studiował każdą literkę z osobna.

- Cóż - westchnął - właściwie nie ma innego wyjścia.

Energicznie podpisał się pod odciskiem pieczęci. Aż atrament z maltretowanej stalówki prysnął na wszystkie strony.

- Nie ma innego wyjścia - powtórzył.

- To już... jak los zdarzy - powiedział cicho porucznik chowając blankiet do portfela.

Sir Drake spojrzał na niego przeciągle. Nawet on nie potrafił odcyfrować zastygłej w bezruchu twarzy.

- Co pan ma na myśli? - zapytał z naciskiem. Porucznik jednak nie odpowiedział.

XXVIII. Inne wyjście

Drgnął, sięgając odruchowo do kieszeni płaszcza, gdy z ciemności wyłoniła się niespodziewanie sylwetka mężczyzny.

Ogródek willi profesora Hoppe'a stanowił przecież bezpośredni teren wojennych działań. Szczególnie dzisiejszej nocy.

- Kto taki? - palce dotknęły chłodnego metalu rękojeści pistoletu.

- Przepraszam - porucznik poznał głos starego ogrodnika - to ja. Glocker.

Porucznik wyjął rękę z kieszeni.

- Nie śpicie o tak późnej porze? Stało się coś w domu? - zapytał z niepokojem.

Weszli w krąg światła rzucany przez mleczną kulę nad tarasem. Zauważył, że starzec jest bardzo blady.

,- Stało się coś? - powtórzył pytanie. Glocker potrząsnął głową.

- Nie. Ale nie mogłem iść spać, zanim nie zobaczę się z panem porucznikiem. W ogóle nie wiem, czy położę się do łóżka. Obawiam się, że dzisiejszej nocy grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

Porucznik przystanął. I on był tego samego zdania. Skąd jednak doszedł do tego wniosku ogrodnik, który zdawał się nie orientować w przyczynach grożącego niebezpieczeństwa?

- Dlaczego tak sądzicie?

- Bo... proszę łaski pana porucznika... Pamięta pan, sir, tę orchideę, o której mówiłem przedwczoraj?

- Tak - porucznik słuchał coraz uważniej - więc cóż się z nią stało?

- Ktoś ukradł ją panience. W domu. To przecież bardzo tajemnicza sprawa. Po co mu był potrzebny kwiat? I w jaki sposób dostał się do wnętrza?

Wargi porucznika drgnęły w dziwnym uśmiechu.

- Tak - powtórzył jak echo. - To rzeczywiście bardzo tajemnicza sprawa. - Poklepał starca po ramieniu. - Uspokójcie się. Będę czuwał całą noc.

W hallu płonęła tylko jedna lampa przyćmiona abażurem z ciemnego alabastru. Po kątach leżały zaczone cienie.

Migotliwy odblask płonącego na kominku ognia rzucał refleksy na sylwetki miss Hoppe i Granmore'a. Siedzieli dość blisko siebie.

- Czy nie przeszkadzam?

Kay zaprzeczyła z niemal serdeczną uprzejmością.

- Ani troszkę. Zagadaliśmy się.

- Wie pan, poruczniku - wskazała zapraszającym ruchem fotel - tak okropnie się boję samotności nocnych godzin. Toteż usiłuję skracać je, jak tylko można. Biedny Jack cierpi na tym najwięcej.

- Jak możesz nawet tak mówić, Kay - w głosie Granmore'a brzmiało gorące oburzenie - przecież wiesz dobrze, że... - Urwał rzuciwszy ukośne spojrzenie na porucznika - że twoje towarzystwo należy do najmiłszych sposobów spędzania czasu - zakończył o wiele spokojniejszym tonem.

Porucznik nieznacznie rejestrował szczegóły otoczenia. Lśniącą niklem maszynka do czarnej kawy.

Filizanecki? Nie... Chyba nie. To byłoby zbyt ryzykowne. Resztki napoju tak łatwo poddać analizie... Papierosy? - leniwym ruchem sięgnął do skrzyneczki, obserwując spod oka. - Nie. Ani jeden mięsień nie drgnął na obserwowanej twarzy. Zresztą palą wszyscy. Więc?

- Wie pan, zdarzyła się w czasie pańskiej nieobecności dziwaczna historia... - odezwała się Kay patrząc w płonące szczapy.

- Ma pani na myśli zniknięcie orchidei?

- Ach - spojrzała ze zdziwieniem - to już Glocker panu o tym wspomniał?

- Tak. Bardzo go to zaniepokoiło. Cóż - ujął szczypcami główkę przytykając do papierosa. - W tym domu dużo się zdarza dziwnych historii. Znikające kwiaty. Znikające psy. Znikające gąsiory z wiśniowym sokiem. Cóż na to wszystko mamy poradzić, my ludzie, którzy nie chcemy zniknąć?

W ostatnich słowach zadźwięczał tak niezwykle ton, że Jack spojrzał na niego spod oka.

Kay jednak widocznie niczego nie zauważyła. Wzrok jej przywarł do migocących płomieni.

- Ma pani bardzo oryginalny pierścień - zauważył porucznik patrząc na dwa splecione węże ze złota błyszczące na palcu Kay. Rozdwojone języki gadów odtworzono z mistrzowskim realizmem. Rubinowe oczka zdawały się kroplami zakrzepłej krwi. - To chyba bardzo stara robota?

- Tak - Kay nie odrywała oczu od buzującego ognia - późne średniowiecze. Dostałam od koleżanki.

- Czy od tej samej, od której pochodził Nero? Zdawała się nie słyszeć pytania. W każdym razie nie uznała za stosowne odpowiedzieć.

Jack w duchu przyznał jej zupełną słuszność. Pytanie należało zaliczyć do gatunku mocno niedelikatnych. W ogóle w dzisiejszym zachowaniu porucznika zauważył sporo usterek. Co mu się stało? Zawsze był tak nienagannie wychowanym dżentelmenem i naraz...

- Późno już - Kay odwróciła wreszcie głowę - czuję się zmęczona. - Oczy jej gorzały zielonkawym światłem - dobranoc, Jack - wyciągnęła rękę.

Jack zerwał się pospiesznie z fotela.

- Chwileczkę - ramię jego uwieźło w mocnym uścisku palców porucznika.

- Muszę jeszcze powiedzieć państwu coś ważnego. Coś bardzo ważnego - powtórzył popychając niezbyt delikatnie Jacka z powrotem na fotel.

Ręka Kay opadła. W źrenicach zamigotały jakieś płomyki i zgasły.

- Ach tak? Bardzo jestem ciekawa.

- Dzisiejszego wieczoru został zidentyfikowany niejaki Christofo Techuanpeck - powiedział dobitnie.

Po twarzy jej przesunął cień. Trwało to jednak krótką jak mgnienie oka chwilę.

- Tak - głos brzmiał zupełnie spokojnie - i co?

- Nie żyje.

Jack wytrzeszczył oczy. Kto to był, ten jegomość o nazwisku niemożliwym do powtórzenia? I dlaczego wiadomość o jego śmierci miała należeć do tak specjalnie ważnych?

- Poza tym - ciągnął wolno porucznik - znalazł się John Quetlac. Ten dla odmiany żyje i od paru godzin jest zupełnie przytomny - podkreślił z naciskiem.

Przez chwilę trwała cisza, mącona jedynie trzaskaniem płonących na kominku szczap.

- Cóż - odezwała się wreszcie - rozumiem. - Głos jej dźwięczał ogromnym znużeniem. - Każdy w końcu przychodzi do stóp boga słońca - powiedziała cichutko, jakby do samej siebie.

Splotła palce obu rąk zaciskając je silnie.

Porucznik zwarł kurczowo zęby. Wiedział przecież, co się stało w tej właśnie chwili. W piersi narastało wrzenie alarmu. Powinien się zerwać. Teraz! W tej chwili! Powinien biec! Powinien... Nie! - przeciął zębami wargi aż poczuł słonawy smak krwi. - Nie powinien nic. Tylko siedzieć i czekać aż... odruchowo przesunął oczyma po tarczy zegara.

Znowu targnął całym ciałem poryw wewnętrznego buntu. Wpił obie dłonie w poręcze fotela - siedzieć i czekać. Zresztą nie istniało nic, co by mogło zaradzić na to, co zaszło. I co by mogło odwrócić to, co przyjść musiało.

Siedział zastygły w bezruchu. Robił wrażenie sztywnego manekina. Niemal fizycznie odczuwał wibrowanie napiętych do ostateczności nerwów pod skórą.

- Tak.

Drgnął na dźwięk jej głosu. A przecież brzmiał zupełnie normalnie. Spokojnie i równo, jakby nic nie zaszło.

- Tak - powtórzyła sennie - każda droga dobiega kiedyś swego kresu. Na to nic nie można poradzić...; Nigdy nie chciałam tonąć w lepkiej szarzyźnie powszedniego życia. Takiego, jak wy to pojmujecie. Powstrzymywać się od tego, co sprawia rozkosz? Cofać się przed przeszkodami? Nigdy! Przeszkody trzeba usuwać z drogi... A jeżeli któraś okaże się silniejsza? Trudno... Życie winno być piękne. Cierpienie ma w sobie tyle niewysłowionego piękna... śmierć także... Dlaczego, nie urodziłam się w tych czasach, gdy ołtarze boga słońca spływały krwią? To przecież nie moja wina. Krew... Żywa, parująca krew...

Jack wpijał paznokcie w dłonie. - Co ona mówi na miłość boską? I ten dziwnie daleki, jakby płynący z niezmięzonej głębokości głos. Może chora?

Narastało przecucie czegoś potwornie tragicznego, co nadciągało z mroków zaczajonych po kątach.

- Kay - jęknął - co tobie? Nie słyszała.

- Pan był tą przeszkodą, poruczniku - powiedziała nagle z ujmującą uprzejmością - przeszkodą, której usunięcie okazało się ponad moje siły.

Porucznik poczuł, jak powieką lewego ok wstrząsa tik. To co się tu działo, zaczynało przekraczać wytrzymałość ludzkich nerwów. Nawet jego nerwów.

Żeby już, prędzej. Żeby już... modlił się w duchu. - Czuł, że jeszcze chwila i straci resztki panowania nad sobą. Wybuchnie płaczem. Albo dostanie, ataku hysterii. Drętwiały mięśnie w dłoniach wciskanych kurczowo w oporne drzewo poręczy.

- Christoforo już poszedł, a ja...

Nagle urwała. Ciałem jej wstrząsnął krótki, urywany rytm dreszczu. Głowa opadła na piersi.

Porucznik zamrugał powiekami. Ucisk ołowianego ciężaru pod czaszką zelżał. Stało się!

Spojrzał na zegarek. Dziesięć minut!

Jack zerwał się gwałtownie.

- Kay! Boże, ona zemdląca!

Chciał podbiec do niej. Uchwyt za oba ramiona powstrzymał go w pół drogi.

- Co pan! - szarpnął się wściekle - czyż pan nie widzi?

Porucznik go jednak nie puszczał.

- Spokojnie panie Granmore. Tu już nic...

- Jak to - patrzył z wyrazem nieprzytomnej zgrozy - czy ona... - nie mógł skończyć.

Słowo, które miał wypowiedzieć dławiono duszącym kłębem przełyk. Porucznik opuścił głowę.

- Nie żyje. To jednak... niech mi pan uwierzy... To było najlepsze wyjście. Dla niej i dla nas wszystkich.

Oczy Jacka rozszerzyły się lśnią nieprzytomnym spojrzeniem.

- Najlepsze wyjście?

I nagle w mózg uderzyło oślepiającą jasnością błyskawicy zrozumienie.

- Ona?

Potem ogarnęła go ciemność i cisza. Drgnął gwałtownie całym ciałem i zanim porucznik zdołał go powstrzymać, osunął się miękko na puszysty dywan.

XXIX. Wiwisekcja duszy

Doktor Szroder przebiegł jeszcze raz wzrokiem „historię choroby”, choć - znał ją niemal na pamięć.

- Nno cóż - odłożył zniechęconym ruchem opis na bok - nie mam co przed panem ukrywać, profesorze - jest źle. Powiedziałbym nawet bardzo źle...

- Nie ma żadnej nadziei?

Palce doktora miętoszyły chrzęszczący papier.

- Nadzieja... ba... Dopóki w organizmie kołacze choćby najniklejszy ognek, nam, lekarzom, nie wolno jej tracić. Ale tu... Widzi pan... Przecież zapalenie mózgu stanowiło wystarczająco poważną chorobę. Komplikacje, które się przyplątały też nie należały do najłatwiejszych. Daliśmy im radę. I cóż z tego? Chory niknie z dnia na dzień...

- Nie możecie znaleźć przyczyny?

Doktor popatrzył na profesora ponad soczewkami okularów.

- Przyczyna? Otóż w tym sęk. Nie choroba, a chory. Właśnie on sam. Ta jego apatia. Ta przekłeta apatia! - wybuchnął niespodziewanie, uderzając pięścią w blat biurka, aż podskoczył z cienkim brzękiem kryształowy wazon. Parę kropel wody prysło na rozłożone dokumenty. Doktor obserwował je przez chwilę w zamyśleniu. - Czy można przywrócić zdrowie komuś, kto tego wcale nie pragnie? - zapytał osowiałym głosem - komuś, kto oczekuje z utęsknieniem śmierci? No, niech pan sam powie, profesorze, czy można dokonać takiego cudu? Ja potrafię zmusić serce by biło. Ale gdzie szukać sposobów zmuszenia, by chciało bić dalej o własnych siłach? - Twarz profesora była jeszcze bardziej nieruchoma niż zazwyczaj.

- Czy... istnieje jakiś sposób ratunku? - zapytał powoli, jakby dobierając słów.

Doktor pokiwał głową.

- Hm... Wałkowaliśmy tę kwestię na wszystkie strony. Ta choroba właściwie zżera duszę. Zanik sił żywotnych organizmu jest objawem wtórnym. Wystarczającym jednak, bym za kilka dni, jeżeli tak dalej pójdzie, musiał zamknąć ten dokument... - tknął palcem w kartę choroby. - Doktor Rowless... wie pan, ten psychoanalityk, twierdzi, że gdyby zastosować jakiś dostatecznie silny szok moralny...

- Dostatecznie silny szok moralny? - powtórzył jak echo profesor.

- Tak. To mogłoby dać szansę. Ale mogłoby z równym skutkiem zabić na miejscu... Organizm jest już tak osłabiony.

Profesor powstał ociężale.

- Jeżeli jednak tego szoku nie będzie, koniec jest kwestią tygodni?

- Powiedzmy nawet dni...

- Dziękuję. Muszę sobie to wszystko przemyśleć.

Porucznik Hopkins właśnie pakował walizkę, gdy profesor stanął na progu.

- Proszę mi wybaczyć nieporządek - porucznik uśmiechnął się z zażenowaniem - wybierałem się na parę dni urlopu.

- Mój bratanek jest umierający - zaczął bez wstępów profesor.

Porucznik zmartwił się szczerze.

- Jack Granmore? Mam jednak nadzieję, że jakieś szanse...

- Tak. Jest jedna szansa - przerwał profesor - i ta szansa leży w pańskim ręku.

Porucznik spojrzał wnikliwie.

- Jeżeli tylko coś będę mógł...

Profesor powtórzył rozmowę z doktorem Szroderem.

- Pan przecież wie, w czym leży przyczyna apatii Jacka?

Porucznik popatrzył gdzieś poza okno.

- Tak - potwierdził cicho - wiem.

Wchodząc do wspaniałego hallu lecznicy, porucznik miał wrażenie, że idzie popełnić obmyślane na zimno morderstwo. Bo przecież...

Na korytarzu spotkał go doktor Szroder.

- Czy pan Granmore jest przytomny? - zapytał niepewnie porucznik. W głębi duszy pragnął przeczącej odpowiedzi.

Doktor ujął go pod ramię.

- Ma pan do spełnienia obowiązek chirurga. Chirurga duszy. Schorzenie zaszło tak daleko, że wymaga głębokiego cięcia. Proszę pamiętać, że wahanie nie da się pogodzić z nożem dokonującym operacji.

- A... a jeżeli cięcie okaże się śmiertelne?

Doktor rozłożył ręce.

- Trudno. Tak, czy inaczej nie ma innego wyjścia.

Żrenice Jacka rozszerzył wyraz niemal obłądnego lęku, gdy ujrzał wchodzącego do pokoju porucznika.

- Ppan? - zająknął się.

Porucznik usiłował nie patrzeć na obciągnięte przezroczystą skórą policzki. Zacisnął palce wsunięte głęboko w kieszenie.

- Tak, ja - powiedział twardo.

- Przyszedł się pan pożegnać?

Porucznik usiadł na stojącym obok wezglowia łóżka krzeselku.

- Nie. Przyszedłem wyjaśnić niektóre szczegóły sprawy.

Wychudłe palce przebierały mechanicznym ruchem po kołdrze.

- Ja... ja nie chcę znać szczegółów - szepnął błagalnie.

- A jednak musi pan je poznać. Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co się właściwie stało tego ostatniego wieczoru?

Jack z wysiłkiem podniósł rękę zakrywając twarz.

- Ja nie chcę... Wiem... wszystko wiem... Kay... - głos załamał się - Kay odeszła... na zawsze i...
- umilkł ciężko dysząc.

- Tak. Odeszła. Odeszła, bo widziała, że nie ma innego wyjścia.

- Ja wiem...

- Bo nie udało się jej kilka minut przed tym zamordować pana - ciągnął nieubłaganie. - Ręka, którą wyciągnęła do pana, niosła w darze śmierć.

- To nieprawda - zasłonił się jak przed uderzeniem.

- Owszem prawda. Pamięta pan ten pierścionek ze złotych węży? W wydrążeniach ostro zakończonych żądał tkwiła trucizna. Miał pan umrzeć akurat w dziesięć minut po odejściu z hallu. Mnie przeznaczono rolę naocznego świadka, że pan odszedł do siebie zdrowy i cały. Jednym słowem wszystko obmyślane do najdrobniejszego szczegółu. Reżyseria zapięta na ostatni guzik. Reżyseria zbrodni.

Głowa Jacka opadła ciężko na poduszki.

Porucznik zerknął ukradkiem. Wyglądał tak niewymownie żałośnie.

Może by lepiej... Nie. Cięcie musi być dostatecznie głębokie.

- Miał pan być zresztą zamordowany już parę dni wcześniej. Dla odmiany za pomocą zatrutej orchidei.

- Orchidea... Ta orchidea? - głos Jacka dobiegał ledwo dosłyszalnym tchnieniem.

- Tak. W podobny sposób zginął pański kuzyn. Z panem jednak nie udało się. Wszedłem cokolwiek zbyt wcześnie. Rzucona pod stół, czy też w jakiś kąt orchidea stała się przyczyną śmierci Nera.

Palce na twarzy Jacka drżały febrycznym rytmem.

- Kay... Ja ją tak kochałem... - szepnął.

- Nonsens! - głos porucznika brzmiał umyślnie szorstko. - Wielokrotna morderczyni. Z najniższych pobudek. Córka opryszka spod ciemnej gwiazdy i indiańskiej sąaw.

Palce zasłaniające twarz nagle opadły. Przezroczyste oczy wpiły się w twarz porucznika.

- Jak to... Kay?

- Nie była córką profesora. Ani siostrą pana Roberta. Ani pańską kuzynką - rąbał na odlew. - Metyska o najpodlejszych instynktach. Już w dzieciństwie największą dla niej rozkosz stanowił widok cierpienia. Kurczątko z obciętą głową... motyl nabijany żywcem na szpilkę... bażant, któremu wyrywa się pióra... Przecież to ona, a nie kto inny, krajała kamiennym nożem profesora...

Jack wyprężył się sztywno.

- Ja...

Opadł z powrotem. Po żółtawych powiekach przebiegło drżenie, po czym znieruchomiały. Porucznik w popłochu podbiegł ku drzwiom.

- Panie doktorze - złapał za rękaw czekającego na korytarzu Szrodera - obawiam się, że...

Doktor nachylił się nad nieruchomą postacią.

- Czy... - spróbował zapytać porucznik. Szroder zdawał się jednak nie słyszeć.

- Zastrzyk - zakomenderował energicznie. Sanitariuszka przesunęła szybko przez pokój, brzęcząc zawartością niklowego pudła. Cienka igła zagłębiła się pod zwiotczałą skórę.

Doktor nie wypuszczał przegubu bezwładnej ręki z uchwytu swych palców.

Zapachniało eterem.

- Nie - rzucił wreszcie przez ramię nie odwracając głowy - to tylko ciężkie omdlenie. Co będzie dalej, zobaczymy.

Porucznik wychodząc na ulicę przesunął dłonią po czole. Jeszcze jedna taka sprawa i najwłaściwszym miejscem spędzenia urlopu będzie sanatorium dla nerwowo chorych.

Z tęsknotą pomyślał o uroczym domku na Jasnym Brzegu, dokąd go zaproszono na kilka dni. Bilet tkwił w kieszeni. Walizki niemal spakowane. Samolot odlatywał za godzinę. Godzina to cała masa czasu. Do Croydon nie było ostatecznie tak daleko.

Zatrzymał jednak samochód przed biurem Cooka.

- Nie mogę dziś wyjechać - położył różową książeczkę na ladzie. - Czy nie dałoby się zarezerwować miejsca na jutro?

Urzędnik pokiwał głową z ubolewaniem.

- Szkoda. Dziś taka piękna pogoda, sir.

Porucznik przesunął oczyma po jaskrawym plakacie upstrzonym zielenią rozłożystych palm. Te palmy w rzeczywistości były takie zielone.

- Pewno, że szkoda - zacisnął wargi, wyjazd jednak, zanim nie otrzyma wiadomości o Granmore, wydał mu się nie do pomyślenia.

Telefon milczał.

W nocy porucznik spał niespokojnie, przewracając się z boku na bok. Wśród sennych widziadeł majaczyła potworna głowa bogini, pożerająca żywcem Granmore'a.

Dopiero gdzieś około dziesiątej odezwał się doktor Szroder.

- Nie telefonowałem wczoraj, bo każdej chwili oczekiwaliśmy katastrofy. Teraz już jestem pewny: zabieg się udał!

Porucznik odetchnął z głębi piersi, jak człowiek budzący się z męczącego koszmaru. - Do diabła z tym wszystkim.

Zrezygnował z zapakowania całej masy drobiazgów, aby zdążyć na samolot.

XXX. Wszystko przemija

Doktor Szroder promieniał poklepując Rowlisona po łopatkach.

- Piekielnie trudny przypadek, a przecież wyciągnęliśmy chłopca. Przysięgam, że już nigdy nie nazwę żadnego z grzebaczy w cudzych jaźniach szarlatanem. Nawet przez sen. Popisaliście się kolego z tym cięciem duszy. Jak babcię kocham. I co za reklama dla zakładu!

Jack powracał do zdrowia. Co do tego nie było już najmniejszych wątpliwości.

Rekonwalescencja postępowała niewymownie powoli, jednak niemal z każdym dniem doktor Szroder konstatował poprawę.

- Tylko tak dalej, mister Granmore.

Jack kiwał głową ze smętnawym uśmiechem.

- Robię co mogę, doktorze.

Fale wspomnień uderzały coraz łagodniej. Wizje przebytych chwil traciły ostrość barw... Wizerunek Kay stawał się coraz bardziej wyblakły.

Metyska? Wielokrotna morderczyni? Przecież ta Kay, którą kiedyś kochał to był zupełnie ktoś inny. Ktoś, kto w ogóle nie istniał.

Zatruta orchidea... Dłoń wyciągnięta na pożegnanie... kryjąca ostrza zatrutych żądał. Każde spojrzenie upatrywało najwygodniejszej chwili do popełnienia morderstwa. Każdy uśmiech miał na celu uspienie czujności ofiary.

- Tak - oświadczył któregoś dnia doktor profesorowi - jeszcze kilka dni i mister Granmore będzie mógł wyjechać pooddychać jakimś przyjemniejszym od naszego powietrzem.

- Więc niebezpieczeństwo minęło?

- Bezwzględnie tak.

Na drugi dzień profesor przyniósł dziwną figurkę. Metal, z którego była wyrzeźbiona, robił wrażenie szczerego złota.

- To przecież mój jedyny spadkobierca - uściśnął mocno prawicę doktora - i... jedyny już bliski krewny - zakończył cicho, patrząc gdzieś w bok.

Po jego odejściu doktor obejrzał posążek ze wszystkich stron. Ładne to w każdym razie nie było. Figurka, to figurka. Postawił w gabinecie lecznicy na biurku - niech sobie stoi.

Dopiero gdy któryś z pacjentów oniemiał z zachwytu nad złotym brzydactwem i oznajmił, że warte jest pomiędzy przyjaciółmi parę tysięcy funtów, doktor z miejsca zmienił zapatrywanie. Nawet był trochę zawstydzony, że nie poznał się od razu.

Przeniósł pieczołowicie posążek do prywatnego mieszkania umieszczając na najbardziej honorowym miejscu oszklonej gablotki.

Porucznik Hopkins niemal zaraz po powrocie z urlopu miał wizytę profesora.

Wysłuchał z lekkim zażenowaniem gorących podziękowań, natomiast przyjęcia czeku odmówił

stanowczo. Nawet robił wrażenie nieco urażonego - nie prowadzę spraw na zlecenie prywatnych klientów - oznajmił krótko.

Zresztą w sprawie „cichej śmierci” były jeszcze pewne punkty niezupełnie wyjaśnione. Na skutek porozumienia z Sir Drake, postanowili zaniechać wyjaśniania ich na drodze urzędowej.

Argument „niepotrzebnego rozmazywania i bez tego paskudnej sprawy” - tym razem przemówił porucznikowi do przekonania.

Jack Granmore zaczął niespodziewanie domagać się rozmowy z porucznikiem.

Doktora Szrodera bynajmniej nie zachwyciło to żądanie.

- I po co panu potrzebne? Było, przeszło, trzeba się starać zapomnieć jak najszybciej.

Jack upierał się.

- Nie zapomnę dopóki nie będę wiedział wszystkiego dokładnie. A przecież wiem jeszcze tak mało...

Doktor odwlekał, wyszukując najrozmaitsze preteksty. Z organizmem rekonwalescenta nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze się gotowe przyplątać jakieś świństwo. Nie uważał bynajmniej, by w obecnym stanie kuracji wstrząs moralny był pożądany.

W końcu jednak zabrakło pretekstów. Granmore był zdrow.

Porucznik kłął dobre pięć minut po odwieszeniu słuchawki. Nie odmówił jednak. Tak czy inaczej Granmore miał prawo wiedzieć.

Szedł jak na ścięcie. Wizyta nie zapowiadała się specjalnie przyjemnie. Starał się nie wracać myślą do tych koszmarnych chwil. Trudno.

Jack z trudem powstrzymał drgnięcie na widok wchodzącego. Zdołał się jednak opanować.

- Zawdzięczam panu życie.

Porucznik machnął niedbale ręką.

- Głupstwo.

- Cóż, muszę przyznać szczerze, że był czas gdy i ja byłem tego zdania. Ale teraz...

Rozmowa kulała. Wizje minionych dni obijały się o zdawkowe słowa. Wreszcie Jack nie wytrzymał.

- Czy mógłby mi pan wyjaśnić parę szczegółów?

Porucznik zapalił z namysłem papierosa.

- Oczywiście - zaciągnął się dymem - o które panu mianowicie chodzi.

Jack utkwił wzrok nie widzących oczu w przestrzeń. Pod czaszką zaczęły narastać ponure obrazy. Uśmiechnął się wreszcie smutno.

- O... o całą masę szczegółów. Przede wszystkim, w jaki sposób pan na to wpadł?

- Ttak... to nie było takie proste. Podejrzywałem wszystkich po kolei... Wszystkich za wyjątkiem, hm... - zawahał się - za wyjątkiem właściwej osoby. Nawet przez pewien, krótki zresztą okres czasu, pan stał na czele tej listy.

- Ja?

- Tak. Widzi pan, nie było czego się uchwycić. Na właściwą drogę pchnął mnie dopiero przypadek. W pewnej tawernie w pobliżu doków zraniono Indianina. Od niego dowiedziałem się, że... hm... zmarła nie była córką profesora.

- Ale w jaki sposób mogło się stać, że... - przełknął ślinę.

- Że uchodziła - za córkę profesora?

- Tak.

Porucznik opowiedział o Larsenie.

- Łączyły go z profesorem wielorakie, i, hm... szczególne więzy. W grę wchodziło nie tylko uratowanie życia. Widzi pan, wywiezienie tego olbrzymiego posągu, kamienia ofiarnego i innych urządzeń rytualnych nie stanowiło wcale tak prostej sprawy. Z jednej strony gotowi na wszystko fanatycy, z drugiej agencji rządowi. Ustawy meksykańskie już wtedy nie pozwalały na ogoławanie kraju z zabytków. Sądzę... pogłodził się w zamyśleniu po kolanie - że z pewnych względów lepiej zbytnio nie roztrząsać szczegółów tej historii... Larsen był, jak to już wspomniałem, człowiekiem pozbawionym jakichkolwiek skrupułów. Powiedzmy nawet, typem kryminalnym. Być może czymś w rodzaju, hm... bandyty. Ale poza pieniędzmi miał dwie pasje: żonę Indiankę i córkę.

Jack przesunął powolnym ruchem ręką po oczach.

- Kay?

- Kay... Zresztą w tym czasie pewno nosiła inne, bardziej skomplikowane imię. Żona zmarła w czasie jakiegoś pomoru, których tam nie brakuje. Pozostało roczne dziecko. Larsen zdawał sobie doskonale sprawę, że działalność, którą prowadził nie należała bynajmniej do bezpiecznych. I że każda godzina może być ostatnią, w jego życiu. Wymógł przeto na profesorze obietnicę, być może nawet przysięgę, że w razie jego śmierci uzna on dziecko za swoje..

Oczy Jacka patrzyły gdzieś w przestrzeń.

- Teraz... rozumiem.

- No więc... - zaciągnął się dymem papierosa - wiadomość o pochodzeniu Kay dała mi sporo do myślenia. Cała płaszczyzna rozważań musiała siłą rzeczy ulec radykalnej przebudowie. Po trochu zaczął się wyłaniać ewentualny motyw zbrodni... Bardzo jeszcze mglisty, ale w każdym razie...

- Jaki motyw? Porucznik strzepnął palcami.

- Och - mruknął niedbale - bardzo prosty. Zagarnięcie majątku. Profesor nie chciał skrzywdzić swego syna na rzecz bądź co bądź obcej krwi. Lwia część spadku miała przypaść młodemu Hoppe'owi. To mogło tłumaczyć dlaczego spadkobierca musiał umrzeć.

- Teraz dopiero zaczynało się stawać jaśniejsze, kto w dzieciństwie lubował się widokiem cierpienia zwierząt i owadów - porucznik wspomniał o zeszytach znalezionych na poddaszu - długi czas nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby to mógł być jej zeszyt - przyznał szczerze. - Nić powoli przybierała coraz bardziej realne kształty. Cóż... Mieszana krew i odziedziczone instynkty stwarzają niekiedy piekielny cocktail. Wciąż jednak wątek był zbyt wiotki, by zaprowadzić do kłębka. W każdym razie zachęcił mnie do przetrząśnięcia pokoju miss Hoppe. Rezultat był zastanawiający. Widzi pan... każda kobieta używa szminek. Ale tych, które stały na jej toalecie nie użyłaby żadna.

- Nie rozumiem.

- Otóż nadawały się raczej na scenę. Do roli upiora. Albo umierającej suchotnicy. Jednym słowem, zamiast jak normalnie podkreślać urodę, zadaniem ich było ją maskować.

- Dlatego była taka blada?

- Właśnie. Przezroczysta cera, podbite oczy i tak dalej. Któż mógł przypuszczać, że to była maska?

- Maska - powtórzył bezdźwięcznie Jack - a ja myślałem...

- Wszyscy tak myśleliśmy - przerwał porucznik. - Poza tym znalazłem jeszcze jedną dziwną rzecz: ślepy nabój do pistoletu kalibru 5.75.

- Takiego jak mój Wembley?

- Otóż to. Ta historia ze znikającą kulą nie dawała mi spokoju. Ślepy nabój wyjaśniał ją do pewnego stopnia. Zdążono wymienić go na ostry w chwili, gdy pan zostawił pistolet na dole. Albo gdy... panu wyciągnięto go z kieszeni. Bo przecież mogło być i tak?

Jack zamyślił się.

- Zgadza się - powiedział powoli - mogło. Ale jaki cel?

- Ba... Chodziło prawdopodobnie o spotęgowanie nastroju niesamowitości. Cienie, których kule się nie mają, nie należą w każdym razie do rzeczy codziennych. W ostatnich dniach sprawa stanęła

na ostrzu noża. Profesor Hoppe, zdaje się, zaczął podejrzewać, kto zamordował mu syna. Zamierzał sporządzić testament na pańską korzyść. Wówczas usiłowano go zamordować. W celu rzucenia podejrzenia na Johna Quetiaca zaaranżowano komedię ofiarnego mordu.

- A... co robił w tym czasie Quetlac?

- O tym dowiedziałem się już po wszystkim. Indianin milczał jak zakłęty i dopiero na wyraźny rozkaz profesora otworzył usta. Quetlac leżał spętany na poddaszu, czekając na odtransportowanie w jakieś bardziej zaciszne miejsce. Zdołał się jednak wyzwolić z więzów i zamierzał uciec. Pchnięto go nożem. Pomimo silnego upływu krwi i głębokich ran udało mu się wysliznąć z rąk mordercy.

- Gąsior z sokiem... - szepnął w zadumie Jack. - Ale przecież wtedy Kay... - zagryzł wargi - przecież ona była ze mną?

- Miała współnika. Jej przyrodni brat. Indianin czystej krwi. Po co i w jaki sposób przyjechał do Londynu nie zdołałem dokładnie ustalić. Sądzę, że szantażował profesora groźbą rewelacji o pochodzeniu rzekomej panny Hoppe. Sam pan rozumie, jaki musiałby wtedy wybuchnąć skandal. A poza tym... W każdym razie fałszywe zeznanie do aktu stanu cywilnego nie należy do czynności, które by nasze prawo specjalnie pochwalało. Tak czy inaczej braciszek zainstalował się na stałe. I prowadził bardzo wygodne życie. Powiedziałbym nawet luksusowe. W pewnym momencie zaczęły się kradzieże w zbiorach profesora.

- Ona?

Porucznik wzruszył lekko ramionami.

- Nie mam na to żadnych konkretnych dowodów. W każdym razie kradzieże zbiegały się z okresami szastania przez braciszka pieniędzmi. To zdołaliśmy ustalić. Zmarła jednak potrafiła skierować podejrzenia na młodego Hoppe'a. W jaki diabelski sposób zdołała tego dokonać, oczywiście nie mogę wiedzieć. Faktem jest, że pan Robert miał dość poważne długi karciane. Sądzę, że to właśnie dało jej atut do ręki. Po zamachu na profesora dowiedzieli się, że zdążył jednak sporządzić testament. Wówczas pan wysunął się na pierwszy plan polowania. Pamięta pan jej słowa o usuwaniu przeszkód z drogi? Pierwszego zamachu dokonała wtedy na poddaszu.

Jack odwrócił gwałtownie głowę, patrząc na niego ze zdumieniem.

- Na poddaszu? Przecież nic o tym nie wiem. W jaki sposób? - w głosie brzmiało niedowierzenie.

- Zatruta szpilka - wyjaśnił lakonicznie porucznik.

- Ten kawałek zardzewiałego drutu? Porucznik uśmiechnął się bez humoru.

- Rdza byłaby w stanie wyprawić na tamten świat co najmniej tuzin osób. Wystarczyłoby najłżejsze zadrapanie. Pamięta pan uderzenie w mroku? Otóż to... Jedyne gruby jedwab japońskiej koszuli ocalił pana od niechybnej śmierci. - Ale - zapalał z namysłem nowego papierosa - jeszcze nie wiedziałem dokładnie... Sądziłem, że raczej ktoś trzeci dokonał zamachu korzystając z

nieprzeniknionej ciemności. Jeszcze... no cóż... Jeszcze po prostu nie byłem w stanie uwierzyć... Dopiero przypadkowa wizyta w cieplarni i rozmowa z Glockerem otworzyła mi do reszty oczy. Gdybym tam nie wstąpił... wtedy wszystko potoczyłoby się innymi drogami. Pan otrzymałby w darze najpiękniejszy okaz orchidei... tak jak przed paroma miesiącami biedny Robert Hoppe znalazł na swym biurku najpiękniejszy egzemplarz tuberozy. Sądzę, że namawiała pana, by pan tę orchidę wachał?

- Tak... - potwierdził bezdźwięcznie - namawiała.

- Właśnie! A gdyby się tak stało, nasza dzisiejsza rozmowa nie miałaby miejsca. No, ale historia z orchidą nie udała się... Po tym zaś... - urwał machając ręką - zresztą pan już wie, co było po tym.

Jack zwiesił głowę.

- Wiem... Zapadło milczenie.

Obserwował przez chwilę dym ulatujący ku sufitowi.

- A ten nieznajomy nieszczęśnik w ogródku? - odezwał się wreszcie.

Porucznik z uwagą strzepnął popiół.

- Nieznajomy? Hm... Nie powiedziałbym, żeby to było zupełnie ściśle. Zdołaliśmy w końcu ustalić kto zaczął... Nawiasem mówiąc bardzo nieciekawy typ. Więcej czasu spędzał w więzieniach niż na wolności. W rezultacie mała szkoda...

- Ale kto go zamordował? Porucznik potrząsnął głową.

- Nie nazwałbym tego morderstwem. Raczej zabójstwem w obronie koniecznej... albo czymś w tym rodzaju. Ta sprawa została umorzona z powodu niewykrycia sprawców. Rozumie pan? - zdmuchnął mikroskopijny pyłek popiołu z rękawa marynarki. - Zresztą biedny Quetlac tak dużo przecierpiał w ostatnich czasach. I tak gorąco był przywiązany do swego pana... W obronie całości jego zbiorów poświęciłby życie. Tak - popatrzył w jakiś punkt na suficie - orzeczenie sądu brzmiało „zabójstwo dokonane przez nieznaną sprawców”. I takie już chyba pozostanie na zawsze.

Rzucił okiem na wysunięty spod mankieta zegarek.

- Spiesz się pan?

- Właściwie mam do załatwienia pewną dość pilną sprawę.

Jack nie zatrzymywał.

Porucznik uściśnął mocno jego prawicę.

- Życzę, by pan jak najprędzej zapomniał o przeżytych cierpieniach.

Jack długą chwilę patrzył w białą taflę drzwi, która zapadła za wychodzącym.

- Łatwo mówić „niech pan zapomni” - pomyślał z goryczą. - On przecież... No on, to zupełnie co innego...

Przetrawiał rozmowę: zatruta szpilka... orchidea... złote węże z jadowitymi żądłami... Kurczątko z obciętą głową... Br... - wzdrygnął się czując spływający po skórze dreszcz. I to wszystko tak na zimno. Reżyseria zapięta na ostatni guzik.

Bezmyślny wzrok przywarł do skrzących się w powodzi słonecznych promieni szyb okiennych.

Drzewa w szpitalnym ogrodzie zieleniły się pąkami. Świergot ptaków dochodził przytłumionym odgłosem.

Zamigotały odbłaskiem złota pukle wyglądające niesfornie spod białego czepka przechodzącej po zwirowanych ścieżkach pielęgniarki.

Spojrzenie Jacka pogoniło mimo woli za zgrabną sylwetką.

- Uff - przeciągnął się całym ciałem, aż kości zatrzeszczały w stawach - ostatecznie życie nie jest takie złe...